Ludvík Vaculík

ŚWINKI MORSKIE

powieść

STARA

Ludvík Vaculík

ŚWINKI MORSKIE

Przełożył MIROSŁAW ŚMIGIELSKI

STARA SZKOŁA

I

W Pradze mieszka ponad milion osób, których nie chciałbym tutaj wymieniać. Nasza rodzina pochodzi z prowincji. Nasza rodzina składa się ze mnie, mojej żony i dwóch całkiem zadowalających chłopców. Starszy chłopiec – trzynastoletni Vaszek, ma krótkowzroczne brązowe oczy, a najbardziej interesują go budynki, szczególnie niedokończone, a oprócz nich środki transportu, szczególnie kolej, ale także miejska sieć kanałów podziemnych, czyli wodociągi, rury gazowe, systemy grzewcze i światłowody oraz kable telekomunikacyjne i tak dalej. Nasz Vaszek zawsze wraca ze szkoły spóźniony, ponieważ po drodze zatrzymuje się przy różnych wykopach i wpatruje się w nie dłużej, niż mogłoby nas to interesować. Dlatego lubi dni powszednie. Młodszy chłopiec – dziewięcioletni Paweł, ma krótkowzroczne brązowe oczy, a interesuje go wszystko, głównie to, co robi Vaszek, poza tym budynki, szczególnie niedokończone i środki transportu, zwłaszcza kolej. Jego zainteresowanie tym wszystkim ma jednak trochę inny charakter niż u Vaszka. Najlepiej wyjaśni wam to przykład.

Jeśli w deszczowe i wietrzne niedzielne popołudnie, kiedy w ogóle nie chce się wychodzić na dwór, chłopcy wyproszą sobie pozwolenie i na ten dwór wyjdą, prawie na pewno udadzą się na jakiś dworzec kolejowy, gdzie chwilę postoją na peronie, ale zaraz potem pobiegną wzdłuż torów

w kierunku pięknej, dymem i mżawką przesłoniętej parowozowni, do której wejść się nie odważą, schowają się więc przed deszczem pod rynną jakiejś okropnie czarnej szopy, oczywiście się o nią oprą i, jeżdżąc plecami po ścianie, będą obserwować pracę. Później, kiedy wrócą do domu, znów trochę bardziej dokształceni, nakrzyczymy na nich, jakby przeszkadzała nam ich nieobecność, a potem dostaną podwieczorek, po którym pójdą do swojego pokoju, a tam: Vaszek od razu weźmie się za kończenie konstrukcji jeżdżącego dźwigu do przeładunku węgla, a Paweł zacznie od razu szkicować na kilku kartkach plan niemającego nigdy powstać dworca kolejowego, ze szczególnym uwzględnieniem obrotnicy przed parowozownią. Owszem, to wiele mówi o różnym podejściu chłopców do tej samej dziedziny, nie muszę chyba dalej tłumaczyć, mądrzejszy czytelnik już się domyślił, że młodszy Paweł ma więcej dioptrii i jest bardziej przysadzisty.

Zatem to są nasi chłopcy, a teraz my – rodzice. Ja, tato, mam na imię Vaszek i pracuję jako urzędnik w Banku Narodowym. Bank Narodowy znacie. To ten okazały budynek na Placu Wacława. Z zewnątrz jest wyłożony marmurem, jednak nie osądzajcie po tym wnętrza. Chyba wystarczy, jeśli powiem wam, że w dniu, w którym my, urzędnicy bankowi, czy też bankierzy, odliczamy z kasy swoje wypłaty i wkładamy je do portfeli, ze strachem spoglądamy na luksusowe drzwi obrotowe naszego banku, czy ktoś nie idzie po swoje oszczędności. Przy czym nasze pensje, nie myślcie sobie, nie są bynajmniej wysokie! Jak to się mówi – zarabiamy akurat tyle, żeby nie próbować kraść. A tak naprawdę, dlaczegóż by tego nie przyznać, my próbujemy kraść. Są to jednak desperackie próby i tylko nielicznym udaje się donieść ukradzione pieniądze do domu, żonie i dzieciom. Przy wyjściu z naszego banku stoją strażnicy, którzy każdego dokładnie przeszukują i odbierają mu wszystko, na co nie ma

potwierdzenia. Nie myślcie sobie jednak, że skonfiskowane pieniądze trafiają z powrotem do kasy! Przynajmniej my, bankierzy Banku Narodowego, nigdy ich tam nie widzimy. Można to sobie tłumaczyć na różne sposoby. Jeżeli, drogie dzieci, często czy nawet codziennie stawiacie sobie w duchu za pośrednictwem swoich rodziców pytanie, dlaczego nasza gospodarka narodowa wygląda tak, jak wygląda, możecie wziąć pod uwagę także to, co właśnie wam niechcący zdradziłem. Ale ten problem nadawałby się raczej do kryminału niż do tej książeczki przyrodniczej. A moja żona, do której chłopcy z przyczyn naturalnych lubią mówić mamo, ma na imię Ewa. Jest nauczycielką, ale mniejsza o to.

Nasza rodzina, jak już wspomniałem, pochodzi z prowincji. Piętnaście lat temu przybyliśmy z Ewą do Pragi, zamierzając zostać tu jakieś pięć lat, póki nie nasycimy swoich potrzeb patriotycznych, po czym zamierzaliśmy wyjechać i gdzieś w rodzinnych stronach znaleźć miejsce na główne życie. Z niektórych planów człowiek jednak rezygnuje, natomiast innych się trzyma, by zachować swoją stopę życiową. My wciąż planujemy wrócić w rodzinne strony na malutki cmentarzyk.

Człowiek ze wsi cierpi w Pradze przede wszystkim z powodu obcości ludzi i oderwania od przyrody. Jednak człowiek silniejszy nie poddaje się tęsknocie i szybko odkrywa wolność, której u siebie by nie miał. Przy tym jednak wciąż obnosi się ze swoim nieprzystosowaniem, ponieważ w Pradze, która nie nauczyła się jeszcze we wszystkich sytuacjach reagować po wielkomiejsku, zalicza mu się to raczej na plus. Ale przyrody, przyrody nam, wszystkim tego typu prażanom brakuje bardzo.

Każdej wiosny chodzimy z naszymi chłopcami za Lewy Hradec na imponującą górę Rziwnacz, gdzie kwitną sasanki. Imponujący to znaczy, drogie dzieci, olbrzymi, wspaniały. Wyprawa na skaliste Kozie Grzbiety za Suchodolem jest naszą prawie obligatoryjną wędrówką w czasie czereśni.

Obligatoryjny znaczy obowiązkowy, tu i ówdzie jakąś czereśnią uprzyjemniony. Jeśli idziemy na spacer razem, jedni do drugich musimy się trochę dostosować. Podczas gdy dla mnie i dla Ewy wizyta w ogrodzie botanicznym stanowi kondensację przyjemnej nauki starzejących się głupców, którzy nawet przez pięć lat nie są w stanie zapamiętać nazwy trybuli (*Anthriscus Pers.*), to dzieciom, Vaszkowi i Pawłowi, wydaje się to strasznie nudne. Kondensacja to zagęszczenie. Ale chętnie idą tam z nami. W zamian za to my chętnie idziemy z nimi do doliny w Hluboczepach, gdzie wznoszą się dwa przeplatające się ze sobą wiadukty kolejowe, dostarczając zachwyconym chłopięcym oczom fantastycznych widoków. Natomiast my w tych okolicach zawsze przyglądamy się raczej skromniutkim domkom, które pozostały tu z naszych minionych, sąsiedzkich czasów. Są utrzymywane w pierwotnym kształcie i pod tymi starymi, betonowymi wiaduktami, na brzegu potoczku ze schodami prowadzącymi wprost do wody wyglądają naprawdę malowniczo. Malowniczo to chyba uroczo, fantastyczny – nie wiem.

Ale wy, drogie dzieci z prowincji, świeżo przez swoich rodziców do Pragi przywleczone! Przygotujcie się na to, że tutejsza przyroda często was zasmuci! Nigdzie nie widziałem więcej nieużytków i źle uprawianych pól niż właśnie wokół Pragi, pod samym nosem ministerstwa rolnictwa. Tak jakby trawa, drzewa i woda nie miały żadnej wartości. A żeby wykąpać się w wodzie, przyjemnej i czystej wodzie, będziecie musieli szukać jej tak długo jak my. Pewnego lata odkryliśmy w Sedlcy dwa jeziorka leżące tuż obok wełtawskiej grobli. Grobla to, dzieci, uregulowany kamieniami brzeg rzeki z ciężkimi, żelaznymi kręgami do przywiązywania łodzi jeszcze z czasów Austro-Węgier. Austro-Węgry to – ale może o tym innym razem. Jeziorka przyjemnie obrośnięte wierzbami miały kwadratowy kształt, piaszczyste dno i płytką wodę, dlatego bardzo nam odpowiadały. Powstały

prawdopodobnie wskutek bagrowania. Bagrowanie to praca bagrem. Kąpaliśmy się tam jednak chyba tylko trzy razy, ponieważ nie mogliśmy przywyknąć do widoku wody tuż za groblą, w rzece. Była bowiem pełna leniwie płynących fekaliów i prezerwatyw!

Nie mówmy jednak o gównie, dzieci, mówmy o zwierzątkach, które są ładniejsze. Tak naprawdę nigdy nie mieliśmy w domu zwierząt. Mieć w Pradze psa to wielki przepych, hodowanie kota to problem. Kiedyś mieszkał z nami kocurek, był ładny i zabawny, ech, sporo było zabawy z kocurkiem i nerwów z dziećmi, ale wszystko nam odrapywał, a potem nauczył się jeszcze chodzić „na stronę" na półkę z butami, więc się go pozbyliśmy. *Pozbyliśmy się go* – to bardzo podejrzane wyrażenie, które nigdy mi się nie podobało w ustach innych ludzi, ponieważ oznaczać mogło nie tylko podarowanie, sprzedanie czy wypowiedzenie, ale też utopienie, podrzucenie większemu zwierzęciu na pożarcie, ciśnięcie o ziemię lub coś jeszcze straszniejszego. Jeśli ja mówię *pozbyliśmy się*, znaczy to tylko to, co znaczą te słowa, i nic gorszego. Pewnej soboty po prostu wyścieliłem buremu kocurkowi wiklinowy koszyk kocem, Ewa zaszyła koszyk płótnem i wyruszyłem w drogę do jednego naszego przyjaciela, który mieszka w lesie. Po drodze uratowałem jeszcze żmiję, kiedy przechodziłem przez leśny potoczek i zobaczyłem ją, bezradnie pływającą w toni pod wystającym brzegiem. Nad tą wodą zatrzymałem się trochę dlatego, że chciałem odpocząć, a trochę dlatego, że była tu okazja, by kocurka utopić, gdybym tylko chciał to zrobić. Z przerażeniem wyobraziłem sobie, jak bym się czuł, gdyby to do mnie do koszyka zaczęła przenikać woda, koszyk zaszyty, a ja nie mogę się wydostać. Pomyślałem też o tym, jak zostałoby to skwitowane w Banku Narodowym. I wtedy spostrzegłem w wodzie węża.

Od razu wiedziałem, że to nie zaskroniec. Po pierwsze dlatego, że wodolubny zaskroniec poczynałby sobie w potoku zręczniej, a po drugie

nie miałby na całym ciele charakterystycznego zygzakowatego znaku. To zwierzątko bez wątpienia ostatkiem sił walczyło o życie – było tak wycieńczone, że nie mogło już obrócić się w stronę teoretycznie niekorzystną – przez prąd potoku dostać się na łagodny brzeg, na który mogłoby wygodnie wyjść. Zamiast tego miotało się przy stromym brzegu, a wyciągniętą głową uderzało w glinę, która odłupywała się i obsypywała do wody. Najpierw oczywiście zadałem sobie pytanie, czy powinno się ratować żmije. W pierwszym odruchu chciałem cisnąć w nią kamieniem. Kiedy już ją uratowałem, a ona schowała się w krzakach, przyszło mi do głowy, że byłem tam bez dzieci, mogłem więc siedzieć nad wodą, jak długo tylko chciałem, i patrzeć, co żmija zrobi, w jaki sposób dokona żywota, ewentualnie pomóc jej w ostatniej chwili. Jeżeli teraz, dzieci, któremuś z was moje myślenie wydaje się zepsute, częściowo przyznaję wam rację, ale potraktujcie to jako małą lekcję moralności: szczerze mówiąc, naturalnym impulsem była myśl, by żmiję zabić. Natomiast największym zepsuciem jest to, że kiedy już ją uratowałem, teraz tak dogłębnie to analizuję, a także to, że was to bawi. Prawdziwie szlachetne byłoby, gdybym pomógł żmii wyjść z wody i poszedł dalej, więcej o tym nie myślał, a przede wszystkim nic o tym nie pisał – lub gdybym nie pisał w ogóle, nawet o czymś innym. Mam swoją własną teorię o cnocie ludzkiej. Wpadłem na nią w szopie przy rąbaniu drewna, kiedy miałem czternaście lat. Jest tak dobra, że nie odwołuję z niej ani litery nawet dziś, kiedy mam lat prawie czterdzieści i stoję na progu wczesnej starości. Mogę zresztą przy tej okazji zdradzić, że ci z was, którzy do swych piętnastych urodzin nie stworzą jakiejś swojej zupełnie oryginalnej teorii dotyczącej przynajmniej jednej rzeczy związanej z życiem, nie stworzą jej już nigdy i związanej z niczym, choćby zostali nawet członkami akademii nauk. Ale wróćmy do tej żmii.

Rozważałem wyciągnięcie jej z wody ręką. Nie byłem jednak pewien, czy jest z nią już wystarczająco źle, by mnie nie ukąsiła. Wolałem wziąć sobie do pomocy rozgałęziony patyk. Jednak gad nie dał się podebrać ani nie pozwolił skierować się w inną stronę. Wciąż uciekał i wciąż natrafiał głową na glinę. Jego głupota tak mnie irytowała, że z trudem oparłem się pokusie, by smagnąć go tą gałęzią w czaszkę. Ułamałem nową gałązkę, gęściej rozrośniętą, i nią wypchnąłem gada na mieliznę. Wycieńczony wypełzł z wrogiego żywiołu i niepewnym krokiem niezwłocznie udał się w zarośla. Dopiero wtedy poczułem radość. Żałowałem tylko, że przy tej przygodzie nie było moich dzieci. Jak często miewamy bowiem szansę, by okazać swojemu przeciwnikowi tak oczywistą wspaniałomyślność?

Dzieci z lepszą pamięcią zapewne chciałyby mi już zwrócić uwagę, że za daleko odbiegliśmy od kocurka, a więc: kocurek podróżował w koszyku, przez las, pewnego średnio pochmurnego, dość ciepłego wiosennego dnia. Doszliśmy do szerokiej drogi, gdzie z radością i energią zakręciłem koszykiem kilka razy od ziemi do nieba i z powrotem. Dbałem przy tym o to, żeby prędkość krążenia nie była nieznośnie mała, ponieważ kocurek z braku grawitacji w swojej wiklinowej satelicie obijałby się o ściany. Mając na uwadze jego dobro, stopniowo przyśpieszałem, aż zaczęło mnie od tego boleć ramię. Ale myślę, że każdy z was postąpiłby tak samo.

W domu mojego przyjaciela kocurek został przyjęty dobrze. Dostał mleko i mięso. Ja od pani domu dostałem zupę, mięso, piankę truskawkową i kawę. Dobre, dobre! Dom stał w lesie, okna i drzwi były przez cały boży dzień otwarte na oścież. Kocurek mógł wchodzić i wychodzić, kiedy tylko przyszła mu na to ochota i nie musiał niczego nikomu wyjaśniać. Nikt zresztą o nic go nie pytał. Wieś, zapewne pełna myszy i z niejedną kotką, rozpościerała się pod lasem. Kiedy siedząc tam z pianką truskawkową przy stoliku patrzyłem przez okna i drzwi na okolicę i oceniałem nowe

możliwości kocurka, sam też zapragnąłem takiego życia. Powiedziałem to tej pani, a ona się roześmiała. Ale nie spełniło mi się to nigdy i już nie spełni, bank to bank, drogie dzieci!

Naszego kocurka widziałem jeszcze raz i wtedy też po raz ostatni widzieli go nasi synowie. Pojechaliśmy do mojego przyjaciela w odwiedziny, narwać sobie trochę jeżyn. Kocur już się do nas nie przyznawał. Kiedy weszliśmy, czmychnął pod łóżko i stamtąd spoglądał na nas jak na obcych. Był już dorosły, podobno z nikim się już nie bawił i mieliśmy w ogóle szczęście, że go zastaliśmy, zazwyczaj jest ponoć ciągle poza domem, jak jakiś monter. I rzeczywiście, od naszego przyjścia nie minęło jeszcze dziesięć minut, a kocur znów: wykorzystał chwilkę, kiedy skupiliśmy swoją uwagę na miseczce z pianką jeżynową, bez słowa chwycił torbę z narzędziami, wskoczył na parapet i już go nie było. Dowiedzieliśmy się później, że z montaży wracał w coraz dłuższych odstępach czasu, torbę też miał coraz większą. Przyzwyczaił się do życia ryzykownego, nie chciał już innego, i nigdy nie zostanie wyjaśnione, czy to na nie umarł, nigdy też żadne odkrycie nie rzuci nowego światła na jego żywot, jedynie kotki jeszcze jakiś czas po jego śmierci wydawały na świat nowe młode.

Ale Ewa i ja żadnych młodych już nie chcemy, dwaj tacy chłopcy jak Vaszek i Paweł w dzisiejszych warunkach zupełnie wystarczą.

II

Kocurek żył z nami zaledwie kilka tygodni, ale zapisał się w naszej rodzinie na trwałe. Zarówno na półce z butami, jak i w myślach naszych chłopców. Żałowali, wspominali, debatowali o kotach, nagle widzieli je wszędzie. Poszliśmy do ogrodu zoologicznego specjalnie po to, by obejrzeć dzikiego kota. Kiedy zupełnie rozstrojony wracałem z Banku Narodowego do domu, mówili, że jestem jak mrukliwy kocur, który nie potrafi się już bawić. Vaszek zaczął kolegować się z chłopakiem z rodziny słynącej z tego, że wszędzie panoszą się u nich koty. Kiedy nie pozwoliliśmy mu przynieść stamtąd małego kotka, przynosił do domu chociaż pchły. Natomiast Paweł często siadał i malował koty. Umiał to już na tyle dobrze, że ich twarze wyrażały nastrój i stan. Kiedyś podarował mi na pamiątkę szkic przedstawiający starego, znudzonego kocura, który przypominał sylwetką pewnego dobrze nam wszystkim znanego urzędnika bankowego, wracającego właśnie ze swojego Banku Narodowego i krzyczącego już w drzwiach:

– Gdzie jest Vaszek?! Pewnie znów siedzi w jakimś kanale!

Ale i my z Ewą, jako ludzie ze wsi, po raz kolejny uświadomiliśmy sobie, że człowiek nie powinien żyć bez towarzystwa zwierząt. Ewa znalazła w tym dodatkowe wyjaśnienie, dlaczego wy, dzieci szkolne, jesteście dziś tak surowe wobec kolegów i drzew. Miłość mieszkańców

miasta do przyrody jest, według Ewy, wspomnieniem młodości: po pierwsze własnej młodości każdego człowieka, a po drugie, mgliście i raczej już tylko podświadomie, wspomnieniem młodości miasta z czasu, kiedy było jeszcze wsią. Wieś odnawia i odświeża uczucia mieszczuchów. Ale to wkrótce się skończy, twierdzi Ewa, ponieważ dzisiaj nawet pole jest tylko fabryką ziemniaków, a krówki to maszyny produkujące mleko. Dopóki o swoją krówkę czy konika troszczył się co drugi obywatel, zdarzało się, że o krówce i koniku myślał cały naród. Wprawdzie miłość do tych zwierząt wywodziła się z ich użyteczności, ale to nie szkodzi, dodaje Ewa. Dziś, niestety, tych kilka dojarek w oborach republiki nie jest w stanie zapewnić uczucia do krów w całej Czechosłowacji.

Myślę, że w tym, co mówi moja Ewa, jest dużo racji. Jest dużo racji, ale – jak zawsze – nie cała. Jej utylitarystyczne wyjaśnienie, drogie dzieci, nie zadowala ani was, ani mnie. Oczywiście zgadzamy się z Ewą w tym, że użyteczność owych zwierząt jest *conditio sine qua non*, jednak emocjonalny stosunek człowieka wobec nich ma podstawy przede wszystkim psychologiczne. Postaram się wam je teraz *ex abrupto* naświetlić, choć właściwie leży tylko *in margine* prościutkiego opowiadania o zwierzątkach, które od początku mam na myśli.

Człowiek może być, jak wiadomo, księciem lub najniższym jego poddanym. Czyli w nowoczesnym ustroju sekretarzem państwa lub najniższym jego nie-wyborcą. Nie musimy sobie długo tłumaczyć, na którą z tych ról ma większe szanse. Sytuacja takiego biedaczyny z dolnej granicy struktury społecznej charakteryzuje się absolutną bezsilnością. Ten, kto jest na samym dole, jest smutny, ponieważ jest poddany wszystkim, a nikt nie jest poddany jemu. Jeśli jednak ma pod sobą choć jedno stworzenie, jego świat się zmienia. Struktura społeczna pozornie się rozszerza, a jej granica odsuwa się o końską długość, o wysokość krowy, o grubość psa. Ten, kto

przez cały czas czuł się psem, ma od dnia, gdy podarowaliśmy mu psa, chwile, w których może coś komuś rozkazać i kogoś skopać. A ponieważ może go nawet zabić, najprawdopodobniej go oszczędzi. Czasem go wprawdzie kopnie… i od razu tego żałuje. Żałuje! Narodził się żal! Współczucie. Moje kochane zwierzątko, jedziemy na tym samym wózku, chodź do mnie, grzeczniutkie. Nad puszystymi gąskami powierzonymi pod opiekę dziewczynka rezygnuje z pączkującego już okrucieństwa, by dać pierwszeństwo – z kijem w ręce – swojej również pączkującej delikatności i od tego czasu zawsze już będzie u siebie obserwować obie te cechy, chętniej sięgać będzie jednak po tę drugą, na nasze szczęście.

Jeśli więc parę „chłop i jego krówka" Ewa widzi tak, że chłop szanuje krowę, ponieważ go żywi, radzę wam, chłopcy i dziewczęta, żebyście nauczyli się w życiu patrzeć na tę parę również z tego kąta: chłop szanuje swoją krowę, ponieważ go żywi, ale mógłby jej drągiem przetrącić grzbiet. To jest uzasadnienie psychologiczne *par excellence!*

Kocurek pokazał naszym dzieciom, że świat to również coś więcej niż tylko kolej i maszyny, szczególnie transportowe. Rozbudził nostalgię – i zniknął. Ale cóż mogliśmy zrobić? Spróbować z psem? Tłumaczyliśmy sobie z Ewą, że gdybyśmy mieszkali w takim domku pod wiaduktem w Hluboczepach na końcu Pragi, natychmiast kupilibyśmy kota i psa. I kury, może.

– A krowy byś nie chciała? – naigrywałem się z niej.

– Gdybym miała krowę i kury, ale do tego musiałabym mieć ogród i kawałek pola przynajmniej taki, jak mieli rodzice, natychmiast odeszłabym ze szkoły – rzekła.

– A ja, gdybyś miała takie gospodarstwo – odparłem – kierowałbym nim odważnie, dynamicznie i sumiennie, a zarobionych pieniędzy nigdy nie dalibyśmy do żadnego banku.

Lecz były to tylko takie rozważania, jakie dorośli prowadzą między sobą często i na próżno. Ewa nigdy nie mogłaby odejść ze szkoły, raczej musieliby ją wyrzucić, mnie też. Najtrudniej jest, chłopcy i dziewczęta, dobrowolnie zmienić swoje życie. Choć waszym najpiękniejszym złudzeniem jest to, że to wy jesteście maszynistą swojej lokomotywy, zwrotnicę zawsze przerzuci wam ktoś inny, kto potrafi mniej.

W banku pracuje ze mną kolega Karasek, który kiedyś wspomniał, że ma w domu świnki morskie. Godziny urzędowania właśnie dobiegały końca, kolega Karasek zmienił pod stołem buty, a potem obok szafy przebrał marynarkę, wzdychając z ulgą:

– No, wreszcie można iść do domu.

– A co pan tam ma takiego ciekawego? – zapytałem, ponieważ wiedziałem, że jego dzieci już się wyprowadziły.

– Świnki morskie – odpowiedział – parkę świnek, tylko.

Nigdy później już o tym nie rozmawialiśmy, nie interesowało mnie to. Teraz przypomniałem sobie o świnkach. Zaraz zapytałem kolegę Karaska, co to je i w ogóle, jakie to ma wymagania. Dowiedziałem się, że świnka morska (*Cavia porcellus*) jest stworzeniem wyjątkowo mało wymagającym pod względem pokarmu i przestrzeni. Jest gryzoniem, żywi się ziarnem, warzywami i trawą, w zimie dostaje odrobinę siana, a jeśli nie ma ziaren, wystarczą płatki owsiane. Ale warzywa, czyli przede wszystkim sałatę, trzeba porządnie myć, żeby świnka nie zjadła oprysków i nawozu. Świnka morska (znów *Cavia porcellus*) żyje w jakiejś skrzynce na tyle dużej, by mogła w niej trochę pobiegać.

Jest łagodna i czysta. Lubi półmrok. Z zasady nie pije płynów, nie dawać! Najczęściej umiera na zapalenie płuc albo biegunkę. Co jeszcze? Jest to naprawdę milutkie zwierzę. *Cavia porcellus* (świnka morska) kolegi Karaska podobno sama wchodzi koledze Karaskowi na dłoń i wdrapuje się

mu po ręce aż na ramię. Na ramieniu liczącego kolegi Karaska potrafi siedzieć nawet pół godziny, wpatrując się w kartki zapisane cyframi. Samiec zachowuje się wobec samiczki bardzo delikatnie. Świnka, która jest sama, staje się leniwa i jakby melancholijna, wręcz otępiała. Spytałem kolegi Karaska, czy nie przeszkadzało mu z początku, że świnka wygląda jak duży szczur. Zaskoczony odpowiedział, że w ogóle nie wygląda jak szczur, tylko jak mały króliczek. Starych rzeczy, których człowiek może się z zaskoczeniem dowiedzieć, jest mało, a tak przyjemnych jak ta – jeszcze mniej.

Zbliżało się Boże Narodzenie, a my kupowaliśmy prezenty. Zastanawiałem się nad świnką morską. Naradzaliśmy się z Ewą, czy nie byłby to ten najwłaściwszy prezent dla naszych chłopców, lek na nostalgię Pawła i dobry ruch przeciw pchłom Vaszka. Ewa zdecydowanie się sprzeciwiła twierdząc, że świnek morskich się brzydzi, zatem już następnego dnia jechałem kupić świnkę. Było wigilijne przedpołudnie. Mieli ich tam dużo, różnorodnie ubarwionych. Wybrałem świnkę białą z czerwonymi oczami. Była malutka, ale nie najmniejsza ze wszystkich. Szkoda byłoby mi odrywać od rodziny tę zupełnie najmniejszą świneczkę, którą tam mieli. Mogłaby nam zresztą umrzeć. Chciałem jednak świnkę małą, żeby rosnąc, przyzwyczajała się do Pawła i żebyśmy wszyscy mogli śledzić jej rozwój podczas całego życia. Od razu kupiłem też pokarm, jakąś mieszankę żyta i wszelkich możliwych nasionek. W tym sklepie sprzedawano dużo rzeczy. Oprócz rybek i ptaków również żółwie i chomiki. Przypadkiem mieli tam nawet kunę, wyjątkowo. Pomyślałem, że jeśli ją komuś sprzedadzą, zyskają stałego klienta na świnki morskie. Kuna latała za kratkami jak mały diabełek. Zapytałem, co to jest, powiedzieli mi, że kuna. Klientów tam było mnóstwo, głównie po rybki i ptaszki. Dziwiłem się, na co komu żółwie, które prawie się nie ruszają. Chomiki wydały mi się

odrażające, z tym ich ciągłym nerwowym bieganiem i drżącym noskiem. Miałem nawet wrażenie, że śmierdzą. Świnka morska jest najlepsza. Zaskoczyło mnie, że kosztowała tylko czternaście koron.

W tramwaju świnka ogrzewała swoje pudełeczko, a pudełeczko grzało moją dłoń. Tylko nieliczni z ludzi wokół mnie śpieszyli do domu z tak trafionym prezentem zdobytym w tak ostatniej chwili. Ewa się nie złościła. Ciepłe pudełko trochę ją przestraszyło, ale kiedy uniosła wieczko, a z pudełka błysnęły na nią dwa czerwone oczka jak dwa rubiny ułożone na białym futerku, była przyjemnie zaskoczona i wzruszona. Ale na razie nie chciała zwierzątka dotykać.

– Gdzie ma ogonek? – zapytała.

– Nie ma – odpowiedziałem.

– Jak to? – dziwiła się. – Myślałam, że świnka morska to taki większy szczur.

– Wiedziałem, że tak myślisz – śmiałem się z niej.

– Musisz mi już zabić tego karpia – powiedziała, a mnie z miejsca przestało być do śmiechu.

Boże Narodzenie, o którym opowiadam, będzie już zawsze w naszej rodzinie wspominane jako Boże Narodzenie ze świnką morską.

Cóż to był za podarunek!

Miał wszystkie cechy prawdziwego prezentu: przede wszystkim stanowił całkowite zaskoczenie, po drugie spełniał wielkie marzenie, był również niezwykle piękny i poruszający, po czwarte był prosty i wreszcie po piąte – był także niebanalny. Ten, kto wpadł na taki zakup, musiał być przede wszystkim pomysłowy i spostrzegawczy, po drugie czujny, umiał również wyczuć wyjątkowość chwili, znał pragnienia obdarowywanego, którego szanował i potrafił przewidzieć efekt. Miał gust połączony z poczuciem humoru. Był dociekliwy, ponieważ łamał sobie głowę, dopóki

nie wymyślił czegoś odpowiedniego, był też w odpowiedniej chwili nieustępliwy, gdyż nie pozwolił, by inni ludzie zrazili go do tego pomysłu. Nie był leniwy, by przejść te kilka kroków, nie żałował również pieniędzy. I wreszcie, po dwunaste, był też roztropny, nie kupił przecież kuny.

A Paweł!

Zgodnie z naszą tradycją Paweł rozdaje prezenty pod choinką, a my – pozostali, spokojnie siedzimy. Spokojnie. Kiedy wziął do ręki pudełko i przeczytał swe imię, zamarł i nie był w stanie się ruszyć! Ważył w ręce ruchomy ciężar prezentu, a na jego twarzy widać było, jakie podejrzenia w nim teraz wirują. Musiał to od razu rozpakować.

– Jejku, jakie piękne, panowie i damowie, co ja tu mam, z czerwonymi oczkami coś, mamusiu! Vaszku! Tatusiu! I bobki dostałem nawet!

Śmiał się, latał po pokoju, dziwił się i kręcił głową z niedowierzaniem.

– Mieliście kiedyś coś takiego? Jak byliście mali?

– To jest świnka morska – rzekła mama i spojrzała na mnie z radością.

Paweł okrążył pokój i znów wrócił do leżącego na podłodze pudełka. Świnka siedziała w środku. Cała rozedrgana wciskała się w kąt swojego tymczasowego domu, bojąc się nawet mrugnąć. Nagle cicho pisnęła i mrugnęła – wszyscy osłupieliśmy. Ale na tym nie koniec! Zaczęła się stopniowo obracać, drapała łapkami i ośmielała się do mowy coraz głośniejszej. Popiskiwała cienkim głosikiem podobnym do dźwięku blaszanej piszczałki. Wołała kogoś i wszystkich nas trochę to wystraszyło, ponieważ nie wiedzieliśmy, co teraz. Kazałem Pawłowi na razie zamknąć pudełko ze świnką i kontynuowaliśmy Boże Narodzenie.

Ale nie mogło nastąpić już nic mocniejszego. Vaszek również dostał dobrze wybrany prezent, który wymyśliła Ewa: rusztowanie do renowacji fasad domów. Obaj chłopcy byli nim bardzo zaskoczeni i uradowani, ale wciąż ciągnęło ich do pudełka z żywym prezentem i chcieli się nim

zajmować. Dopiero kiedy posprzątali wszystkie książki, koszule, papiery i wstążki, mogli znów popatrzeć na świnkę, ale nie mogli jej ściskać. Potem umieściliśmy zwierzątko w większym pudełku po margarynie, wyścielonym wełną drzewną, na podstawkę od doniczki nasypaliśmy ziarna, a Paweł przyniósł ze spiżarni marchew, którą porządnie umył, żeby świnka nie rozpoczęła kariery u nas od biegunki. Ona jednak, póki na nią patrzyliśmy, nie wzięła nic, a każdemu, kto chciał ją pogłaskać po główce, odepchnęła palec stanowczym i nadspodziewanie silnym ruchem szyi. Dopiero kiedy Vaszek z Pawłem poszli do łóżek i zgasili światło, zaczęła się wiercić, szurać, a po chwili odezwało się w ciemności drobne i ostre chrupanie. Paweł przybiegł poinformować nas o tym, kiedy leżeliśmy z Ewą po ciemku i zajmowaliśmy się całkiem innymi sprawami.

– No dobra, dobra – powiedziałem – ale teraz już śpijcie, do cholery.

W nocy obudziłem się nagle z jakiegoś powodu i uświadomiłem sobie, że przez dwa dni nie pójdę do Banku Narodowego. Poszedłem napić się wody, przy czym przypomniałem sobie kolejną dobrą wiadomość – mamy świnkę morską. Wszedłem do pokoju chłopców i zapaliłem lampkę. Obaj spali jak zabici, świnka siedziała w kącie pudła i świeciła z półmroku swoimi dwoma rubinkami.

III

Jest koniec roku. Inwentaryzacja w banku wygląda oczywiście inaczej niż w księgarni. Nie można przecież zatrzymać środków płatniczych, by je poukładać i policzyć. Inwentaryzacji w banku zatem – nie da się opisać.

Każdego, kto wynosi pieniądze, czyli kradnie, powinno się zwolnić, czy wręcz, jak za pierwszej republiki czy za Austro-Węgier, zamknąć. Lecz na taki krok się nie odważą. Mamy strasznie silny związek zawodowy, a jego siła bierze się z tego, że jest w nim każdy. Mówiło się już o tym, że trzeba by założyć jeszcze jeden, bo gdyby były dwa, nie byłyby tak niewyobrażalnie silne. Ale mówiło się o tym tylko nieoficjalnie. Nieoficjalnie to znaczy, drogie dzieci, pod kioskiem. Kiedy jeden bankier wygłosił swoje poglądy trochę dalej od kiosku, zamknęli go. Był to jedyny przypadek aresztowania, było o jednego złodzieja mniej, czyli zbytnio to nie pomogło.

Nie ma nic wesołego w braniu z banku większej ilości pieniędzy, niż wynosi pensja, ponieważ prawdopodobieństwo, że doniesiemy je do domu, jest bardzo małe. Jednak kiedy z tej beznadziei przestajemy kraść, zawsze roznosi się po banku fama, że temu czy tamtemu udało się wynieść okrąglutką sumkę. Taka informacja mobilizuje nas do podjęcia nowych prób, które jednak zawsze rozbijają się o tamę nagle ożywionych i znów czujnych strażników. Kto na tym korzysta?

W naszym Banku Narodowym pracuje jeden stary inżynier handlu, nazywa się Chlebek. Od dawna powinien być na emeryturze, ale bank trzyma go, bo jest jedynym inżynierem, który zna się jeszcze na lombardzie. Nie żeby się u nas z tego korzystało – to przecież metoda wykorzystywana w kapitalistycznych systemach kredytowych, nas więc w ogóle nie interesuje. Chlebek ma u nas zapewniony byt dlatego, że czasem ktoś z ministerstwa handlu zagranicznego pyta, co to jest lombard. Co to jest lombard, nie wiem.

Ten właśnie inżynier Chlebek, człowiek niedoceniany, usiadł pewnego dnia nad arkuszem papieru milimetrowego i zaczął prowadzić obserwacje, nad którymi pracował przez kilka kolejnych miesięcy. To, co odkrył, poruszyło cały Bank Narodowy. Już wcześniej było wiadomo, że pieniądze, które konfiskują nam strażnicy, nie pojawiają się następnego dnia w sejfie. Inżynier Chlebek wykrył, że te pieniądze nie wracają do banku nigdy, nawet przez rynek! Każde z was, dzieci, które kiedyś będzie mogło powiedzieć, że pracowało w handlu, musi już teraz jako przyszłego specjalistę ogarnąć zaskoczenie pełne złych przeczuć... Gdyby te pieniądze szły na przemiał, moglibyśmy przynajmniej myśleć, że są to wzruszająco proste i moralnie czyste działania przeciw inflacji, organizowane przez kręgi pozaekonomiczne, zazwyczaj źle poinformowane. Ale prawie nie możemy tak myśleć. Zresztą, niezależnie od przyczyny pewne jest, że ilość środków płatniczych bezwzględnie spada. Kiedy spadnie pod pewien poziom, zostanie naruszona równowaga między ilością banknotów i ilością bankierów, więc w naszym banku dojdzie do zwolnień. Tak brzmi prognoza inżyniera Chlebka, tak wyglądają nasze widoki na przyszły rok.

Nie mówmy jednak o banku, dzieci, mówmy o zwierzątkach, które są ładniejsze i spokojniejsze. Leżę na podłodze obok świnki i obserwuję ją. Poprzez długą obserwację wprowadzam się w nastrój, który kiedyś

przeżywałem często, lecz już dawno o nim zapomniałem. Kiedy ostatnio coś obserwowałem? Jak byłem mały, na polu. Obserwacja jako stan ducha.

Nasza dzisiejsza egzystencja ma charakter czynny. Swoje życia traktujemy jak napór. Całość życia społecznego, to, jak pracujemy, modlimy się i bawimy, jest przesiąknięta agresją: akceptowaną, wpajaną, przyjmowaną i wpisaną w plan. O produkcji i dyplomacji nie wspominam celowo, ponieważ nawet modlitwę uważam za agresję przeciw Bogu. Nasz wpajany i wszczepiany plan ma cele, których treścią ostatecznie okaże się – zadośćuczynienie. Do niego dążą nasze ruchy nawet w niedzielę i we śnie. Przerwę w ruchach odbieramy więc jako oddalenie zadośćuczynienia. Wszystko, co się dzieje, ten szeroki strumień i bieg wydarzeń, również tych przyjemnych i łagodnych, musimy regularnie odczytywać jako zderzenie kulturalnych form agresji. Nikt już na nic po prostu nie czeka, dlatego niczego nie można się doczekać, nikt też nie obserwuje. Obserwacja nie jest kultywowana i pielęgnowana, nikt jej nie uczy i wszyscy się jej nieświadomie zrzekli. Być może wciąż zanurzają się w niej starzy ludzie, bezwiednie, kiedy nie wspominają i nie rozmyślają. I oczywiście kiedy nie drzemią, czy nawet niepostrzeżenie nie umarli. Mamy, a jakże, specjalne instytucje obserwacyjne i laboratoria. Ale obserwacja ma tam wyłącznie wartość produkcyjną lub inwestycyjną, która musi być pożyteczna. Z obserwacją, którą mam na myśli, nie ma to nic wspólnego.

Prawdziwa obserwacja to, jak już przed chwilą z grubsza wyjaśniłem, stan ducha. Teraz wyjaśniam dokładniej, że jest to styl bycia. Cierpliwy, powiedzmy pasywny, milczący i cichy. Oczekiwanie? Nie, bo niby na co! Obserwatorowi czas nie biegnie jak rolnikowi czekającemu, aż wzejdzie zboże. Prawdziwego obserwatora wynik obserwacji nawet nie interesuje, nie jest przecież kotem śledzącym zachowanie myszy. Obserwacja, którą mam na myśli, to taki stan ciała, który nie przeszkadza nastrojowi ducha,

który jest. Ten duch jest pochłonięty, ale nie napięty oczekiwaniem. Nie jest uradowany ani zawiedziony, ponieważ nie ocenia. Obserwacja jest połączona z samozapomnieniem. Jest zatem czymś, do czego wśród wszelkich stworzeń zdolny jest tylko człowiek, ale jednocześnie wymaga wyrzeczenia się ludzkiego upatrywania zysku w obserwowanym procesie. Wzorowym obserwatorem byłby Bóg. Ponieważ Obserwator ma oko niepołączone z łapami, którymi można by ingerować w proces. Jedynie Bóg niczemu nie przeszkadza i niczemu nie pomoże. Jakby patrzył, ale nie widział, albo widział, ale udziały miał w innym przedsiębiorstwie.

Jednak o Bogu również nie mówmy, dzieci, mówmy o zwierzątkach, które są mniejsze i jaśniejsze. Z drewnianej skrzyni po artykułach zamorskich zrobiłem śwince klatkę. Zamiast przedniej ściany ma drucianą kratę wysoką na łokieć, dziecięcy. Żeby świnka czuła się lepiej ukryta przed drapieżnikami, których przecież nie mamy, przymocowałem do klatki wieko. Pawła takie rozwiąza nie nie zadowoliło i włożył do klatki jeszcze pudełko od nakręcanego autka. Świnka od razu wjechała tam jak do nory. Z wielkim trudem, aż rozczochrała sobie całą sierść, obróciła się, wygodnie się ułożyła i oparta na przednich łapkach jak stara kioskarka, nawet z tymi wąsami, wyglądała na zewnątrz. Teraz naprawdę ma prywatność, kiedy tylko zechce. Kiedy nie chodzi po klatce, siedzi w pudełku i powoli je od wewnątrz obgryza, wkrótce na pewno zje całe. Krótko mówiąc, jest to gryzoń pełną gębą.

Baliśmy się, że Paweł będzie zwierzątko męczyć, aż je zamęczy. Ale on, chociaż wciąż coś majstruje przy klatce, zdaje sobie sprawę z odmiennych potrzeb czterotygodniowej świnki morskiej i dziewięcioletniego chłopca. Świnka ma szczęście, że nie została podarowana którejś z was, dziewczęta, a tym bardziej dziewczynki. Najgorsze są dziś dziewczynki. Nie muszą nic robić, nie mają praktycznie żadnych zmartwień, a kiedy potem chcą

o kogoś zadbać, jedynie mu szkodzą z winy swoich tępych matek. Tępych znaczy ozdobionych, leniwych i tuzinkowych. Ach, wy, tego typu dziewczynki – waszych matek mam powyżej uszu. Boję się, wy groteskowe specjalistki od niczego, nawet nie od fortepianu, z kim ożenią się nasi chłopcy. Zrzucimy was ze schodów. Uspokójcie się, zapalcie sobie już teraz swoje papierosy z przyszłości i posłuchajcie zawczasu, co wam mówię: potrafię sobie wyobrazić, co by było, gdyby ten gryzoń zamiast Pawłowi dostałby się którejś z was, dziewczynek w jego wieku, jak byś go traktowała, głuptasko, ściskała i głaskała i miętosiła, aż by ze szczęścia przestał jeść, wyliniałby i zgasłyby mu oczy. Potem byś go, znamy to, we łzach i z wielkim smutkiem, który by ci się podobał, pochowała i nosiła mu na grobek kwiatuszki.

Paweł opiekuje się odpowiedzialnie. Dba o to, żeby świnka miała dużo prywatności. Czyści jej klatkę i namacza ziarno. On też mógłby sobie umyślić, że zwierzątko pobrudziło sobie białą sierść i musi się wykąpać. Wie jednak, że świnki morskiej nie należy moczyć, bo może od tego umrzeć. Paweł długo dociekał, kiedy właściwie świnka śpi i czy w ogóle jest w stanie u nas zasnąć. Zawsze widzieliśmy, że śpi z do połowy zamkniętymi oczami, na siedząco. Kiedy wreszcie Paweł przyłapał ją leżącą na boku jak prosię, przyleciał nam to oznajmić i wydedukował, że Albinosek już się do nas przyzwyczaił.

– Już się u nas zadomowił – stwierdził.

– Nie mógł się zadomowić, skoro nie ma domku – powiedział Vaszek.

– Zadomowić się pochodzi od słowa dom – powiedziała nauczycielka.

– Tak jak i domek – powiedziałem ja.

Vaszek postawił przy klatce Albinoska rusztowanie, jakie widuje na osiedlach. Z okrągłej puszki, którą nałożył na wał i połączył go z motorkiem elektrycznym, skonstruował betoniarkę. Potem zrobił sobie

kielnię, kątownik, wiaderka, przymocował do rusztowania kładkę i wciągał na górę zaprawę murarską i inne materiały. Dwaj murarze, panowie Kalfas i Malwaz, wchodzą co rano, kiedy Vaszek idzie do szkoły, po drabinach i rampach na rusztowanie i zaczynają pracę. Po lekcjach Vaszek pędzi do domu, żeby zastać ich jeszcze na budowie. Są tam, panowie Kalfas i Malwaz, właśnie jedzą drugie śniadanie, piją piwo i palą. Budowanie domu trwało niezwykle krótko, około czternastu dni. Potem Vaszek poinformował Pawła:

– Dopiero teraz masz prawdziwy dom dla tego swojego Albinosa.

I usunął swoje rusztowanie.

– Dziękuję panie Kalfas, panie Malwaz i Vaszku – powiedział Paweł.

– Panie Vaszku – poprawił go majster.

Spodziewaliśmy się, że Albinosek będzie uciekać z klatki, i baliśmy się, że go rozdepczemy. Ale świnka to nie kotek. Nie chce zmieniać miejsca pobytu, nie jest ciekawa. Wręcz przeciwnie, gdy ją wyjmiemy, jest nieszczęśliwa i popiskuje. Nauczyła się przełazić przez tę kratkę: najpierw przechodziła niezgrabnie, zaplątując się pazurkami w oka, a teraz umie już się odbić, wskakuje na górę i przelatuje na drugą stronę. Przełazi przez nią jednak tylko do środka, o wychodzeniu na zewnątrz nawet nie myśli.

W ogóle jest bardzo pasywna. Nie wiem, jak świnka kolegi Karaska może wejść koledze Karaskowi na dłoń. Kiedy stawiamy naszą świnkę na podłodze, porusza się zawsze od nas – do nas nigdy. I to przy ścianie, jak mysz. Tylko w swojej klatce, gdzie czuje się pewnie, jest swobodniejsza i przejawia delikatne tendencje zapoznawcze: podchodzi do palca, który pojawia się przy kratce, ale tylko wtedy, gdy jest głodna. Nie ucieka, kiedy pieści się ją po szyi, a nawet przymyka z rozkoszy powieki. Ale jeśli pogładzi się ją po głowie, od razu odtrąca rękę w gniewnym odruchu. A dotyku na pupce nie znosi w ogóle. Ucieka, a jeśli nie ma dokąd,

płaczliwie piszczy, a potem odwraca się w stronę drażniącej ją ręki i szczęka zębami. Wiem, wiem na pewno, że gdyby była odpowiedniej wielkości, choćby mi do kolan, odgryzłaby wam tę rękę. Wam, bo ja już bym jej nie drażnił. Ząbki, te dwa zakrzywione siekacze na górze i na dole, prawie bezustannie są w ruchu, jeśli mają dobry temat. Ale nikogo nie ugryzą. Na początku myśleliśmy, że świnka nie miałaby nawet dość siły, żeby przegryźć ludzką skórę. Jednak kiedyś przez pomyłkę, wyłącznie przez pomyłkę, przy karmieniu chwyciła Ewę z niecierpliwości za palec. Zobaczyliśmy, że siły ma dużo. Z tego wydedukowaliśmy również, że Paweł ma pogryziony nos, a nie podrapał się sam, jak twierdził.

Często kładę się na ziemi i zaglądam do klatki. Świnka siedzi chwilę w bezruchu i czeka, jaki moja obecność będzie miała wpływ na jej życie. Potem delikatnie się porusza, a jeśli wciąż nie dzieje się nic złego, robi parę spłaszczonych kroków. Po chwili w ogóle przestaje mnie zauważać. Tu i ówdzie podnosi źdźbło siana i sumiennie je piłuje. Potem idzie dalej, mrucząc do siebie półgłosem, tu i ówdzie zostawiając bobki. Takie drobne i suche, jakich często jest pod dostatkiem w łóżku Pawła, aż chcieliśmy już zaprowadzić go do lekarza. Podoba mi się, kiedy Albinosek siada na pupce, a przednimi łapkami czyści sobie twarz i cicho prycha. A kiedy musi się podrapać, przewraca się na bok i skrobie tylną nogą za uchem. Myślę, że nie jest mu u nas źle i że nawet przytył.

Wciąż zastanawiam się, co to jest. Kudłata maszynka? Zbłądzenie myśli bożej, która natrafiła na przeszkodę z powodu braków w wykształceniu? Kto odpowiada za tę paczuszkę? Umie chodzić, na swój sposób woła, patrzy i oddycha. Ale nie czuję tego pragnienia chłopców w najlepszym wieku – zobaczyć, co jest w środku. Na podłodze jest równo i ciepło. Kiedy biorę to małe zwierzę do ręki, rzuca się w powietrzu, broni się drapaniem nieszkodliwymi pazurkami, po czym flaczeje jak ciepły worek kompletnych

wnętrzności. Niezwykłe, niezwykłe. Stawiam sobie świnkę na dłoni, kręci się na niej nerwowo, obwąchuje ją, wychyla się za jej krawędź w przepaść, ale nie idzie – wie. Jest tylko jedna droga, znajduje ją: po ręce do rękawa. Hop i już zagłębia się wciąż dalej i dalej. To jest piękne.

Nie potrafię pojąć, że można je sprzedawać. Że jest to zgodne z prawem. Równie dobrze mogliby śwince sprzedać mnie. Ktoś może kupować sobie jedno zwierzę za drugim i nikt nawet nie zapyta: – *Co pan wciąż z nimi robi?* Robi? Było nietolerancyjne, agresywne, zarozumiałe, bezczelne, pozbyłem się go. Koń, który jest tysiąc razy większy, nie znajduje się bynajmniej w lepszej sytuacji. To kwestia obyczaju – nie kupować sobie niewolników. To taki sam koszmar dla wszystkich, nie przybijajcie żab do bram, chłopcy, ani kobiet do stołów, wojska! Widok inżyniera Chlebka jest niezwykle nieprzyjemny. Wytrzeszczone, kaprawe oczy, zapłakany, czerwony nos, zepsute zęby. I śmierdzą mu nogi. Sierść świnki morskiej pachnie jak sierść kózki. Odkładam Albinoska do klatki, jestem wstrząśnięty: jest to u nas kilka dni, a już to sobie myśli, że to ma swój dom, swoje prawa lokatora, swoją intymność, suwerenność i tajemnicę korespondencji. Kiedy wypuszczono ją z niebezpieczeństwa, wraca do domu, idzie się wysikać, poprawia sobie futerko, myje twarz, robi nawet pedikiur, całkiem wyraźnie słychać, jak obgryza przydługie pazurki. Wchodzi do pudełeczka, mozolnie się w nim obraca, kładzie ręce pod głowę, patrzy i oddycha, oczy się jej zamykają. Jest niedzielne popołudnie. Ewa też zasnęła, czytając „Wiadomości literackie" i nie myśli o nich ani o obłąkanej dziewczynce ze szkoły. Chłopcy poszli na dworzec. Uczyć się – to nie ma komu. Zajrzałbym Pawłowi do dzienniczka ucznia, jak wstanę z ziemi. Ale nie mogę, nie jestem w stanie włączyć sterowania łap.

Kiedy wreszcie udało mi się uruchomić łapy, grzebałem w plecaku Pawła. Dzienniczka ucznia tam nie było, ale innych ciekawych lektur miał

sporo. Lecz o świnkach morskich nie było nic. Zdziwiło mnie takie niedopatrzenie i zaraz postanowiłem napisać czytankę do elementarza. Oto ona:

Świnka morska. Mamy w domu świnkę morską. Świnka jest mała i miła. Ma białe futerko i czerwone oczka. Nazwaliśmy ją Albinosek. Albinosek oddycha, siedzi i patrzy. Patrzy cały dzień. Je warzywa, żyto i siano. Robi dużo małych bobków. Paweł się dziwi i krzyczy:

– Albiś, Albiś! Co ty wyprawiasz?

Vaszek mówi do Pawła:

– On jest mały!

Mamusia mówi:

– Jest mały, musi zajadać.

A tatuś na to:

– Kto zajada, ten robi bobki.

Wszyscy bardzo lubimy Albinoska.

Kiedy napisałem czytankę, wysłałem ją do ministerstwa szkolnictwa, do wydziału elementarzy. Nie mogę się doczekać zdziwienia Pawła, gdy wychowawczyni da mu następną część.

IV

Po dwóch tygodniach odesłano mi z ministerstwa czytankę o śwince morskiej. W załączonym liście ci tchórze śmierdzący napisali, że nie mogą zamieścić jej w elementarzu, ponieważ jest za długa. Znam to, tak tłumaczą się wszystkie redakcje, kiedy nie chce się im opublikować prawd oczywistych nawet dla dziewięcioletniego dziecka. Za długa, za długa! Najpierw chciałem do tego ministerstwa iść, potem pomyślałem, że wystarczy, jeśli do nich napiszę, a w końcu stwierdziłem, że w sumie mam to gdzieś. Po co się poniżać?

Bo przecież – o co chodzi? Po co coś pisać i po co pisać czytanki o śwince morskiej, której nie dzieje się nic złego? Wystarczy, że na nią spojrzę i już wiem, co jest najważniejsze. Ten, kto nie potrafi odnaleźć w życiu równowagi, zagryzie się jałową ambicją, bezmyślną rywalizacją i małostkową zawiścią. Normalny człowiek nie pisze nic. Albo wszystko u niego w porządku, w pracy i w glacy, albo nie – ale jeśli w porządku ma chociaż głowę, wie przynajmniej, że nikt tego za niego nie uporządkuje. Najwyżej parę osób trochę popasożytuje na jego niedoli, zanim definitywnie zostawią go samemu sobie. Po co więc pisać. Już lepiej spać. Pisanie jest zawsze jakąś oznaką bezsilności lub płodem zszarganych nerwów, zdradza kompleksy lub nieczyste sumienie. Im większa literatura, tym większa histeria – zwróćcie uwagę. *Cichy Don:* czy to wyrzuty

sumienia z powodu zabitych, czy kompleks niższości wywołany tak małą liczbą zabitych w tak sprzyjających okolicznościach? Pisanie jest zdrowe tylko wtedy, gdy pisze się z zamiłowania, gdy jest to rozrywka dla autora i dla czytelnika, bądź źródło dochodu. Ja, na przykład, spędzam przy tym miło czas i wymiguję się od rachunkowości.

Lecz niedawno z zaskoczeniem stwierdziłem, że nie potrafię szybko odpowiedzieć, ile jest dziewięć razy siedemnaście. Odprowadzałem Ewę do pracy, a kiedy zbliżaliśmy się do szkoły, kłębiło się tam stado dziewczynek. Nagle jedna mała istotka oderwała się od grupy i biegła z rozpostartymi ramionami w naszym kierunku. Poruszała się trochę niezgrabnie, jakby potykała się o własne nogi, ale uśmiechała się do nas z daleka. Myślałem, że to jedna z uczennic Ewy biegnie na spotkanie swojej ulubionej nauczycielki, a zachowanie Ewy to potwierdzało. Jednak dziewczynka, kiedy do nas dobiegła, wpadła na mnie, objęła mnie w pasie, spojrzała w górę i zaśmiała się. Byliśmy tym z Ewą bardzo zaskoczeni i nie umiem sobie wyjaśnić tego inaczej niż tak, że dziewczynka z początku naprawdę biegła do swojej nauczycielki, jednak nagle z jakiegoś intrygującego powodu ja również zdobyłem jej zaufanie.

– He, ehe, ehe, he – śmiała się z otwartymi, uniesionymi ustami, na plecach miała tornister, a na oczach okulary z przynajmniej dziesięcioma dioptriami.

– No! Serwus! – powiedziałem koleżeńsko.

– He, ehe – rzekła dziewczynka – ty mi na pewno pomożesz: ile jest dziewięć razy siedemnaście?

– Dziewięć razy siedemnaście? – zdziwiłem się.

– Przecież musisz to wiedzieć! – powiedziała dziewczynka i żeby to podkreślić, ugięła nogi w kolanach. – Przecież liczysz przez cały rok!

– Irenko, ty znasz tego pana? – zdziwiła się Ewa. Z pewnością nigdy nie opowiadała dzieciom o mnie ani o mojej pracy.

– Znam – odpowiedziała dziewczynka. – On nosi w kieszeni świnkę morską. Pokaż mi świnkę, dobrze? Pokaż!

Ta przygoda zbiła mnie z tropu. Nie chciałbym przebywać w pobliżu takiego dziecka.

– No to poznałeś moją obłąkaną Irenkę – powiedziała Ewa potem. Podobno zachowanie uczennicy kwalifikowałoby ją raczej do szkoły specjalnej, ale z uwagi na inteligencję i dobre wyniki w nauce byłaby to dla niej duża krzywda. Nie do specjalnej! Do bardzo specjalnej szkoły dałbym takie dziecko!

Próbuję tresować świnkę, ale na razie nie widzę postępów. Jak wołać na świnkę, żeby przyszła? Na króliki wołaliśmy w domu *tuś-tuś-tuś-tuś*! Ale na wabienie świnki morskiej nasz język nie ma żadnego dźwięku – to są zwierzęta egzotyczne. Powinno więc być obojętne, czy będę na nią wołać *kici-kici*, *na-na*, czy *gąski-gąski-gąski*! Najpierw musi powstać związek między wołaniem a pokarmem. Ale to u nas niemożliwe, ponieważ u nas świnkę karmi każdy, komu zostanie coś w ręce i akurat przypomni sobie o zwierzątku. Paweł idzie wieczorem do łóżka, kładzie na poduszkę książkę, kilka jabłek, czyta, a ogryzki wrzuca do klatki stojącej przy jego łóżku. Żyje się mu wygodniej niż tym, którzy świnek przy łóżku nie mają.

Kiedy Paweł czyści klatkę, daje świnkę na swoje łóżko i dostaje za to klapsa. Jeśli czasami nie chce klapsa, przychodzi do nas i pyta:

– Czy ktoś chce na chwilę tego pięknego Albinoska?

Biorę zwierzątko i wkładam je do kieszeni bluzy. Świnkę trzeba wkładać do kieszeni i wszędzie indziej głową do przodu, ona odwróci się potem sama. Pupką do przodu nigdy nikomu z was świnka do żadnej dziury nie wejdzie! Przerażona rozczapierzy nóżki i wygląda to tak, jakbyście

próbowali tyłem wcisnąć jeża w sweter. Głową do przodu – bez protestów. Potem siedzi mi w kieszeni, nawet nie piśnie, a ja chodzę sobie z nią, rozmyślając o problemach. Żeby było jej ciepło i bezpiecznie, trzymam na niej, w miarę możliwości, rękę.

Czasem kładę ją na stół, kiedy pijemy z Ewą herbatę. Ewa obserwuje świnkę i myśli – nie wiem, o czym myśli. A ja myślę o śwince i staram się zwabić ją z powrotem na swoją dłoń. Świnka przez chwilę stoi w miejscu, potem ostrożnie zaczyna jakby kwilić, rozgląda się rozbieganymi, szklanymi oczkami, potem ośmiela się poprawić położenie którejś nogi, żeby się podnieść, aż wreszcie przykurczonym krokiem wyrusza na obchód wyspy, na którą została rzucona przez nieznaną siłę. Ciepło filiżanek z herbatą wyczuwa z daleka, zapiera się nóżkami o ziemię, unosi głowę i drżącym noskiem wietrzy w powietrzu zapach pary. Szybko uciekać! Obchodzi cukierniczkę, nie interesując się nawet, co jest w środku. Kiedy przypadkowo łyżeczka upadnie na talerzyk, świnka podskakuje jak smagnięta biczem. Przy dalszych stuknięciach, zamierzonych, strzyże różowymi małżowinami. Ewa nie może na to patrzeć, myśli, że ostry dźwięk ją boli, prosi, żebym przestał. Przestaję.

Po takim spacerze po stole, na którym wygląda dość nietypowo, biorę świnkę na dłoń i odnoszę ją do jej domu. Czekam, aż za jakiś czas skojarzy moją dłoń z obietnicą szczęśliwego powrotu i sama zdecyduje się na nią wejść. W domu świnka od razu udaje się do któregoś kąta i tam w sposób niezwykle dystyngowany, prawie niezauważalnie, załatwia swoje potrzeby. Widzę w tym przejaw swoistego szlachectwa. Co by było, gdyby na obrus między filiżanki postawić kurę!

Kolega Karasek zapytał, co porabia nasza świnka. Powiedziałem, że się nam podoba, ale nie porabia prawie nic. Jestem zaskoczony jej biernością. Odparł, że świnki morskie nie są zbyt inteligentne. Zapytałem go, jak to

jest, że jemu świnka wchodzi na rękę, a mnie nie chce. Nie odpowiedział, myślałem, że nie usłyszał pytania. Na końcu godzin urzędowania, przy zamykaniu biurek, powiedziałem, że zawsze chętnie zwijałem się z banku, ale teraz chodzę do domu z jeszcze większą radością. Kolega Karasek skinął głową, że to rozumie i zna. Ponownie zapytałem, jak to jest, że jemu świnka wchodzi na rękę, a mnie nie chce. Zmienił pod stołem buty, potem obok szafy przebrał marynarkę. Dopiero kiedy był gotów do wyjścia, odpowiedział:

– Niech pan ją postawi na rozgrzaną kuchenkę, panie kolego, i nadstawi jej dłoń.

Pożegnał się i pośpieszył do domu.

Doszło do tego, do czego dojść musiało, Paweł zapytał mnie, czy mamy samca czy samiczkę. Mamy samca, ale Pawłowi powiedziałem, że to bez różnicy.

– To nie jest bez różnicy – zaprzeczył – ponieważ gdybyśmy mieli samiczkę, moglibyśmy ją zapłodnić.

– Ale nie zamierzamy przecież zakładać królikarni – odparłem.

– Nie zamierzamy zakładać królikarni, ale jeszcze jedna mała świnka by się tam zmieściła – powiedział. – A gdyby urodziło się ich więcej, moglibyśmy je sprzedać tam, gdzie kupiłeś Albinoska.

– Albinoska znaleźliśmy pod choinką – zwrócił Vaszek uwagę młodszemu bratu.

– Jestem przeciwny handlowaniu zwierzętami.

– No to rozdałbym je w klasie – powiedział Paweł.

– Ta debata i tak jest zbyteczna – zamknąłem rozmowę – ponieważ to jest samiec.

– Niedokładnie się przyjrzałeś, tatusiu, chyba. Coś ci pokażę – Paweł obrócił Albinoska do góry brzuchem. Zwierzątko wierzgało w powietrzu

przednimi nóżkami i kopało tylnymi, wykręcało głowę i wymachiwało wąskimi, przecinkowatymi siekaczami.

– Widzisz te małe cycuszki?

– Też coś! Takie same mamy wszyscy, jak tu jesteśmy – powiedziałem. Ewy nie było w domu.

– No to po czym się to poznaje? – zapytał Paweł.

Wziąłem świnkę, rozgarnąłem jej sierść na pupce i odwróciłem ją w stronę Vaszka, ponieważ jest starszy. Ale Vaszek powiedział:

– Tam nic nie zobaczysz, już to sprawdzaliśmy.

Rzeczywiście, w tym pomniejszeniu, na tak małym ciałku laikowi trudno było cokolwiek stwierdzić. Miałem wątpliwości. Musiałbym dla porównania zobaczyć samiczkę.

– To jest samiec – powiedziałem.

– A gdyby to była samiczka, tatusiu, pozwoliłbyś nam zostawić jedno młode? – zapytał Paweł.

– Możesz zostawić sobie wszystkie młode, które ten samiec urodzi – powiedziałem i odłożyłem Albinoska do klatki. Paweł miał taki wyraz twarzy, jaki prawdopodobnie miała Maryja Panna podczas zwiastowania.

– W takim razie ja chcę znów mieć kota – powiedział Wacław Herod i udał się pod stół na budowę.

Później, w nocy, kiedy chłopcy już spali, a Ewa przygotowywała się w swoim pokoju, ja jak zwykle liczyłem. I przypomniałem sobie o koledze Karasku. Jak bardzo rozgrzana powinna być ta kuchenka! Kiedy Ewa powiedziała mi *dobranoc* i zgasiła światło, poszedłem po świnkę. Wygrzebałem ją z jej do połowy zjedzonej kwatery. Spała jak chyba suseł, nawet się nie broniła. Zaniosłem ją do światła i postawiłem na stole. Rozpłaszczyła się, zaspana, odrętwiała, poczekała kilka minut, po czym poprawiła ułożenie, wciągając pod siebie rozrzucone nóżki. Kilka razy

mruknęła i wyruszyła na obwąchiwanie papierów i książek. Chodziła i marudziła zirytowanym, niepewnym głosikiem. Rozejrzałem się po pokoju. Mój wzrok padł na stolik konferencyjny ze szklanym, nienakrytym blatem. Wziąłem świnkę z obrusu i przeniosłem ją na ten stolik. Nigdy w życiu nie stała na szkle. Ze zdumienia otworzyła czerwone oczy i zaczęła się nieznacznie chwiać. Pazurki jednej krzywo postawionej nogi delikatnie stukały o szkło. Spojrzałem na zegarek. Czekałem. Dopiero po piętnastu minutach świnka odważyła się podnieść pupkę i schować wyciągniętą nogę. Siedziała teraz w swojej najbardziej zamkniętej pozycji, w której ma najmniejszą długość: jest głowa i zaraz za nią następuje zupełny koniec świnki morskiej. Wygląda jak spartaczony królik: ma złe proporcje, niemiłe dla oka. Świnka morska w ruchu rozwija długość dwukrotnie większą, ale wtedy wygląda z kolei jak spartaczona wiewiórka: ma krecie tylne nogi i brakuje jej jakiegoś ładnego zakończenia. Świnka siedziała w miejscu jak zamurowana. Z zimna podniosła się jej troszeczkę sierść, świnka dwa razy bezgłośnie, tylko wewnętrznie czknęła, a potem siedziała i siedziała. Położyłem dłoń na skraju szklanego blatu. Świnka jej nie widziała. Położyłem dłoń tuż przed nią. Jak zamurowana. Przysuwałem dłoń bliżej, aż dotknąłem paluszków jej przedniej nóżki. Nie ruszyła się, nie mrugnęła, tylko odsunęła łapkę o dwa milimetry, żeby mnie nie dotykać. Spojrzałem na zegarek. Poczekałem piętnaście minut. Potem opuściłem głowę i oparłem czoło o szklany blat. Był chłodny.

Coś połechtało mnie po włosach. Coś delikatnie pisnęło. Chodziło to wokół mojej głowy, rozgarniało jej sierść i próbowało zanurzyć się w ciepło. Uniosłem twarz, moje oczy znalazły się dokładnie naprzeciw rozwartej buźki bardzo małego zwierzątka. W jej króliczym rozszczepieniu błyszczały dwa mysie ząbki, długie białe wąsiki drżały, a różowe, rzadko owłosione nozdrza trzęsły się jak na wietrze.

Wziąłem zwierzątko Pawła w obie dłonie, ogrzałem je swoim oddechem, pocałowałem w główkę, żeby sprawdzić, czy jestem w stanie to zrobić, i wypuściłem w tych późnych godzinach nocnych do domu. Jeszcze poprosiłem, żeby jutro nikomu nic o tym nie wspominało.

Kiedy kilka dni później wróciłem z pracy, Ewa oznajmiła mi ze złością, że mamy następną świnkę i że nie powinienem był się na to zgodzić. Nie może u nas zostać pod żadnym pozorem. Odparłem, że na nic się nie zgodziłem, i spytałem, dlaczego nie może u nas zostać. Ewa stwierdziła, że to strasznie dzikie zwierzę, które w ogóle nie pasuje do Albinoska. Nie nadaje się do trzymania w mieszkaniu. Już dziś wszyscy musieli je łapać za szafą, pod łóżkami, w łazience za wanną, w koszu na bieliznę i za muszlą. Zrzuciłem szybko kapelusz i buty i w płaszczu popędziłem do zwierzyńca.

– Paweł! Co ty sobie wyobrażasz?

Siedział zgnębiony nad podręcznikiem i chyba z bezradności odrabiał zadanie.

– Mamy nową świnkębamorską – powiedział blady i grzecznie wstał od stołu.

– Dlaczego mamy nową świnkębamorską? To mnie przede wszystkim interesuje.

– Mówiłeś, że jedno młobade naszego Albinoska będę mógł sobie zostawić. A przecież… do tego potrzebujemy samca.

– Przecież go mamy! Albinosek to samiec! – powiedziałem.

Przy takich moich ostrych rozmowach z Pawłem Vaszek zawsze chodzi po cichu obok i w przyjemnym podekscytowaniu aferą, która go nie dotyczy, czeka, aż spuszczę Pawłowi lanie. Sam może to bowiem robić tylko po kryjomu, żeby Paweł zbytnio nie wrzeszczał, ponieważ jeśli wrzaśnie i wpadnę tam ja, nigdy nie wiadomo, kogo ukarzę po krótkim i niedbałym śledztwie. Czasem denerwuje mnie to, co robi Paweł, kiedy

indziej znów bardziej to, że Vaszek go upomina, czy wręcz mu rozkazuje. Dla Vaszka najlepszą sytuacją jest bezpośredni spór Pawła ze mną. Wtedy chodzi, uśmiecha się i czeka. Tyle że ja nie mam wcale ochoty złoić skóry jednemu, żeby ucieszyć drugiego, a przede wszystkim nie chcę rozdawać klapsów, o których nie mam pewności, kto je tak naprawdę wymyślił. Czasem wręcz staram się, żeby za mój spór z Pawłem pięknie zapłacił Vaszek.

– Albinosek to samiec! – krzyknąłem więc.

– Mówiłem mu to – wtrącił Vaszek.

– Co mu mówiłeś? Przecież jeszcze niedawno twierdziłeś, że nie da się tego rozpoznać – powiedziałem.

– Racja. I że ty mimo to stwierdziłeś, że to samiec, mówiłem mu!

– Wiesz co? – zapytałem. – Od tej chwili bądź z łaski swojej cicho!

Vaszek zaczął w milczeniu chodzić po pokoju i uderzać linijką o dłoń. Paweł powiedział:

– Ale tatusiu, ja przecież brałem pod uwagę to, że Albinosek jest samcem! Ale jednocześnie mówiłem sobie: a co, jeśli to samiczka? Dlatego zabezpieczyłem się na obie ewentualności.

– To co kupiłeś! Samca czy samiczkę?

Schyliłem się do klatki, gdzie zobaczyłem jednak tylko jedno zwierzę, białe, z czerwonymi oczami.

– Kupiłem po prostu świnkę jak najbardziej różniącą się od Albinoska. Ma trochę inny kształt i zupełnie inaczej się zachowuje. Sam zobacz – skinął nieśmiało w stronę klatki.

Zajrzałem tam ponownie: w półmroku, w kącie, naprawdę siedziała i jadła. Miała kolory maskujące: była rudawa z czarnymi plamami. Sięgnąłem po nią. Nowa świnka zaczęła dziko biegać, przeskakiwała mi przez rękę, odepchnęła nogami miskę z ziarnem, wjechała do pudełka

i wystrzeliła z niego na drugim końcu. Próbowała nawet wspinać się po ścianie klatki. Natomiast Albinosek siedział przerażony w kącie i pozwalał się nawet deptać. W końcu schwytałem to zwierzę i wyciągnąłem do światła. Było trochę mniejsze niż Albinosek, miało czarną głowę, ryży tułów i czarne nogi. Czarne oczy miały bystre spojrzenie. Jeżeli oczy Albinoska przypominały mi zawsze soczewkę aparatu fotograficznego, która widzi wszystko jako całość, ale nic osobno – wzrok nowego zwierzęcia był ukierunkowany, punktowy, czarny. Nawet gołą skórę, którą nasz Albinosek miał różową, to stworzenie miało czarną. Rzucało się dziko, drapało, wykręcało głowę jak drapieżnik próbujący dosięgnąć zębami mej ręki. Trzymałem je pod przednimi nogami, wyrwało się jednak z uścisku i zawisło mi w palcach, tylko za głowę, szybko wrzuciłem je z powrotem do klatki. Widziałem, że jest to piękne zwierzę. Wyglądało na świeżo przywiezione ze swej ojczyzny – z Peru.

– No nie wiem – powiedziałem. – Jeszcze przedyskutuję to z mamą.

– Przedyskutujcie to tak, żeby skończyło się dobrze – poprosił Paweł.

Tego dnia wszyscy daliśmy nowej śwince spokój, żeby mogła się zaaklimatyzować. Zerkaliśmy tylko na nią czasami. Zastanawialiśmy się, co to jest, wszyscy czworo, jak tam byliśmy.

Później, w nocy, kiedy chłopcy spali, a Ewa też miała już zgaszone światło, siedziałem nad papierami i jak zwykle liczyłem. Przypomniałem sobie o koledze Karasku i poszedłem do pokoju dziecięcego popatrzeć na świnkibamorskie. Albinosek drzemał w kącie klatki na deszczu, ponieważ jego domebeczek zajęło jakieś dzikie zwiebirzę. Podniosłem ten domeczek i sprawiedliwie wytrzepałem grabieżcę na swoją dłoboń. Zaniosłem go do siebie i położyłem pod lampę na obrus. Zwierzę skuliło się jak do skoku, kręciło pyszczkiem i ruszało nawet łysymi uszami, które były czarne. Ponieważ stałem za jego plecami, odwracało do mnie głowę gwałtownymi

ruchami to w prawo, to w lewo. Poczekało parę sekund, zanim zaczęło sunąć przez moje papiery na skraj stołu. Obeszło wyspę, na którą rzuciła je nieznana siła… i zamierzało ją po prostu opuścić. Wychyliło głowę, spojrzało w dół, rozczapierzyło palce i przestępowało z nogi na nogę, podejmowało decyzję. Takie małe stworzenie przy upadku z tej wysokości musiałoby zrobić sobie krzywdę. Dlatego obiegłem szybko stół, żeby nie pozwolić mu skoczyć w przepaść. Jak błyskawica czyli mysz, tak niewidzialnie, że nawet nie jesteście nawet pewni, czy tam było, przeleciało pędem przez cały stół, zmiotło budżet krajowy, nad którym pracuję, zeskoczyło na krzesło, a z krzesła na podłogę. Jeszcze przez chwilę patrzyłem na to w bezruchu. Jakaś szczątkowa percepcja na siatkówce oka podpowiadała mi, że chyba poleciało za kaloryfer.

Zgadza się. Udało mi się zapędzić je pod rurkę i złapać. Podniosłem je, głaskałem i przekonywałem, żeby się nie bało, głupie. Było tylko przerażone, oddychało jak wiatraczek, a pod cienkimi żeberkami serce waliło mu jak damski zegarek. Mogłem odnieść je do klatki, ale wybrałem stolik konferencyjny i położyłem zwierzę na szkło. Zesztywniało. Nigdy w życiu nie stało na czymś takim. Zdawało mi się, że trochę zjeżyła mu się sierść. Mrugnęło oczyma, każdym osobno. Poruszyło wąsikami na nosie. Nagle podrapało szkło i mimo iż nie mogło od razu nabrać prędkości, zniknęło wcześniej, niż zdążyłem wyciągnąć rękę. Zeskoczyło na podłogę i dwie sekundy leżało zamroczone. Potem wolno, stosunkowo wolno, odczołgało się do kąta. Z łatwością je tam chwyciłem. Nawet się nie broniło. Obejrzałem je i odniosłem do klatki. Wcisnęło się do pudełka, w którym leżał Albinosek. Tak ich tam zostawiłem, więcej nie wiem.

Zauważyłem, że jestem bardzo zdenerwowany. Wolałbym, żeby to się nie stało. Że też nie poszedłem po prostu spać!

V

W kolejnych dniach nie wyglądało to z nową świnką najlepiej, nie chce mi się mówić o zwierzątkach, pomówmy lepiej o banku.

W banku jest źle, ale tam to nie moja wina. Tam strażnicy konfiskują wszystkim pieniądze i dają je gdzieś, gdzie wszelki słuch po nich ginie. Inżynier Chlebek, nasz ostatni specjalista od lombardu, zasiał w nas obawę przed zbliżającym się rzekomo kryzysem. Twierdzi, że jest on nieunikniony, ponieważ za sprawą strażników coraz większa ilość banknotów będzie wypadać z obiegu, więc coraz więcej towarów będzie leżeć najpierw na regałach sklepów, potem magazynów, a w końcu na podwórzach fabryk. Do zwolnień dojdzie nie tylko w naszym Banku Narodowym, ale wszędzie, a bezrobotni nie będą mieli za co kupować zalegających towarów, więc będą leżały coraz dłużej. Czyli klasyczny kryzys gospodarczy, o jakich słyszy się dziś już tylko w szkole. Kryzys to wir, który zaczyna się od niewinnego dołka na spokojnej wodzie, pogłębia się i rozszerza, kręci się coraz prędzej, wsysa powietrze i płynące przedmioty, przy czym syczy, potem huczy, aż wreszcie ryczy. W literaturze specjalistycznej znalazłem trafny opis takiego kryzysu gospodarczego. Kusi mnie, by go tu zacytować:

Kiedy starzec mówił, rozległ się donośny i stopniowo wzmagający się zgiełk, podobny do poryku nieprzeliczonego stada bawołów na preriach amerykańskich; równocześnie zauważyłem, iż to, co żeglarze nazywają chełbotaniem oceanu, przeobraziło się nagle w prąd, zwracający się ku wschodowi. Prąd ten w mych oczach przybierał niesłychaną szybkość… Wręby wiru zaznaczyły się szeroką kresą skrzącej się piany; nie dostawała się ona wszakże ani w odrobinie do straszliwej gardzieli leja, którego wnętrze, o ile można było dosięgnąć okiem, przedstawiało się jako gładka, lśniąca i ogromnie czarna ściana wody, nachylona do poziomu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, kołująca zawrotnie krętym, mdlejącym obrotem i wyrzucająca w przestrzeń przeraźliwy, coś z wrzasku i ryku mający w sobie głos, jakim w śmiertelnych podrzutach nie zieje nigdy ku niebu nawet potężny wodospad Niagary.

Góra zadrżała w posadach i chwiały się głazy. Przejęty nerwowym podnieceniem padłem twarzą na ziemię, czepiając się nikłego zielska.

– To musi być – rzekłem w końcu do starca – wielki wir Maelströmu, nieprawdaż?

– Tak go istotnie niekiedy nazywają – odpowiedział. – My, Norwegowie, zwiemy go Moskoeström, od wyspy Moskoe.

Pierwotnie nie miałem zamiaru tego tutaj zdradzać i nigdy nie mówiłbym o tym, że inżyniera Chlebka jeszcze niedawno nazywano powszechnie inżynierem Brudasem. Kiedy usłyszałem to przezwisko po raz pierwszy, poczułem się nieprzyjemnie. Ale kiedy tylko zacząłem zwracać na niego uwagę, zrozumiałem, czym sobie na to zasłużył. Inżynier stawał w kolejce po obiad z niewiarygodnie starą, odrapaną i poobdzieraną, pokrytą strupami skórzaną aktówką, która nie miała już zamka, zawiązywał ją więc na dwa rzemyki, właściwie jeden, drugi się nie dopinał, ponieważ

po tej stronie inżynier nosił w aktówce bańkę. Kiedy przychodziła jego kolej, najpierw brał przygotowany już na ladzie talerz zupy, a potem podawał przez ladę swoją niebieską bańkę, do której nalewano mu kilka kolejnych chochli. Następnie przesuwał talerz po ladzie, w jednej ręce niosąc bańkę, uniesioną jak lampę górniczą, a aktówkę ściskając pod pachą. Wolną ręką brał tacę z drugim daniem. Potem wszyscy z ciekawością obserwowali, jak inżynier próbuje zmieścić na tacy jeszcze miseczkę z owocami albo surówkę, deser leżący na papierowej serwetce – no i tę bańkę. Zazwyczaj mu się nie udawało, odstawiał więc bańkę na ladę i z talerzem zupy w jednej ręce i tacą w drugiej chwiejnym krokiem szedł w stronę stołu. Po drodze oglądał się na bańkę, jakby ktoś chciał mu ją zabrać. Zawsze upatrywał sobie stół, przy którym nikt nie siedział, a jeśli wszystkie były zajęte, przysiadał się do kogokolwiek, a i tak po chwili miał ten stół tylko dla siebie. Chyba nigdy nie wpadł nawet na to, dlaczego tak jest.

Odkładał jedzenie i wracał po bańkę, znów niosąc pod pachą aktówkę, której utraty nie chciał ryzykować. Miał ją chyba jeszcze z gimnazjum. Siadał przy stole, a bańkę stawiał z prawej strony krzesła, na ziemi. Kładł sobie na kolana aktówkę i rozpinał rzemyki. Z aktówki wyciągał kromkę chleba i rozdrabniał ją do zupy. Czasem, jeśli danie główne było z knedlami, drobił sobie do zupy również knedle, których w tym celu kazał sobie nałożyć więcej. Kiedy zjadł zupę, danie główne przygotowywał tak, że wszystko porozrywał łyżką na kawałki, mieszał z sosem i dopiero potem jadł. Kiedy czuł się nasycony, a został mu jeszcze kawałek knedla, podnosił z podłogi bańkę, stawiał ją przed sobą na stole i wrzucał resztkę jedzenia do zupy. Uważnie bańkę zamykał, odkładał na podłogę, po czym jadł surówkę i ciasto. Zawsze wszystko porządnie wyskrobywał łyżką, a wodę po surówce wypijał. Kiedy wytarł sobie usta chusteczką i zawinął łyżkę

w ścierkę, w którą owiniętą miał przedtem kromkę chleba, inżynier Chlebek wkładał ostrożnie bańkę do aktówki i wychodził. Z nikim się nigdy nie witał ani nie żegnał.

To prawda, że siorbał i mlaskał, że knedle nasiąknięte sosem koperkowym wrzucał do rosołu, to prawda, że miał wypchane spodnie i że śmierdziały mu nogi, ale poza tym był czysty, włącznie z kołnierzem i mankietami białej koszuli. Ale obdartus był z niego straszny – wyglądał jak rzecz pochodząca z czasów lombardu. I nigdy bym tu o tej ksywce nie wspominał, gdyby nie fakt, że nagle zniknęła, jakby wypadła z obiegu, nikt już jej nie używał i wszyscy zamiast inżyniera Brudasa zaczęli na starszego pana mówić inżynier Maelström. W porównaniu z Brudasem Maelström brzmi tak monumentalnie i dostojnie, że to pierwsze przezwisko wydaje mi się zupełnie wymazane, na zawsze obalone i nieobowiązujące. To, jak powstało, opisałem tylko po to, by stwierdzić, że już zanikło, ponieważ zniknięcie inżyniera Brudasa i pojawienie się inżyniera Maelströma jest najlepszym dowodem zainteresowania, jakie wzbudziła w naszym banku hipoteka inżyniera Chlebka.

Z początku inżynier przedstawiał swoją hipotekę mimochodem, na korytarzu lub w windzie, a najczęściej pod kioskiem znajdującym się tuż za drzwiami obrotowymi. Dużo ludzi przestoi tam dużo godzin i przepali dużo pieniędzy. Z pewnością to tam inżynier zwrócił na siebie uwagę dyrektora banku, który również tam zagląda i pogania palących, żeby wracali do pracy. Podejrzewam, że do ich spotkania doszło prawdopodobnie w następujący sposób: dyrektor szedł rano do swojego banku i zobaczył przy głównym wejściu, jak zwykle, grupkę stojących pod kioskiem bankierów, którzy lubią wcześniej przychodzić do pracy. Stali w kręgu, twarzą do środka. Dyrektor przywitał się, oni odwrócili głowy i odpowiedzieli, a on na to:

– No, panowie, do pracy, do pracy!

– Już idziemy, tylko dopalimy – odpowiedzieli, unosząc ręce z papierosami. Znów obrócili się do wewnątrz. Zatrzymał się i podszedł do nich.

– Co wy tam w środku macie?

– Pan inżynier ma tu coś ciekawego.

Rozstąpili się i wpuścili dyrektora między siebie. Pośrodku stał inżynier Chlebek w rozpiętym szarym płaszczu i czarnym kapeluszu, w jednej ręce trzymał najprawdopodobniej kilka arkuszy papieru milimetrowego, a w drugiej na pewno papierosa. Aktówka stała przy jego nodze jak stary spokojny pies. Dyrektor z zakłopotaniem potrząsnął mu prawicą, mówiąc:

– Co takiego, co takiego?

Inżynier powtórzył mu, co przedtem powiedział kolegom, a dyrektor zaprosił go do swojego gabinetu. Wskazał mu krzesło i rzekł:

– Proszę pana, niech mi pan to powie jeszcze raz, tam na dole niezbyt dobrze to zrozumiałem, a przy tej złodziejskiej bandzie nie chciałem się dopytywać.

Kilka dni później dyrektor zwołał nas wszystkich i jak zawsze mówił o naszym złodziejstwie.

– Przestańcie wreszcie kraść! – krzyczał.

Kilka głosów na sali zapytało:

– Dlaczego akurat my?

Dyrektor odpowiedział:

– Chcecie usłyszeć? Panie inżynierze, proszę im powiedzieć!

Inżynier był przygotowany. Mowę, w której po raz pierwszy miał szansę przedstawić swoją hipotekę w pełni i publicznie, napisał wcześniej. Jego hipotekę, czyli przypuszczenie, pokrótce wam teraz wytłumaczę.

W naszej gospodarce ukształtowały się trzy obiegi: 1) obieg kontrolowany, 2) obieg ewidencjonowany, 3) obieg tajemny. *Obieg kontrolowany* charakteryzuje się tym, że kontrolowane wypłaty narodu po ich wydaniu wracają do banku. *Obieg ewidencjonowany* obejmuje środki płatnicze, które ukradniemy i poprzez rynek, kino czy tramwaj i tak oddajemy do banku. *Obieg tajemny* zawłaszcza środki płatnicze, które próbujemy z banku ukraść, ale są nam odbierane i wszelki ślad po nich ginie.

Trzeci obieg inżynier Maelström omówił szczegółowo. Wyłożył powstanie i przebieg kryzysu, tak jak opisałem na początku tego rozdziału, po czym wyraził następującą obawę: w nadchodzącym kryzysie może pojawić się ktoś, kogo nie znamy, i wprowadzić do ponownego obiegu wszystkie zaginione pieniądze w taki sposób, że poprowadzi całą naszą gospodarkę, gdzie tylko zechce. Skrajnym przypadkiem byłoby przedostanie się tych pieniędzy za granicę: czego moglibyśmy się w takim przypadku spodziewać – i kiedy? Stary inżynier doszedł do tego miejsca, zrobił pauzę i powiedział:

– A teraz, szanowni koledzy, powiem, co należy bezzwłocznie uczynić.

– Dość! Proszę milczeć! To wystarczy! – krzyknął dyrektor.

Inżynierowi opadła ręka z papierami. Niezdecydowanie obrócił się do dyrektora i znów do nas, ale już ktoś do niego podszedł, delikatnie wyjął mu papiery z ręki i zaniósł je dyrektorowi. Staruch poczerwieniał, kurczowo machnął prawicą, a potem zwrócił się do sali okrzykiem:

– Ostrzegam was! To jest wir! To jest – Maelström!

Odwrócił się, zszedł z podium, a kiedy kroczył obok dyrektora, pogroził mu kruchą piąstką i krzyknął:

– Przecież ja to napiszę znowu. Ja się na tym znam!

I opuścił salę. Zebranie było skończone.

Kiedy inżynier Chlebek zakończył swoje chłodne *exposé* gniewnym okrzykiem: *To jest Maelström!*, nie było wśród bankierów wielu, którzy w pełni to zrozumieli. Nie pojął tego nawet kolega Karasek, na przykład. Ja zdrętwiałem. Mgliste uczucie trwogi przeżyte kiedyś za młodu przedzierało się ponownie do mej świadomości, a ja nie wiedziałem, co oznacza. Dopiero w domu, późno w nocy, kiedy wypisywałem kary i w przerwach obserwowałem świnkę na obrusie, odkryłem, skąd znam to straszne słowo. Najpierw przypomniało mi się połączenie słowne „w bezdni Maelströmu". Ale dlaczego! W jakiej bezdni! Kto? Moje oczy błądziły po biblioteczce i w tej sekundzie zrozumiałem: *W bezdni Maelströmu* to tytuł genialnego studium, które napisał amerykański ekonomista z pierwszej połowy XIX wieku – E.A. Poe.

Mam to dzieło, od razu je odnalazłem i uważnie przeczytałem. Znów zachwycił mnie porywający opis zimnej grozy, którą przeżyje każdy, kto pozna Maelström. Ze studium Poego pochodzi cytat, który przytoczyłem na początku tego rozdziału.

Tej nocy spałem źle. Nie byłem w stanie odpocząć od myśli, że inżynier Chlebek może mieć rację, a my wszyscy już zaczynamy kręcić się wraz z pierwszymi obrotami wiru. Nagle gdzieś między snem a jawą przyszło mi do głowy świetne rozwiązanie: mógłbym złożyć w banku wypowiedzenie. Ale rano, kiedy przypomniałem sobie o tym, wydało mi się to strasznie głupie. Gdzie znalazłbym pracę, w której przez moje ręce przechodziłoby tyle pieniędzy?

Poza tym każde nerwy z czasem przemijają i wydaje się, że nawarzonego piwa nie jest aż tak dużo. Przecież z większości chmur nie pada, większość karabinów nie ma wpływu na walcowanie jezdni. Uspokoiło mnie także to, że wszyscy zachowywali swoją starą równowagę, jakby żaden kryzys nie nadchodził. Owszem, cały Gang Narodowy mówił

o hipotece inżyniera Maelströma, ale wszyscy wciąż kradli pieniądze, a strażnicy je im zabierali. Przed kioskiem wrzało. Inżynier Maelström nie rozmawiał już z nikim, wpadał milcząco, jakby obrażony na wszystkich, do swego biura gdzieś na górze i prócz obiadu nikt go nie widywał. Co robił?

Codzienna obserwacja świnki również przyczyniła się do tego, że zupełnie bez powodu się uspokoiłem, a mój strach opadł. Świnka siedzi, zajada siano, wcina ziarno, odwraca się podskokiem, pociąga noskiem – i tak już na wieki. To jest złudne: człowiek chce uwierzyć również w stabilność innych, z postępowaniem świnki niezwiązanych i do niego niepodobnych rzeczy. Dlatego pomyślałem, że E.A. Poe cały Maelström sobie po prostu wymyślił i że albo na świecie nigdy niczego takiego nie było, albo było, lecz tylko przejściowo, w dziewiętnastym wieku. No bo przecież – czy Maelström istnieje do dziś? Jeśli nie, nie mielibyśmy chyba powodu do zmartwień. Postanowiłem, że zajrzę do map. Ale odkładałem to z dnia na dzień.

Kiedyś szedłem na obiad, stanąłem w kolejce i w zamyśleniu posuwałem się machinalnie w kierunku jedzenia. Gdy przypadkiem się odwróciłem, zadrżałem: tuż za mną stał inżynier Maelström. Miał starczo zaczerwienione lica, które, pomarszczone i pofałdowane, wisiały na kościach policzkowych jak na rusztowaniu. Jego bezkrwiste, zsiniałe wargi poruszały się ciągle w mimowolnym szepcie. Nie był to jednak szept, to była praca, którą inżynier musiał nieustannie wykonywać, by wciąż odnawiać kształt ust. Bez tych wciąż ponawianych starań chyba by się mu rozpadły, rozwarły i wisiały trupio. Zdążyłem z bliska zauważyć też wyraz jego oczu: były błyszczące od łez, mętne, z żółtym bielmem i szarą tęczówką, a pośrodku miały małe, czarne i kąśliwe kropki – źrenice. Wystraszyłem się ich, jakby naprawdę były złe, i spuściłem wzrok, obróciłem się, a w mojej pamięci te oczy zostały jeszcze przez chwilę.

A kiedy je analizowałem, doszedłem do wniosku, że złe nie są. Ich pozorne zło spowodowane było pewną bezpośredniością, z którą po prostu spoglądały; spełnianiem swej pierwotnej funkcji – patrzenia. Były to ostatnie, wciąż zwężające się przezierniki tego ducha, zamkniętego beznadziejnie w pustej kości. Zamkniętego bez szansy na porozumienie się z kimkolwiek, bez szansy na takie porozumienie; ponieważ do kogo pójść; jakim językiem, z którego dziesięciolecia, z którego reżimu przemówić, w jakim celu? Czy on w ogóle potrzebował jeszcze mówić? Czy raczej ci obok niego potrzebowali go słuchać? Kiedy rozejrzałem się po stołówce, z tym jej wesołym gwarem, brzęczeniem, poszturchiwaniem się młodych urzędniczek przy bufecie, mogłem ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że wszyscy tu i w całym banku byli przekonani, że nie potrzebują słuchać takiego starucha. Już się nie odwracałem, przesuwałem się do przodu i tylko słyszałem za sobą, jak po ladzie sunie bańka, i to niebieska, i czułem, jak moich pleców czasami dotyka róg aktówki, i to obdartej, pokrytej strupami i odpryskami, z gimnazjum, chłopcy.

Jeszcze tego dnia udałem się do działu map biblioteki uniwersyteckiej, gdzie poprosiłem, by pokazano mi wszystkie mapy.

Bynajmniej, Maelströmu na żadnej mapie nie było! Tyle że sam Poe pisze, że tamtejsi ludzie mówią na niego Moskoeström, od wyspy Moskoe. Bynajmniej, nie było na mapach również wyspy o tej nazwie. Ani wyspy o gardłowej nazwie Vurrgh, o której Poe wspomina: *Jeszcze dalej – między Moskoe a Vurrgh, leży Otterholm, Flimen, Sandflessen, Stockholm. Czy pan coś słyszy? Czy zauważył pan zmianę w wodzie?*

Na żadnej z map, które mi pokazano, niczego jednak nie usłyszałem ani nie zobaczyłem. Chciałem już zrezygnować z dalszych poszukiwań, kiedy z lekceważącą uwagą podano mi bardzo wulgarną mapę – czyli mapę drogową dla zmotoryzowanych, ale za to na tyle dokładną, że zmieściły się

na niej wszystkie stacje benzynowe. Mapa nie została bynajmniej wydana w XIX wieku, tylko w zeszłym roku, była więc całkiem aktualna. Otworzyłem ją na arkuszu obejmującym Lofoty, a tu od razu wręcz uderzyła mnie w oczy nazwa wyspy Mosken. Czyż to nie jest Moskoe? A na południe od niej – wyspa Vaeröy. Czyż Vaeröy to nie jest przypadkiem Vurrgh? Niestety, jest: ponieważ w podanej przestrzeni są nakreślone cztery bezimienne wysepki, o których mówił Poe. A nad nimi… znad nich cały czas charczy na mnie złowieszcze słowo Moskenstraumen! A to nie jest nic innego niż Moskoeström, czyli Maelström Poego. Istnieje! W zeszłym roku. W tym. To nie żaden wymysł z romantyzmu czy wczesnego stadium kapitalizmu.

Po takim odkryciu powinienem właściwie zrobić – co? Po tym moim odkryciu, przyjaciele, wszyscy rozglądajcie się za jakąś beczką!

Zdecydowałem, że następnego dnia przy obiedzie porozmawiam z inżynierem Chlebkiem. Może usiądę przy jego stole, czego nikt jeszcze nie zrobił, i zapytam go, o czym milczy. Ale proszę, proszę, akurat tego dnia inżynier nie pojawił się na obiedzie! Przypadek?

Nie byłem w stanie wykonywać nawet tak mechanicznej pracy, jak obracanie banknotów stukoronowych obrazkiem do góry. Musiałem wstać zza biurka i wyjść. Wsiadłem do windy i pojechałem na siódme piętro. Dopiero tam, prawie pod dachem, mieści się biuro inżyniera Chlebka. Korytarz jest węższy niż na niższych piętrach, ponieważ cały bank zwęża się ku górze. Rząd drzwi po lewej i po prawej stronie. Stare, mosiężne klamki. Parkiety skrzypią. Gdybym się rozmyślił i nie wszedł do którychś drzwi, skoro już rozskrzypiałem cały korytarz, w biurach wiele cichych brwi uniosłoby się ze zdziwienia.

Zapukałem do drzwi numer 706. Nikt się nie odezwał. Lecz nie oczekujmy, że starszy pan ma dobry słuch. Zapukałem raz jeszcze,

a ponieważ znów bez żadnego efektu, nacisnąłem klamkę, ale drzwi były zamknięte. Klucz tkwił w zamku. Rozejrzałem się, przekręciłem go i wszedłem.

Znalazłem się w krótkim pomieszczeniu z sufitem niższym, niż są na dole, oraz z mniejszym oknem. Były tu tylko trzy meble. Najbliżej okna stało biurko, nietypowe, starodawne: blat był zabudowany otwartymi przegródkami na dokumenty, a ta nadbudowa miała jeszcze na górze balustradkę. Takie biurka widywałem w dzieciństwie na poczcie i na dworcu. Zauważyłem jeszcze, że w szufladce wisiał pęk kluczy. Oprócz tego było tam oczywiście krzesło, okrągłe, z wyplatanym oparciem, odsunięte od biurka. I po trzecie, szafa: czarna, wysoka.

Lewe drzwi szafy były otwarte, zobaczyłem więc znajomy szary płaszcz inżyniera i czarny kapelusz, ale przede wszystkim – niebieską bańkę. Odważyłem się podejść bliżej. Wziąłem jego bańkę do ręki. Była pusta. Naprawdę opuścił dziś obiad. Oczywiście wciąż z niepokojem nasłuchiwałem odgłosów z korytarza. Trzask! W strachu, żeby zatrzeć ślady swojej obecności i szybko wyjść, zamknąłem szafę, ponieważ zapomniałem, że jej nie otworzyłem. A kiedy zamykałem szafę – kiedy lewe skrzydło jej drzwi, opierające się wcześniej o bok biurka, zamknąłem, odsłoniłem przestrzeń pomiędzy biurkiem i ścianą. Przestrzeń, której w innym przypadku na pewno bym nie zobaczył. A to, co ujrzałem w kącie za biurkiem inżyniera, wprawiło mnie w osłupienie.

VI

Następnego dnia ruda świnka wyraźnie się uspokoiła. Nie próbowała już uciekać, kiedy ją głaskaliśmy.

– Przyzwyczaja się do nas – cieszył się Paweł.

Vaszek rzucił wesoło:

– Te dwa samce już poczuły do siebie miętę.

– To nie mogą być dwa samce – odparł Paweł.

– Muszą – powiedział Vaszek.

– Nie muszą – odciął się Paweł ostro, ale ciszej, żeby nie oberwać.

– Obaj natychmiast przestańcie się kłócić – powiedziałem – bo was uspokoję.

Sięgnąłem do klatki. Ruda świnka pobiegła do białej, wcisnęła się w nią i czekała. Pogłaskałem ją po główce. Pochyliła ją do ziemi, poddając się pieszczocie. Pogładziłem też drugie, spokojne i wykształcone zwierzę, podrapałem je między uszami, samo się nastawiało. Będzie z niego sybaryta? Potem wziąłem rudą świnkę do ręki. Wykręcała się, troszkę mnie podrapała, wywijała nogami w powietrzu, dopóki nie znalazła pod nimi dłoni mej drugiej ręki. Potem skurczyła się do jak najmniejszych rozmiarów i rozglądała się wzrokiem rozbieganym jak u kury. Albinosek w takiej sytuacji piszczy i kwęka, natomiast ten egzemplarz świnki morskiej (*Cavia porcellus*) jest cicho. Jego głosiku jeszcze nie słyszeliśmy. Wcisnąłem nową

świnkę do kieszeni i udałem się z nią do swojego pokoju, gdzie chodziłem i rozmyślałem o różnych problemach. Żeby świnka czuła się ciepło i bezpiecznie, trzymałem na niej w kieszeni rękę.

Rozmyślałem o banku i o rzeczach z nim związanych: o koledze Karasku, o hipotece inżyniera Maelströma, o opuszczonych spodniach, o drzwiach obrotowych, o budżecie krajowym i o pieniądzach. Przyszły mi też do głowy skrzypce. Świnka w kieszeni mnie uszczęśliwiała, ale świadomość, że znów muszę liczyć – męczyła. Pomyślałem o obłąkanej uczennicy Ewy i zrobiło mi się nieprzyjemnie. Nie chodzi oczywiście o to, ile jest dziewięć razy siedemnaście. To jest sto pięćdziesiąt trzy. Dręczyła mnie świadomość, że widziała, co mam w kieszeni, ponieważ rzeczywiście przypadkiem miałem przy sobie świnkę, o czym Ewa nawet nie wiedziała. Ta dziewczynka mnie przerażała. Ale świnka w kieszeni – uszczęśliwiała. Przypomniałem sobie zdanie, które wypowiedział kolega Karasek:

– I co, panie kolego, już pan pojmuje znaczenie świnek morskich?

Wyciągnąłem zwierzątko z kieszeni i podszedłem z nim do okna. Podniosłem je na dłoni do góry i spoglądałem na nie, rozmyślając o jego kształcie, wielkości, kolorze i strachu. Było bardzo piękne i wiedziałem, że jest też istotne – miało wszystko, oczy, krótkie życie na tym świecie, i gdybym pozwolił mu teraz spaść z tej wysokości na ziemię, mógłbym jedynie odejść z domu i błądzić ciemnymi uliczkami.

Tymczasem za drzwiami trwała kłótnia tłumionych głosów.

– Oba mogą być tylko i wyłącznie samcami! – autorytatywnie twierdził Vaszek głosem odziedziczonym po gronie pedagogicznym.

– Dlaczego to tak głupio powtarzasz, głupku – wściekle skomlał Paweł, a ja nawet przez ścianę widziałem, jak próbuje pod stołem kopnąć Vaszka w nogę. Odrabiali zadania, siedząc naprzeciwko siebie. – Dlaczego mi to tak strasznie głupio powtarzasz – jęczał bezsilnie.

– Ponieważ oba mogą i muszą być tylko samce, natomiast obie mogą być wyłącznie samiczki – perorował Vaszek – a ty zacząłeś się kłócić tak: Oba nie mogą być samcami!

– Ty głupkuuu – beczał Paweł.

Schowałem świnkę do kieszeni i wpadłem do zwierzyńca w doskonałym nastroju, by udzielić im obu nagany. Jednak ręka zahaczyła mi o zwątpienie, zrobiłem więc coś lepszego.

– To żebyś ładnie pisał – powiedziałem Pawłowi i wyrwałem mu z zeszytu kartkę z zadaniem, które wydało mi się brzydko napisane. Vaszkowi tłumaczyłem:

– Tylko dureń w tak niepewnych czasach podkreśla, jaki jest mądry! – i jemu też wyrwałem kartkę.

Poszedłem do kuchni. Ewa szykowała kolację – racuchy. Usiadłem przy stole i postawiłem świnkębamorską na blacie. Ruda główka od razu schowała się pod skrajem talerza.

– Wciąż nie mogę ustalić, co to jest – powiedziałem.

– Samiec, sądząc po różnicach w zachowaniu – powiedziała Ewa przy kuchence.

– To nic nie znaczy – odparłem. – Może być po prostu innego pochodzenia lub wychowania.

Świnka ostrożnie czołgała się wzdłuż kantu stołu. Co jakiś czas wietrzyła podniesionym noskiem. Niepokoiły ją zapachy i dźwięki, to syczenie patelni. Nie należę do tego miejsca, nie należę do tego miejsca, Panie Boże, jak ja się tu znalazłam, chciała pomyśleć, ale nie potrafiła.

– Jest przepiękna, delikatna – mówiła Ewa. – Ale coś zmusza mnie, by włożyć jej palec w oko.

– Już go nie włożysz, skoro to powiedziałaś.

– No wiesz! I tak bym nie włożyła!

– Ale wciąż musiałabyś o tym myśleć.

– A o czym ty ciągle myślisz przy tych świnkach? – zapytała.

– O wszystkim. Przypala ci się to. Ale podarowanie chłopcom świnki pod choinkę było doskonałym pomysłem, prawda? Więcej teraz myślą o życiu. Wyrwałem im kartki z zeszytów.

– Widziałeś, jak Paweł bawi się z Albinoskiem? Zanosi go sobie na kanapę i kładzie przy nim twarz. Albinosek biega mu dokoła głowy jak prosię wypuszczone z chlewa na dwór. Zawsze podskakuje, w powietrzu się kurczy i ląduje krzywo, a potem idzie wylizać Pawłowi brwi i znów lata i podrzuca zadkiem. Bawi się tak tylko z Pawłem.

– Nie widziałem. A mi Karasek kiedyś opowiadał, że świnka wspina się mu aż na ramię. Chyba ją wytresował. Tyle że jeśli zwierzęta są wytresowane, nie wiadomo, jaka jest ich prawdziwa natura. Co u twojej obłąkanej uczennicy? – zapytałem.

– Ta dziewczyna napędza mi strachu. Boję się nawet wywołać ją do tablicy, bo nigdy nie wiem, co mi powie – rzekła Ewa.

– A u nas w banku jeden stary inżynier rozpowiada jakąś hipotekę o kryzysie – powiedziałem i zamierzałem opowiadać dalej.

– Hipotekę? Chyba hipotezę – przerwała mi Ewa.

– Ja też wiem, że hipotezę. Ale już więcej nic ci nie powiem.

– Jaki kryzys? Jeszcze jeden? – chciała wiedzieć.

– Nic ci już nie powiem – powiedziałem.

– Musisz im od razu wyrywać kartki z zeszytu? – zapytała.

– Następnym razem dam im po głowie.

– Albo dawać po głowie? – zdenerwowała się.

– Nie moglibyście wszyscy w tej szkole, jeden z drugim, nauczyć tej dzieciarni chociaż pisać? – zapytałem.

Wziąłem świnkę, wepchnąłem ją do kieszeni i poszedłem do pokoju. Położyłem się na ziemi, a świnkę postawiłem sobie na brzuchu. Z ramienia zrobiłem wokół niej ogrodzenie. Chodziła po mnie i szukała jakiejś kryjówki. Zagrzebała się mi pod pachę. Potrzebowała spokoju, ja też bardzo bym go potrzebował, ale prawie wszędzie jest straszny hałas. Zastanawiałem się nad tym, jak wielkie przerażenie musi w takiej śwince wywołać nagłe pochwycenie przez nieznaną siłę i podniesienie w powietrze! A przecież żadna świnka w praojczyźnie świnek morskich nie wyszła z takiej przygody cało, zawsze było to spotkanie z drapieżnikiem. Koniec. Lecz życie biegnie dalej, ty jesteś tutaj, moja słodka. Ale nie antropomorfizować! I nie uliteraturniać, ponieważ zgrozy poznanej w chwili śmierci zwierzę nie może już przekazać dziedzicom instynktów. Świnka podniesiona w powietrze po omacku szuka podłoża pod nogami, napręża się, by upaść. Może w życiu upaść, nie może jednak w życiu umrzeć. Strach spowodowany śmiercią jest przed śmiercią znany wyłącznie ludziom. A jeśli prawdą jest, co gdzieś czytałem, że straceńcowi w chwili śmierci odchodzi również nasienie, przygotowana kobieta mogłaby urodzić ludzi, dla których nawet widok szubienicy byłby czymś nieprzyjemnym.

Nie mówmy jednak o szubienicach, dzieci, mówmy o zwierzątkach, które są niższe. Odwróciłem świnkę do góry brzuchem i przytrzymałem jedną z jej czarnych łapek. Była to łapka przednia, składała się z czterech szpiczastych paluszków zakończonych pazurkami, tępymi i zakrzywionymi, z pulchnej, malutkiej dłoni z głębokimi rysami i ze zrogowaciałej poduszeczki zamiast piątego palca. Na tylnej nodze świnka ma tylko trzy palce. Zwierzątko rozkładało paluszki jak wachlarz, ale zapewne nawet o tym nie wiedziało. Z przerażenia oddychało z częstotliwością trzech oddechów na sekundę, skrzypiało pocierającymi o siebie ząbkami, kręciło główką i cichutko sapało ze zmęczenia. Teraz

dotknąłem tej dłoni ołówkiem: palce od razu się zacisnęły, tworząc kielich. Lecz zgiąć się całkowicie i zamknąć w piąstkę nie potrafiły, zwierzątko nigdy nie wzięło nic do ręki i nigdy nie chodziło po gałęziach. Oddaliłem ołówek, dłoń znów się otworzyła, bamorska znów o tym nie wiedziała. Uszy, jakie ma, pisałem już? Nie? Uszy świnki morskiej bynajmniej nie przypominają wielkich słuchów, jakimi włada zając bądź królik, nie są to jednak też małe szpiczaste uszy kota. Uszy świnki są najbardziej podobne do uszu ludzkich, małpich i waszych. Mają małżowinę zbliżoną kształtem do nerek, są cienkie i miękkie, no i bardzo dobrze słyszą. Albinosek poznaje po krokach, że do zwierzyńca wchodzi Vaszek, więc zbyteczne jest proszenie go o pokarm. Po krokach poznaje też, kiedy wchodzę ja i z daleka krzyczy: – *Poczytaj sobie gdzieś o tym, poczytaj sobie gdzieś o tym, mnie zostaw w spokoju!*

Ruda świnka, jeszcze wczoraj tak dzika, a dziś zaskakująco oswojona, łaziła mi po brzuchu i szukała jakiejś kryjówki. Wy również rozluźnilibyście bluzę i rozpięli jeden guziczek koszuli, prawda? Tak też stało się w naszej ulicy. Czuć na gołej skórze delikatne, ciepłe zwierzę to doznanie absolutnie niezwykłe, to luksus czegoś prastarego, zapomnianego, prymitywnego i słodkiego, aż chce się wam wokół tego małego zwierzęcia owinąć, jest jednak zbyt małe, nie możecie zwinąć się do tego stopnia, wasza powierzchnia tuląca jest w dużej mierze niewykorzystana. No, radźcie sobie, jak umiecie.

W drzwiach stanęła Ewa i powiedziała:

– Możemy siadać do kolacji, zawołaj chłopców, dobrze?

– Nie możemy – powiedziałem. – Dopiero jak wstaniemy.

– To wstańcie.

– Nie możemy, mamy coś pod koszulą.

Podeszła bliżej, uklęknęła w zamyśleniu na podłodze, wsunęła rękę pod moją koszulę, namacała zwierzątko i powiedziała:

– Tutaj?

– Nie, tam nie.

– Aha, tutaj! – powiedziała.

Wyciągnęła świnkę i zaczęła się nad nią rozżalać. Wydawała się jej smutna. Powiedziałem, że miałem niewesołe myśli i że świnka pewnie to wyczuła.

– Niewesołe myśli o czym? O mnie? – zapytała.

– O różnych rzeczach, nawet o szubienicy – odrzekłem.

– No, chodźmy na kolację – powiedziała.

– Coś ci pokażę – powiedziałem. – Co ci to przypomina?

I pokazałem jej drobną dłoń świnki.

– Małą rękę – odpowiedziała.

– I to jest właśnie rzecz nie do naprawienia. Z tego już nigdy nie będzie ręki.

– Wolałabym, żebyśmy mieli tylko jedną świnkę. Byłabym spokojniejsza. Puść ją już do domu. I zawołaj wreszcie chłopców.

Poszła do kuchni. Znów położyłem się na ziemi i postawiłem sobie świnkę na piersiach. Potem powoli siadałem. Świnka szukała wciąż najwyższej pozycji, a kiedy się podnosiłem, wspinała się coraz wyżej, aż znalazła się w zagłębieniu mojego obojczyka. Teraz powoli wstałem i miałem świnkę tam, gdzie kolega Karasek. Tak poszedłem do pokoju dziecięcego.

Wysłałem chłopców na kolację. Paweł, wychodząc, oglądał się za mną i za świnką, ale ponagliłem go, żeby łaskawie udał się tam, gdzie został wysłany. Wpuściłem świnkę do klatki. Patrzyłem, jak od razu po powrocie

chowa się w kącie i jak druga świnka, biała, podchodzi, przybliża twarz do jej twarzy i grucha jej jakąś opowieść. Pytała, tak jak się spodziewałem, czego od niej chcieli i czy nic jej nie zrobili. Dopilnowałem jeszcze, żeby ruda świnka zgodnie z prawdą odpowiedziała, że nic się jej nie stało, i też poszedłem na racuchy.

Przy kolacji Vaszek rzekł:

– Tato, nie będziesz się złościć, jeśli zapytam cię o coś poważnego?

– Będę, skoro tak zaczynasz – odpowiedziałem.

– No to wolę nie pytać.

– Dlaczego miałbyś nie zapytać – powiedziała Ewa obojętnie. – Jeśli chcesz spytać, to pytaj.

– No dobrze – rzekł Vaszek z uśmiechem. – Chcę zapytać taty, po czym mam poznać, że nastały niepewne czasy.

Zastanowiłem się i po chwili odpowiedziałem.

– Przynieś mi, proszę, to przepisane zadanie i tę wyrwaną kartkę, dobrze?

– Teraz nic nie przynoś – powiedziała Ewa. – Proszę cię, pozwól mu chociaż spokojnie zjeść.

– Ale mi to nie przeszkadza – powiedział Vaszek. – Ja to chętnie przyniosę.

Przyniósł zeszyt i wyrwaną kartkę.

– No to popatrz – pokazałem na zeszyt – masz to napisane gorzej niż za pierwszym razem. Myślę, że każę ci to przepisać jeszcze raz.

– Przecież nie wyrwałeś mi kartki dlatego, że miałem to brzydko napisane, ale z powodu niepewnych czasów.

– Racja, dlatego powinieneś się przyłożyć i napisać to jeszcze staranniej niż przedtem, skoro czasy są tak niepewne. A ty napisałeś to gorzej.

I znowu wyrwałem mu kartkę.

– Ja zwariuję – krzyknęła Ewa.

– Ale teraz już tego nie przepiszę – wkurzył się Vaszek. – Jak chcesz, przyjacielu – odparłem. – Jak chcesz! Ale przepisał, chłopiec, przepisał! I to po dobroci.

VII

Ruda świnka przestała jeść.

– Tato, jak myślisz, czy Rudzielec nie jest chory?

– Chyba jest. To przez to, że ciągle go męczysz – powiedziałem.

– Ale ja go w ogóle nie męczę. Nic.

– Męczysz – powtórzyłem. – Musiałeś go męczyć.

Świnka zwinęła się w kąciku i bez ruchu patrzyła przed siebie. Marchew, pietruszka, kawałek jabłka, siano, w miseczce ziarno – nie tknęła niczego. Wyciągnąłem do niej rękę. Podskoczyła i z prędkością zdrowej świnki pobiegła do innego kąta.

– Tato, nie! – zawołał Paweł i wykrzywił twarz, jakby go podczas biegu bolał brzuch.

– Kot byłby lepszy – powiedział ponuro Vaszek.

– Żadnego kota! I już żadnej następnej świnki! – powiedziała Ewa. – Denerwuję się, jakby to moje małe dziecko było chore. Ciągle myślę, że powinniśmy jednak coś zrobić.

– Iść do weterynarza – zaproponował Vaszek.

– Z takimi małymi zwierzętami chyba się tam nie chodzi – powiedziała Ewa.

Paweł zaczął po cichu chlipać do mleka. Do szkoły poszedł niechętnie. W pracy zapytałem kolegę Karaska, co to może znaczyć, kiedy świnka jeden dzień nie je.

– To znaczy, że nie będzie jadła już żadnego innego dnia.

– Nie może być po prostu chora? – zdziwiłem się.

– Świnka to w porównaniu z nami bardzo małe zwierzę – powiedział kolega Karasek. – Nasz katar i nasze hemoroidy są tak daleko od siebie, że między nimi zmieści się zapalenie ucha środkowego, zawał, woreczek żółciowy i wyrostek robaczkowy. Natomiast jeśli świnka morska złapie katar, ma go włącznie z zapaleniem płuc i dyzenterią. Kto by leczył świnki morskie?

– Teoretycznie to powinno być możliwe – powiedziałem.

– A praktycznie niech pan sprawi sobie parkę, która będzie panu produkować ciągle nowe.

– Ale my nie chcemy, żeby dzieci przyzwyczajały się do patrzenia na śmierć – odparłem. – Wtedy te świnki odgrywałyby rolę dokładnie odwrotną, niż planowaliśmy.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Panie kolego, prawdziwa rola świnek? Dopiero ją pan odkryje.

Nie pytałem.

W południe przyszedłem na stołówkę tuż za inżynierem Maelströmem. Stanąłem za nim w kolejce. Poczekałem, aż gdzieś się rozłoży i usiadłem jak najbliżej, żeby móc go obserwować. No, jadł w ten sam sposób, co zwykle. Właściwie, jeśli podejdzie się do tego bez uprzedzeń, je po prostu inaczej niż większość. W ogóle nie czułem obrzydzenia, raczej tylko zdumienie tą ilością. Jest suchej, wątłej postawy, klatkę piersiową ma skurczoną, ramionka kruche, brzuch trochę odstający. Tacy ludzie w jego wieku, jak czasem słyszę, nie jedzą prawie nic. W takim razie on je dużo,

no i co? Może musi jeść aż tyle, żeby utrzymać na chodzie swoje wnętrzności. Albo wszystko ma tak podziurawione, że paliwo przelatuje przez sita dużo krótszą drogą, praktycznie nienaruszone, jak owies – pożywienie dzierlatek na końskich szlakach.

Jak strasznie stary jest ten człowiek! Aż dziw, że wciąż go mamy. Co też on robi przez cały dzień, i kto go o to pyta? Ile może zarabiać i czy podwyższyli mu teraz pensję? Jeśli będą chcieli, by wciąż milczał – dadzą mu podwyżkę, czy zwolnią jak najszybciej z dużą emeryturą? Zależy od tego, jaki ma charakter. Mogą też próbować go zlikwidować. A to nadzwyczajne odkrycie, którego dokonałem w jego biurze – czy mam o nim komuś powiedzieć? Czy może o tym się wie?

Zdecydowałem, że porozmawiam ze starym inżynierem. Jak zjem, mogę przysiąść się do jego stołu. Nie, lepiej poczekam, aż też skończy, równocześnie z nim wyjdę ze stołówki i razem wsiądziemy do windy.

Zjadłem i musiałem kupić sobie jeszcze wodę sodową i przeczytać artykuł z gazety, wycięty i szpilkami przyczepiony w gablotce, zanim inżynier uporał się ze swoim obiadem. Poszedłem za nim w stronę windy. W klatce, która przyjechała, był już jeden człowiek. Inżynier natychmiast wsiadł, tym samym wypełniając wolną przestrzeń, nie mogłem pojechać z nim. Widziałem, jak sucha postać starucha odjeżdża w górę, wolno i pasywnie, po pas, po kolana, aż w końcu przez szparę było widać tylko czarne półbuty na grubej gumowej podeszwie, ze sznurówkami pochodzącymi prawdopodobnie z wojskowego obuwia. Były mocne i długie, zawiązane na podwójną kokardkę z długimi końcówkami. Odetchnąłem z ulgą. Zrobiłem, co było w mojej mocy.

Kiedy skończyły się godziny urzędowania, wyszedłem z banku, a przed budynkiem czekała na mnie Ewa. To nie zdarza się często.

– Ty tutaj? – ucieszyłem się. – Co się dzieje?

– Wstydzę się – powiedziała – ale musiałam po ciebie przyjść. Chłopcy już są w domu.

– Coś się stało? – spytałem.

– Nic się nie stało, ale boję się – powiedziała.

– Też coś.

– Zabroniłam im wychodzić z domu, powiedziałam, żeby nie otwierali okien i nie ruszali kuchenki, i zdecydowałam się przyjść po ciebie.

– Więc stało się coś, do cholery?

– Nic, może jestem głupia, ale musiałam się upewnić.

– Nie denerwuj mnie. Do rzeczy!

– Nie ma żadnej rzeczy. Po prostu chciałam po ciebie przyjść, to wszystko.

Przyszło mi coś do głowy i poczułem się urażony. Chciała mnie wziąć za rękę, ale zrobiłem unik. Szliśmy po Placu Wacława, potem skręciliśmy w Aleję Narodową. Zatrzymywaliśmy się, żeby obejrzeć wystawy niektórych sklepów. Byłem na Ewę coraz bardziej zły, przez chwilę chciałem nawet uciec się do niełądnego zwrotu „powiedz albo przynajmniej wys...j chociaż kilka słów", miałem właściwie pierwszą w życiu okazję, by go użyć, aż do teraz znałem go na darmo. Nie użyłem go jednak, żeby się przed wami, dzieci, nie wstydzić, kiedy potem bym to tu wiernie opisywał. Powiedziałem więc jak najspokojniej.

– Mogłabyś mi to jednak choć trochę łaskawie wyjaśnić?

– Znów miałam w szkole przygodę z tą dziewczynką. – Z tą opętaną?

– Tak. Przepytywałam ją. Zawsze sobie mówię, że nie będę się z nią męczyć, że postawię jej jakąś ocenę i już. Ale potem nie daje mi to spokoju. Myślę, że nawet jeśli…

– Do rzeczy – napomknąłem.

– Przepytywałam ją, materiał chyba znała, ale odpowiadała znów niejasno, jak jakaś wróżka. Czasem sama nie wiem, czy robi to nieświadomie, ponieważ jest nienormalna, czy może jest to jej celowa bezczelność…

– Do rzeczy!

– Po prostu zwróciłam jej uwagę, żeby odpowiedziała mi całym zdaniem. Mówię jej: *Irenko, całym zdaniem*! A ona się na mnie gapi, więc ja znowu: *Całym zdaniem, Irenko.* A ona mówi: *Co całym zdaniem?* To mówię: *Odpowiedz.* A ona: *To dlaczego nie powie mi pani tego całym zdaniem?*

– Bezczelne, ale dobre – powiedziałem.

– Ja też sobie to wtedy uświadomiłam i mówię: *Irenko, odpowiadaj zawsze całym zdaniem, dobrze?*

– Ale co mają z tym wspólnego nasi chłopcy? I kuchenka, i okno?

– No poczekaj! Przecież już ci to wszystko tłumaczę. Więc ona, kiedy powtórzyłam jej to całym zdaniem, spogląda na mnie głupawo, taka zdumiona i nieobecna, że nigdy nie wiem, czy jest skupiona na pracy umysłu, czy robi w spodnie, i mówi: *Niech mi pani nie rozkazuje ciągle tych całych zdań, bo powiem pani zdania, których nie chciałaby pani usłyszeć.* A ja na to: *– Co, Irenko, czego nie chciałabym usłyszeć? Jakich zdań? – Nie chciałaby pani usłyszeć* – mówi ona – *że umrze.* Zaczęła płakać i mówi: *Tak, tak, proszę pani, ktoś pani umrze.*

– To straszne, to jakaś bzdura.

– Też myślę, że to wszystko jest bez sensu, ale tak się wystraszyłam, że nie mogłam już myśleć o niczym innym…

– Głupstwo. Ja nie jestem opętany, a też mogę ci przepowiedzieć, że ktoś umrze: świnka.

Do domu wróciliśmy piechotą. Ewa, przez całą drogę spokojna, nagle, tuż przed domem, dostała ataku matczynej opiekuńczości i leciała po schodach, jak gdyby mogła coś dogonić. Do mieszkania wpadła z przerażonym wyrazem twarzy i wystraszyła chłopców.

– Co się stało? – zapytał Vaszek.

– Nic. Stało się coś? – odpowiedziała.

– Też nic – odpowiedział Vaszek.

– Paweł! Gdzie jest Paweł?

– Płacze przy kojcu – powiedział Vaszek.

Paweł wprawdzie nie płakał, ale twarz miał skrzywioną. Rudzielec jeszcze żył, ale ledwo. Miał zjeżoną sierść i zapadnięte oczy. Jego przemiana zaskoczyła mnie i wystraszyła: błyszczące zwierzę, krzepkie i nieustępliwe, młode, ze śmiałymi pazurkami i bystrymi oczami, zmieniło się w funt kłaków, drżący, jakby miał gorączkę. Wystraszył mnie ten prawdziwy, wielki, choć przecież na małym ciałku – cień śmierci. Co się dzieje? Ty naprawdę umierasz? Oznacza to więc, jak przeczuwałem, że naprawdę żyłaś, świnko morska. I powinnaś żyć. Teraz zostało z ciebie tylko kilka słabiutkich kosteczek pod cienkim futerkiem, biorę cię do ręki.

Paweł zdenerwowany krążył wokół, bojąc się wypowiedzieć pytanie, po czym poznałem, że śmierci Rudzielca nie bierze jeszcze pod uwagę, tylko boi się, martwi, jest bezradny, zastanawia się, co robić, wierzy, że my jesteśmy mądrzejsi. Zauważyłem, że Albinoska nie ma w klatce. Paweł przeprowadził go do osobnego pudełka, które wsunął pod swoje łóżko. Albinosek siedział tam w sianie, podgryzał marchew i co jakiś czas odrywał z pudełka warstwę papieru i pożerał ją, zdrowy.

Zastanawiałem się, czy naprawdę świnka morska jest zbyt mała, żeby ją leczyć. Czy ktoś byłby w stanie jej pomóc? Ale czy powinno ratować się to,

co ma umrzeć? Kto ma umrzeć, jeśli już ktoś ma umrzeć według głupiej dziewczynki?

– Naprawdę nie istnieją leki dla zwierząt? – zapytał Paweł płaczliwym głosem.

– Może i istnieją, ale nie wiemy jakie i nie mamy ich.

– Skoro nie wiemy jakie – odparł – nie możemy przecież mówić, że ich nie mamy!

– Mamy calcipirynę – powiedział Vaszek – i czopki.

– Bzdura! – powiedziałem i posłałem go do apteczki po calcipirynę.

Ukruszyliśmy z tabletki okruszek. Otworzyliśmy Rudzielcowi pyszczek i za pomocą zakraplacza wprowadziliśmy dwie krople wody z lekiem. Myślę, że penicylina by mu pomogła, ta musi działać na dużych i małych. Jeśli oczywiście nie mają, powiedzmy, odbitej nerki. Po opatrzeniu naszego bardzo małego pacjenta zgasiliśmy światło i wyszliśmy. Chłopcy postanowili odrabiać za dania w kuchni, żeby Rudzielec miał spokój i chyba też, żeby być dalej ode mnie.

Jeśli coś ma umrzeć, to umrze, ale my mamy pomagać mu żyć. Kiedy za jakieś dwie godziny chłopcy szli spać, przybiegli z wiadomością, która mnie zaskoczyła. Chora świnka ponoć spaceruje i zajada. Szybko poszliśmy z Ewą to zobaczyć. Świnka niemrawo pobiegła do kąta i czujnie oczekiwała, co będzie się działo. Spojrzeliśmy z Ewą na siebie. Wiedziałem, że w tej chwili znowu poczuła strach. Rozumiem, oczywiście byłoby lepiej, gdyby umarła nam świnka morska niż coś większego. Świnka chwilę siedziała, potem chwiejnym ruchem obróciła się, podniosła źdźbło siana, mieliła je w słabiutkiej buźce i wpychała w siebie. Z tymi zapadniętymi oczami i najeżoną sierścią wyglądała jak ktoś, kogo okropnie pobito, ale nie złamano psychicznie. Jej walka ze źdźbłem suchej trawy wyglądała jak odważny opór, to było wręcz śmieszne.

I Paweł się śmiał.

VIII

Rano przy śniadaniu rozmawialiśmy o śmierci. Podobno umiera się trzy dni. Słyszałem o tym ja, słyszała Ewa, tylko nasi chłopcy nic o tym nie wiedzieli. Trzy dni – tyle jest przewidziane dla człowieka. W przypadku świnki morskiej możemy się spodziewać, że potrwa to odpowiednio krócej. Calcipiryny daliśmy jej wczoraj jedną setną. Paweł w zamyśleniu popijał mleko, a potem zapytał prześmiewczo:

– Ale jak kogoś zastrzelą, to też trzy dni?

– Co trzy dni? – zapytała Ewa.

– Się umiera?

– Wtedy od razu – powiedział Vaszek.

– A jak przejedzie go pociąg, trzy dni? –spytał Paweł ze złością.

– Wtedy też od razu, nasz Pawełku zgryźliwy – powiedział Vaszek.

– A jak się utopi, nasz żałosny Vaszeczku? – wydusił Paweł buźką całą w mleku, a w oczach miał łzy żalu, który sam wywoływał.

– Nie gadaj, tylko jedz! – odpowiedziałem.

– Właściwie kto dziś umiera trzy dni – powiedziała Ewa.

– Ci, komu dadzą na to tyle czasu – powiedziałem.

Była już jednak pora iść do szkoły i do pracy, nie mogliśmy więc tych rozważań rozwlekać. Chłopcy wychodzą zawsze razem z Ewą, chociaż

uczęszczają do innej szkoły niż ona. Ja opuszczam dom godzinę po nich, bank otwierają o dziewiątej. Kiedy wszyscy wyszli, jeszcze przez chwilę grałem na skrzypcach. Pod wpływem debaty przy śniadaniu grałem same poważne utwory. Obchodziłem pokój wokół stołu i grałem sobie do kroku, podczas gdy za ścianą ruda świnka umierała trzeci dzień.

Dzisiejsza pobudka w zwierzyńcu była smutna. Paweł ubierał się, cicho popłakując, a Vaszek nawet go nie prowokował – po nim również było widać dotychczas nieznane mu odczucie związane z czyjąś śmiercią. Po wczorajszej zaskakującej poprawie stanu Rudzielca było to dla obu chłopców duże rozczarowanie. Paweł chciał jeszcze raz dać mu lekarstwo, ale po pierwsze nie dawało to nadziei, a po drugie interweniowała Ewa, prosząc nas, żebyśmy udzielili temu stworzeniu ostatniego miłosierdzia – spokojnej śmierci. Umierający, jak pamiętała od swojej babci, przy łóżku której jako dziecko siedziała, musi skupić się na swym odejściu, a jeśli nikt nie przywołuje go do świadomości, w której uświadomić sobie może jedynie swój ból lub troski – już nie cierpi. Świnka przez noc zmieniła się w potargany gałganek, zniknęły jej oczka, zniknęły jej szybkie nóżki. Jeszcze oddychała, jeszcze z bólem, którego w omdleniu już chyba nie czuła, poruszyła się, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. Za sobą miała wilgotną kałużkę. Czyli infekcja, nie uraz? Paweł dobrze zrobił, że oddzielił ją od Albinoska.

Zanim ktoś z nas wróci do domu, świnki na pewno nie będzie już wśród żywych, przygotowaliśmy na to chłopców. Wydawało mi się jednak dziwne, bardzo dziwne, że wszyscy wychodzimy i zostawiamy to coś, by zanikło, odeszło w niebyt. Czułem, że zachowujemy się karygodnie. Jeśli się nad tym zastanowić, drodzy młodzi przyjaciele, nie ma ważniejszego wydarzenia niż czyjakolwiek śmierć, a kto umiera w samotności, choć bliscy wiedzą o jego zadaniu i mimo to opuszczają go, ten umiera

najbardziej zbytecznie i możliwe, że w ogóle umierać nie chce, ale musi, bo już zaczął. Jakież to okrucieństwo, nie poświęcać uwagi temu, kto nam umiera! Czy żył ten, kto nie ma komu umrzeć? Czyj był Rudzielec? Obróćcie jednak racucha swojego myślenia na drugą stronę i spójrzcie, jak nieprawdopodobnie to brzmi: wziąć wolne z pracy, bo umiera nam świneczka morska, zdycha morska świnka.

Ale cóż z tego. Nie mogłem pozbyć się uczucia, że ktoś z nas powinien zostać w domu. A przecież za chwilę wychodzę. Przestałem grać i udałem się ze skrzypcami do pokoju dziecięcego. Usiadłem na podłodze przy klatce. Świnka nie zwracała na mnie uwagi, była zaabsorbowana swoimi skurczami. Brzdęknąłem na strunie D. Nic. Ale nie będę jej grał, nie. Zmiana tonów, jeśli jeszcze słyszy, mogłaby jej przeszkadzać, boleć ją. Melodia to zwrócenie się do kogoś, wezwanie, czasem wręcz atak. Co innego jeden, stały, nie zmieniający się tooon… może mógłby tu być? Ton niczego nie oznajmia, nie narzuca i w żaden sposób nie rozkazuje; ton, kiedy trwa i tylko wypełnia przestrzeń, staje się właściwością tej przestrzeni, jej smakiem, kolorem i zapachem. Mam jakieś wspomnienie z bardzo wczesnego dzieciństwa, byłem na polu w górach, nie wiem gdzie, wszędzie wokół trawa i tooon. I słooońce płonęęęło, wiaaatr wiaaał.

Wziąłem skrzypce pod brodę, usiadłem i zacząłem grać. Grałem najpiękniejsze dźwięki, jakie znam w dziedzinie utrzymywanych tonów, grałem kwintę G–D. Grałem ze średnią siłą, pociągałem smyczkiem równomiernie w dół, w górę, w dół i znów w góóręęę... Nie wiem jak długo, ale wszystko rezonowało mi już tym niesamowitym dwudźwiękiem, czaszka, piersi, okna, dom. I świnka, na świnkę spoglądałem cały czas i widziałem, jak przestaje drżeć i uspokaja się, aż jej ból znalazł ukojenie, a ona zasnęła, unosząc futerko drobnym, regularnym oddechem.

Zadowolony wyszedłem z domu. Ponieważ tramwaj właśnie mi uciekał, na następny przystanek poszedłem pieszo, nawet z przyjemnością, nastroiłem się na jak najlepsze poglądy na cokolwiek, co ma mnie spotkać. Doszedłem na róg naszej ulicy, gdzie trwa gruntowna wymiana wszystkich podziemnych rurociągów i przewodów, był tam wał żółtego iłu, a w głębokiej, długiej jamie leżały różnej grubości, różnorako poskręcane, obwiązane lub odkryte rurociągi, przewody i grube kable. Brakowało tam tylko robotników. Jak wielkie było me zdziwienie, kiedy zerknąłem w dół, a tam siedział chłopiec w niebieskiej kurtce, uderzająco podobny do mojego starszego syna. Zawołałem do niego:

– O, dzień dobry! Myślałem, że jesteś w szkole!

Spojrzał zaskoczony w górę, jeszcze bardziej uderzająco podobny do mojego syna, i powiedział:

– Cześć. Już idę.

I ruszył wzdłuż rurociągów, w tym wykopie, do przodu.

– Górą pójdziesz! – zawołałem do niego.

– Dlaczego? Tędy będzie bliżej – odpowiedział.

Kazałem mu natychmiast wyjść, a kiedy stał już przy mnie, dałem mu klapsa, ponieważ kanałem może i byłoby bliżej, ale wolniej. Obraził się, a wieczorem zaprzeczył, jakoby ta przygoda miała miejsce, kazał potwierdzić Ewie, że żadnej niebieskiej kurtki nie mamy i zrobił ze mnie wariata.

Nie zdziwiłbym się, gdybym nim rzeczywiście był. W banku też mogą już o mnie myśleć różne rzeczy. Chcę się dowiedzieć, co zamierzał inżynier Maelström, i w jaki sposób dyrektor sprawił, że wciąż milczy. Wprawdzie inżynier pojawia się między nami, ale o swojej hipotece już nie opowiada. Z biura do biura krążą złe domysły, ale o działaniach ratunkowych nie pomyśli nikt. Nie zamierzam być pomocnikiem panów, nie będę mówić:

Nie kradnijcie, pan dyrektor się złości. Z czego byśmy żyli! Nie kraść – to nic trudnego. Nie kraść – to da się zrobić. Ale nie kraść tak, żeby przynosiło to korzyść – to pociągnęłoby za sobą wiele innych zmian w stosunku do obecnej sytuacji. Jednak nikt nie chce o tym mówić, nie ma wiary we wspólne działania, każdy zasłania się złymi doświadczeniami albo wykręca się tym, że ma dzieci. Albo udaje głupiego, albo jest głupi.

– Chodźmy razem do Maelströma – powiedziałem koledze Karaskowi.

– Panie kolego! – odpowiedział pobłażliwym tonem.

– Nie interesuje pana, panie kolego, co chciał powiedzieć?

– Pan naprawdę musi to usłyszeć? – odpowiedział.

– Myślę, że to z pewnością jest ciekawe – powiedziałem – choć będzie również stetryczałe.

– Ten dziadyga zaprzepaścił swój pomysł tym, że go wypaplał – powiedział kolega Karasek i wyszedł.

Mamy z kolegą Karaskiem obowiązek porządkowania banknotów stukoronowych. Ja obracam je tak, żeby były tym samym obrazkiem do góry, a on układa je według numerów. Tym razem były banknoty serii D 62. Jeśli brakuje mu jakiegoś numeru, chodzi po banku i pyta, czy komuś się taki nie trafił i proponuje za niego banknot z innej serii. Ponieważ co chwilę wybiega, nasza rozmowa jest urywana, często zapominamy, na czym skończyliśmy i wolimy zacząć rozmowę od początku. Czasem to się opłaca: interesujące, jak jedna rozmowa może rozwinąć się zupełnie inaczej, kiedy jeden z uczestników pomyli się i użyje w powtórce innego słowa niż za pierwszym razem. Rozmowa, którą zacytowałem powyżej, zmierzała zapewne do nieistotnego sporu na temat zdolności psychicznych inżyniera Maelströma. Została jednak przerwana, a kiedy za jakąś godzinę kolega Karasek wrócił z kilkoma banknotami z serii D 62, zaczęliśmy ją od nowa.

– Chodźmy razem do Maelströma – powiedziałem.

– Panie kolego! – odpowiedział pobłażliwym tonem, do którego teraz, za drugim razem, domieszało się trochę podrażnienia.

– Nie interesuje pana, panie kolego, co chciał powiedzieć?

– Pan naprawdę czuje potrzebę, by tego słuchać? – odpowiedział już niedokładnie.

– Nie chodzi nawet o to, czy ja czuję potrzebę, by tego słuchać – powiedziałem – ale raczej o to, usłyszenia jakich słów dyrektor musiał nam zabronić.

– Myślał pan o tym, dlaczego zakazał mu to powiedzieć? – spytał kolega Karasek.

– Myślałem, i to dużo – powiedziałem.

– Naprawdę przemyślał pan różne możliwości, czy drążył pan tylko pierwszą myśl, która przyszła panu do głowy?

Zawstydziłem się. Rzeczywiście nie myślałem zbytnio o różnych możliwościach, ponieważ pierwsza myśl wydawała się mi właściwa i wystarczająca. Powiedziałem:

– Dyrektor uciszył inżyniera, ponieważ jego propozycje i poglądy nie były dla niego korzystne.

– Panie kolego – kolega Karasek spojrzał na mnie smutno – nie chce mi się tutaj o tym mówić. Powiem tylko: istnieją wspaniałe myśli, które z chwilą, gdy zostały wygłoszone na ulicy, stały się niewykonalne.

– Rozumiem – powiedziałem, ale to nie była prawda, rozumiałem źle. Myślałem bowiem, że chodzi o beczki. – Rozumiem, ale przecież nie byłoby aż tak wielkim problemem zamówienie szybko tylu beczek, żeby wystarczyło dla każdego.

– Nie rozumiem pana, panie kolego.

– Inżynier Chlebek – kontynuowałem niepewnie – zakładam bowiem, że czytał pan *W bezdni Maelströmu* Poego, inżynier Chlebek ma w swoim

biurze schowaną beczkę.

Wpatrywał się we mnie osłupiale, nie rozumiejąc. Potem jego zdziwienie zmieniło się w uśmiech.

– Może chce kwasić kapustę. A jak pańskie świnki? Już zdychają?

– Nie. Dlaczego? Dobrze się im powodzi. Ta chora świnka już wyzdrowiała.

Straciłem ochotę na dalszą rozmowę. Karasek wkrótce znów wyszedł i wrócił dopiero przed godziną piątą. Pożegnaliśmy się chłodno. Specjalnie poczekałem, żebyśmy nie spotkali się jeszcze na dole. Ale kiedy wysiadałem z windy, już z daleka widziałem, że stoi przed drzwiami obrotowymi. Miał ręce nad głową, jeden strażnik wyciągał mu z kieszeni wszystkie rzeczy i rzucał je pod nogi na kupkę, drugi przeszukiwał aktówkę. Potem pierwszy strażnik pozwolił mu opuścić ramiona i uniósł mu kapelusz. Ledwo go uniósł, a z głowy kolegi Karaska zsunął się zielony banknot i jak szeroki opadający liść przyleciał do mojego buta. Schyliłem się po niego i podałem go strażnikowi. Ale spojrzałem, z jakiej jest serii: D 62. Strażnik mi podziękował i w nagrodę kiwnął, żebym przechodził.

Mijając kolegę Karaska, zauważyłem:

– No proszę, jednak się znalazła! Cieszy się pan, panie kolego, prawda?

Kiedy przyszedłem do domu, świnka jeszcze żyła. Chłopcy byli tym przyjemnie zaskoczeni, Ewa stała nad tym w milczącym przerażeniu. Nie mogła wziąć się do żadnej pracy, wytrącona z równowagi czekała, aż przyjdę i podejmę jakąś decyzję.

– Ja już tego chyba nie zniosę – powiedziała. – Mówi się, że kto ma jakiś ciężki grzech, temu się ciężko odchodzi ze świata. Ale to stworzonko? Czuję się dziwnie winna, że tak długo u nas cierpi.

– Może nie mogło umrzeć, bo nie było nas w domu – powiedziałem.

– Ale my nie jesteśmy przecież jego rodziną – powiedział Vaszek. – Myślałem, że powinniśmy zostawić z nim Albinoska, ale Paweł nie chciał.

– Wiesz co, ty chcesz, żeby Albinosek też się tym zaraził – gniewnie odezwał się Paweł – bo ty chcesz kota.

– Nie będziemy mieć już ani świnek morskich, ani kotów – powiedziała Ewa.

– Co, może chcecie zabić Albinoska?! – krzyknął Paweł.

– Rudzielec na pewno ma jakąś infekcję jelitową – powiedziałem do Vaszka. – Nie wiem nawet, czy Albinosek powinien wracać do ich klatki.

– Mamuś, słyszysz? Może według ciebie powinniśmy zabić Albinoska? – wściekał się Paweł.

– Przecież go nie zabijemy – powiedziała Ewa. – Dlaczego mielibyśmy go zabić, uspokój się.

– Tylko troszeczkę – powiedział Vaszek.

Paweł wyciągnął z kaszy łyżkę, oblizał ją i bum – Vaszka w głowę.

– Ciebie zabijemy, i to nie tylko troszeczkę!

– No ładnie, no ładnie – moderowałem debatę – chcesz klapsa?

Paweł płakał do kaszy, a ja powiedziałem:

– Odwróćmy kartkę i spytajmy naszego majstra kanałowego, którędy to chodzi się do szkoły.

Vaszek nie reagował.

– No? – spytałem ponownie.

Paweł wytarł nos i przestał popłakiwać, zainteresowany nową sprawą. Ewa spojrzała na mnie zdziwiona. Vaszek ciągle nic. Kiedy wszyscy na niego patrzyli, bardzo zaskoczony zapytał:

– O czym mowa? Nie mam pojęcia.

– Dziś rano gdzieś rozmawialiśmy – powiedziałem. – Gdzie rozmawialiśmy?

– W przedpokoju.

– A po raz drugi w kanale, zgadza się? Najpierw życzyłem ci miłego dnia, a potem wlepiłem klapsa, tak?

– No to szkoda, że mnie przy tym nie było, skoro tak to wyglądało – powiedział.

Paweł się zaśmiał.

– Chcesz powiedzieć, że nie znalazłem cię rano w wykopie? – zapytałem już na serio.

– No, niestety, tatusiu, nie znalazłeś.

W niemym osłupieniu odłożyłem łyżkę do kaszy i oparłem ręce na biodrach. Kręciłem głową. A przecież dobrze to pamiętałem i byłem pewny swego.

– Szedłem o wpół do dziewiątej do pracy, drogi Vaszeczku głupeczku, przechodzę koło dziury na ulicy, patrzę, a w środku siedzisz ty, na rurze, wielkiej i owiniętej. Masz te same okulary co teraz, tę samą gębę i niebieską kurtkę.

– Te okulary, drogi tatusiu, miałem o wpół do dziewiątej w szkole, tę gębę też, natomiast żadnej niebieskiej kurtki nie posiadam. W ogóle.

– Jak to, od kiedy ty nie masz niebieskiej kurtki?

– Od urodzenia, tak to.

– Człowieku, ty chyba zwariowałeś – powiedziała Ewa do mnie zamiast do Vaszka. – My przecież żadnej niebieskiej kurtki w domu nie mamy i nie mieliśmy. Kogoś ty tam widział?

– No przecież jego, dałem mu nawet klapsa! – sprzeciwiłem się.

Ale nikt z rodziny nie wierzył w nic, co mówię, prócz tego klapsa. Zdenerwowałem się i poszedłem do pokoju dziecięcego.

Świnka już prawie nie miała kształtu zwierzątka, siedziała jak zwymiotowany przez sowę kłębek włosów, na wpół strawiony. Nie miała oczu, nie była ciepła, była zimna. Kiedy dotknąłem ją palcem, nie zareagowała, kiedy ją popchnąłem, rozwinęła się i, utykając na wszystkie nóżki, odczołgała się pięć centymetrów dalej. Znów delikatnie dotknąłem ją palcem. Nie! To jest naprawdę straszne. Jak to? Co to ma znaczyć? Ślepa świnka morska, jeszcze trzy dni temu zwinna, drapiąca i tak oszalała ze strachu, że latała po ścianach klatki, teraz wlokła się krokiem żebraka, i to dokąd? Do mnie, do mojej ręki, trzęsła się i odkrytymi zębami stukała wciąż o ziemię jak kaleka laską. Młoda, jeszcze nic nie widziała i nie zobaczy i nie pozna, nie chce umierać.

Tymczasem w pudełku pod łóżkiem siedziała i spokojnie wszystko obserwowała biała świnka, czysta i gładka, zdrowa i głupia. Podniosłem tę białą świnkę, rozłożyła nogi w powietrzu, wsadziłem ją do klatki. Rozglądała się ze zdumieniem, nie poznawała swojego domu – ponieważ przez dwa dni zapomniała wszystko, czego się nauczyła – a potem biegała skołowana z kąta w kąt. Chorego towarzysza nawet nie dotknęła, nawet go nie zauważyła. Pilnowała się tylko, żeby nie wejść w jego kałużkę. Wrzuciłem ją z powrotem do pudełka pod łóżkiem. Była zadowolona.

Wyciągnąłem rudą świnkę z klatki. Zaniosłem ją do łazienki. Obejrzałem ją. Miała opuchnięty brzuszek, wydęty i blady. Oczywiście, można byłoby ją wyleczyć, gdybyśmy zabrali się za to od razu. Gdybym wiedział, że będzie taka wytrzymała, mógłbym zawieźć ją do weterynarza. Myślałem jednak, że świnki morskie zdychają jak muchy, niezauważalnie, nieistotnie, więc zapewne również bezboleśnie. Od teraz nie będę już przekonany, czy muchy także nie zdychają skomplikowanie i tragicznie.

Przez brzuszek świnki przechodziły skurcze. W czym właściwie tkwi problem? W zapchanej pupce. Była zalepiona wyschniętym śluzem, wymieszanym z trocinami, w których świnka przez cały dzień samotnie się tarzała. Spróbowałem delikatnie zerwać strup. Świnka, z oczyma tak głęboko zapadniętymi, że nie było ich widać, otworzyła pyszczek, by krzyknąć, ale nie wydała z siebie nawet jęknięcia. Położyłem ją na brzegu wanny. Odkręciłem kurki przy umywalce, żeby wymieszać ciepłą wodę z zimną. A świnka, chyba dlatego, że poczuła na sobie chłód metalu, drapnęła drżącym pazurkiem, głośno stuknęła zębami o wannę i po raz ostatni wydała z siebie swój pierwszy odgłos w tym mieszkaniu. Był to pisk ptasi i dziecięcy, nieświadomy i zupełnie zbyteczny. Nikogo takiego tu nie było.

Wziąłem ostrożnie zwierzątko do ręki, odmoczyłem strup, a potem lekko i, jak wierzyłem, bezboleśnie oderwałem go. Spodziewałem się, że w ten sposób odblokuję odpływ i że brzuszek, tak okropnie nabrzmiały, opróżni się. Ale tak się nie stało. To była ostatnia deska ratunku, ostatnia szansa. Świnka od rana, kiedy grałem jej dwudźwięk G – D i myślałem, że wkrótce będzie po niej, przeżyła całych dwanaście godzin. W ciągu dwunastu godzin pomogłaby penicylina. Powinienem teraz uderzyć ją główką o wannę?

Nagle świnka zaczęła kurczowo otwierać pyszczek, niemo, a w klatce piersiowej coś jej pulsowało. Jej czarne, malutkie dłonie od rana pobladły – właśnie zauważyłem. Jak mógłbym jej teraz pomóc, gdybym chciał tego naprawdę ze wszystkich sił? Gdybym powiedział sobie, że zrobię wszystko, żeby jej pomóc. Świnka znów się uspokoiła, a ja znów pomyślałem, że jest już po niej, ale wciąż nie było. Popatrzyłem na jej biedną pupkę. Przybrała kształt gwiazdki. Wydała się mi podobna do wyschniętych i pomarszczonych ust inżyniera Maelströma, też takich zaciśniętych

i pobladłych. Rozejrzałem się po czterech ścianach, po czym zbliżyłem swoje usta do tych trupich warg i zassałem. Oczywiście bezskutecznie. Nawet nie czułem obrzydzenia proporcjonalnego do okoliczności. Naturalnie potem plułem do umywalki i wypłukałem usta. Martwą świnkę odłożyłem na brzeg wanny. Byłem o wiele spokojniejszy.

Poszedłem oznajmić rodzinie, że Rudzielec nareszcie umarł.

IX

Mam nową świnkę. Ma białą sierść i czerwone oczy. Znów albinos, tak jak nasz Albinosek, tyle że większy. Samiec. Wabi się Ruprecht. Albinosek już prawie na pewno jest samiczką. Mamy więc parkę ładnych, zdrowych, białych świnek morskich: Ruprechta i Albinoska. Może się wam to, dzieci, będzie trochę mylić, no ale trudno.

Skąd wiem, że Ruprecht to samiec? Po prostu w sklepie powiedziałem, że chcę samca. Wybrałem sobie starszego, niż był na początku Albinosek, wyglądem zbliżonego do dorosłej świnki. Świnka morska dojrzewa płciowo dość szybko, po około sześciu tygodniach, zatem nasz Albinosek również osiągnął już, jeśli o to chodzi, dojrzałość, ale nie jest jeszcze w pełni rozwinięty. Jest wielkości połowy Ruprechta. A Ruprecht jeszcze urośnie! Waży teraz, według Pawła, 510 gramów, a może, według literatury, osiągnąć nawet gramów 800. Jednak według Vaszka takiej wagi z pewnością nie dożyje, a kotek miałby osiemset gramów od razu.

Wszystkich nas ciekawił, każdego z innych powodów, pierwszy czyn Ruprechta. Pierwszy czyn to coś zupełnie innego niż wszelkie pomoce naukowe służące do poznania osobowości. Pierwszy czyn mówi najwięcej. Dzieci! Kiedy dostaniecie nową świnkę – albo nie: kiedy dostaniecie nowego nauczyciela, rozpoznajcie jego pierwszy czyn! Przejedźcie wzrokiem po jego sylwetce od razu, jeszcze w drzwiach klasy, śledźcie jego

krok zmierzający do katedry, obserwujcie ruch, którym odsunie krzesło, usiądzie, sięgnie do kieszeni i położy na stole zegarek, obserwujcie to i miejcie swoje wrażenie, ale nie pozwalajcie sobie jeszcze na prognozy. Wygląd jego ubrania i włosów, czystość butów – zewidencjonujcie, ale na razie nie oceniajcie. Pochylenie ciała, wypukłości twarzy, jej szybkie ruchy i mrugnięcia obserwujcie, ale nie starajcie się ich eksplikować, wciąż nie możemy przecież odgadnąć, do czego to wszystko zmierza. Dopiero pierwszy czyn da nam prawo do hipoteki. Ale co możemy uznać za czyn? Nowy nauczyciel może się przywitać, przedstawić się wam albo milcząco rozkazać, żebyście usiedli. To jeszcze nie jest czyn, tak jak położenie zegarka na stole nie musiało nim być. Dobra rada jest tu w cenie, nawet ja nie powiem wam z całą pewnością, co powinniście u swojego nauczyciela uważać za zjawisko syndromatyczne, a co za cechę osobowości. Jeśli mówię czyn, nie mam akurat na myśli uderzenia w stół czy fikołka. Może to być ten wspomniany już cichy gest, którym powiedział wam, żebyście usiedli, może to być uderzenie w stół, o którym również wspomniałem. Czyn, krótko mówiąc, to taki przejaw obecności nauczyciela w danej przestrzeni, który ma wpływ na kolejne wydarzenia i stosunki w owej przestrzeni. Między tym, czy nauczyciel powie: *wyciągnijcie podręczniki*, czy też *proszę wszystko schować*, jest duża różnica. Znałem nauczyciela, który wszedł do klasy przez drzwi i nie zatrzymując się wyszedł przez okno. To nie był idiota, to był po prostu psycholog. Według tego, kto wyskoczył za nim przez okno, a kto został w klasie, od razu, w pierwszych minutach swojego zastępstwa za kolegę, podzielił uczniów na bystrzaków i gamoni. Nauczyciele! Z dyrektorami szkół jest podobnie! Dobrze obserwujcie pierwszy czyn swojego nowego dyrektora! Dyrektorzy! Z inspektorami też tak jest. No a wy, inspektorzy, obserwujcie pierwszy czyn swojej nowej świnki morskiej!

Kiedy wpuściliśmy Ruprechta do klatki, obiegł ją kilka razy, wyraźnie zdziwiony tym, że tak często musi wchodzić w zakręty. Klatka w sklepie była większa. To jeszcze nie był czyn, to przestrzeń oddziaływała na Ruprechta, nie odwrotnie. Czyn dopiero nastąpił. Kiedy potknął się o osłupiałego, siedzącego w kącie Albinoska, obwąchał jego głowę, a potem chciał tak samo potraktować przeciwległy koniec, jednak nie mógł, bowiem tamten koniec był wciśnięty w kąt klatki. Szturchnął więc Albinoska nosem w bok, a ten strachliwiec uciekł z piskiem do innego kąta, gdzie się ofajdał. Wtedy Ruprecht zaczął wydawać jakieś miłe dźwięki, których dotychczas nie słyszeliśmy. Było to delikatne przędzenie, podobne do kociego, ale głośniejsze. Brzmiało raczej jak gruchanie. Jednocześnie zademonstrował nam coś, czego dotychczas nie widzieliśmy. Stojąc w rozkroku uniósł pupkę, wyprostował łapki i zaczął śmiesznie przestępować z nogi na nogę. Przypominał dumnego elegancika w bryczesach, który przyszedł potańczyć, ale zapomniał włożyć buty, i nawet tego nie zauważył. Śmialiśmy się wszyscy, Ewa jeszcze oprócz tego osłupiała. Nasza głupia Albinoska była przede wszystkim wystraszona niezwykłym gościem, który dziwnie szybko zaczął zachowywać się jak w domu. Ruprecht na próżno kilkakrotnie powtórzył swoje gruchanie, pocierając licem o jej ucho, zajął się więc innymi rzeczami – marchewką i jabłkiem. Zaczął żwawo zajadać. Parę razy przypomniał sobie jeszcze, co chciał pierwotnie powiedzieć, zagruchał i zatańczył nad marchewką, ale nic poza tym.

I w ogóle, nic z tych rzeczy, o których dałoby się tu nieprzyzwoicie pisać, więc zastanawialiśmy się z Ewą, jak Paweł zdobędzie młode. Nieprzyzwoity znaczy uwielbiany przez panie i panów.

Różnica między tymi dwiema świnkami jest oczywista. Albinoska ma pyszczek bardziej pociągły, natomiast twarz Ruprechta ma rysy ostrzejsze,

jest tępo zakończona i krótsza. Włos Albinoski jest śnieżnobiały i delikatny jak sierść białego kotka – Ruprecht ma grube, pożółkłe, szorstkie kozie kudły. Jej uszka są cienkie i chwiejne – a on ma uszy zuchwalca, chuligana, wręcz listonosza. Zresztą cała jego postawa jest silniejsza, bardziej przysadzista, sztywniejsza. Z większym zdecydowaniem podnosi głowę, broniąc się przed niechcianymi pieszczotami. Ugryzł mnie w palec. Ale więcej tego nie zrobi, ponieważ tym samym palcem pstryknąłem go w nos. Już tego nie zrobi, i to jest mi właśnie nie na rękę: potrzebowałbym jeszcze jednej świnki, na której mógłbym obserwować, jak zachowuje się egzemplarz, który nie jest rozpieszczany ani karany.

Dlaczego mamy Ruprechta? Chciałem wynagrodzić Pawłowi stratę Rudzielca? Być może. Ale bardziej chciałem sprawdzić, w jakim stopniu samobójczy temperament Rudzielca wypływał z jego płci, a w jakim był jego cechą indywidualną, połączoną w dodatku z odmiennym ubarwieniem. Poza tym wierzyłem, że jeśli będziemy mieć parkę, zobaczymy kiedyś, jak się parzą. Dotychczas widziałem przecież tylko ślimaki, muchy i chyba koguta z kurą. I jeszcze jedno: nie chciałem mówić koledze Karaskowi, że mamy znów jedną świnkę. Wciąż mamy dwie.

Kolega Karasek! Siedzimy razem pięć lat i nigdy nie przyszło mi do głowy, że właściwie się nie znamy. Odbierałem go jako ekstrawaganckiego introwertyka, a ponieważ w ogóle mnie to nie dotyczyło, jego introwertyzmu nawet nie odczuwałem ani nie oceniałem. Cieszyłem się, że on też nie miesza się w moje sprawy. Zazwyczaj nie miewam chęci na pogawędki. W poniedziałki nie odczuwam potrzeby, by opowiadać komuś, co robiliśmy w niedzielę. Nie jestem ciekaw, jak powodzi się czyimś pociechom. Do głowy mi nie przyjdzie witać się na ulicy z czyjąś żoną. Jeśli zauważę, że do mojego pociągu wsiada jakiś znajomy, idę do najbardziej oddalonego wagonu. Jak ja cholernie nie lubię znajomych!

Przez pięć lat nie poszedłem z kolegą Karaskiem nawet na przystanek, a co dopiero, żebyśmy zapraszali się na herbatę. Nawet nie wiem, gdzie mieszka. Zanim zatrudniłem się w Banku Narodowym, pracowałem w pewnej kasie oszczędnościowej, gdzie prowadzono tak zwany socjalistyczny styl życia. Wprowadzili mnie do niego tak, że ozdobili moje biurko bukietem i w regulaminowym terminie czternastu dni zorganizowali spotkanie oddziału, na którym po kolei opowiadali swoje życiorysy, co potem zrobiłem również ja. Następnie zaproszono mnie z żoną na herbatę i my też zapraszaliśmy. Rozkręciło się koło przyjaźni, z którego wypadłem przy okazji wspólnego urlopu. Na wieczornym ognisku jedna starsza, liryczna koleżanka wygłosiła klasyczny wierszyk: *Nie dziw się, gdy usłyszysz, że / śpiewają o tobie ptaki, / przyszły wieczorem popatrzeć na mnie / usiadły na parapet / przyszły ponownie, dla nich ja / jak kompan, jak spokrewniony, / bom ja jak oni wolnym jest / jam między nimi w domu.* Powiedziałem wtedy jedno zdanie. Były w nim słowa, których nigdy wcześniej na głos nie wypowiedziałem. Powiedziałem… ale nie będę tego powtarzać, nie potrafię, zresztą i tak to już nie ma znaczenia.

To ogromna ulga – praca w wielkim molochu i siedzenie z kolegą Karaskiem. To kulturalny człowiek, który wita się i w żaden inny sposób nie ingeruje w wasze myśli. Na różne sposoby obracamy banknoty stukoronowe: to lichy powód, żeby się przyjaźnić. Karasek nie zaskarbił sobie mojej przychylności, ja jego najwyraźniej też nie. Swoich przyjaciół mamy poza biurem. Wzajemne zrozumienie tego stanu wzbudziło u każdego z nas, jak sądzę, wzajemny szacunek, który z biegiem lat osiągnął – poziom pewnej sympatii. A te drobne złośliwości? Ach! Jest mnóstwo ludzi, którzy wyglądają na pewnych siebie i rozsądnych, wy ich widzicie i szanujecie, ale nie przyjaźnicie się z nimi, ponieważ macie do tego po prostu ograniczone predyspozycje i myślicie, że oni dobrze to

rozumieją, ale pomyłka! Kiedy sobie podpiją, podchodzą do was dziarskim krokiem, obejmują was i przemawiają samokrytycznie:

– Ja wiem, że masz mnie w dupie, bo jestem głupi.

– Mylisz się, Karolu, nie mam cię w dupie – mówicie przyjaźnie, a potem znów dziwicie się, jak mało jest ludzi pewnych siebie, czujących się przy was swobodnie, a przecież zapewniacie im warunki najlepsze z możliwych: nie zwracacie na nich uwagi.

Jeśli mogę wam coś doradzić, chłopcy, nie rozmyślajcie tyle o ludziach. A kiedy już rozmyślacie, bo musicie, myślcie z takim efektem, jakbyście aż tyle nie myśleli. Drzewo koło drzewa rośnie – i tyle. Niech wasze przemyślenia nie utrudniają wam życia – powinny je przecież ułatwiać. A wy, dziewczynki – do was brak mi słów.

Na początku tego dnia, na którego końcu kupiłem nową świnkę, zwróciłem się do kolegi Karaska tymi słowy:

– Jeśli mówiąc, że nie chce się panu o czymś rozmawiać, miał pan na myśli to, że w tym pomieszczeniu nie ma do tego odpowiednich warunków, możemy porozmawiać gdzieś indziej.

Mimo iż od naszej rozmowy o inżynierze Maelströmie minął tydzień, od razu wiedział, do czego nawiązuję. Odpowiedział:

– Niestety, panie kolego, tym zdaniem, tu wypowiedzianym, definitywnie pan to schrzanił, a ja nie mam już z panem o czym mówić.

W ten sposób jasno odpowiedział na pytanie i jednocześnie odrzucił moją propozycję, i to z mojej winy. Powinienem najpierw sprowadzić rozmowę na świnki morskie – wtedy moglibyśmy się spotkać pod pretekstem oglądania świnek. – *Błond, prosze ksiondz, błond!* – powiedziałby Cygan.

Zastanawiałem się, czy nie spróbować porozumieć się z inżynierem Maelströmem na własną rękę. Musiałbym tylko zdobyć się na odwagę

i znów pojechać na czarno na siódme piętro. To nie problem, to bym zrobił, nie przemyślałem jednak dokładnie, o co bym zapytał, gdyby odpowiedź na moje pierwsze i główne pytanie była niezrozumiała. We dwóch pyta się łatwiej. Zwróciłem się znowu do kolegi z nadzieją, że naprawię *błond:*

– A jak się miewają, panie kolego, świnki pod pańską opieką?

Zwrócił w moją stronę ciężką, czerwoną twarz, przez kilka sekund ruszał milcząco silną szczęką, potem wrzucił do szuflady plik banknotów, wstał od stołu, gwałtownie zatrzasnął szufladę i wpatrywał się we mnie przez następnych kilka sekund. Nie wiedziałem, co go tak zirytowało, ale czułem, że może wybuchnąć. Zatem ta rozmowa nie doprowadzi do żadnej wizyty z pokazywaniem sobie świnek morskich i tym podobnych. Uśmiechnął się, po czym cicho odpowiedział:

– Nawzajem, panie kolego!

Z innej szuflady wyciągnął zapałki i paczkę papierosów, i wyszedł. No proszę! A ja zdecydowałem się na kupno nowej świnki. Przy sobie miałem jednak tylko sześćdziesiąt halerzy na tramwaj. Pomyślałem, że spróbuję dziś podjąć swój deputat. Wziąłem plik banknotów stukoronowych, odliczyłem z niego pięć i po krótkim namyśle włożyłem je prosto do portfela. Wyjście z banku i przejście przez straż pozostawiłem swojej spontanicznej inspiracji. Obmyślanie czegoś z wyprzedzeniem jest w Banku Narodowym czynnością wyjątkowo zbyteczną. Wyjście z banku i przejście przez straż wyglądało następująco:

Wysiadłem z windy i już z daleka widziałem, że przy wyjściu trwa wesołe rewidowanie. Kilku bankierów stało z podniesionymi rękami, rzeczy z kieszeni leżały porozrzucane na posadzce. Jeden młody kasjer miał spodnie opuszczone aż do kostek, a strażnik sięgał mu właśnie do kieszonki w majtkach. Kobiety wychodziły z oddzielnej kabiny, w dekolcie bluzki poprawiały sobie pośpiesznie ramiączka biustonoszów, biegnąc do

przedszkola i jak najdalej od strażników. Codzienny teatr. Za fortyfikacją strażników żwawo kręciły się drzwi. Zła nieuchronność i mnie niosła do wyjścia, a ja starałem się w ostatnich sekundach wybrać odpowiedniego strażnika. Pod wpływem nagłej inspiracji skierowałem się do żylastego chłopa znanego ze swej porywczości. Był zajęty, musiałem chwilę poczekać. Tymczasem zauważyłem, że obok właśnie przechodzi rewizję inżynier Maelström, o którym nikt nie słyszał, żeby kiedykolwiek coś przy nim znaleźli. Myślano zresztą, że nie kradnie, ponieważ nie potrafi dostosować się do nowych czasów. Strażnicy jednak na pewno o tym nie wiedzieli, zresztą i tak nie miałoby to żadnego znaczenia. Właśnie wywracali staremu inżynierowi kieszenie płaszcza i kazali zdjąć prawy but. Przechodził przez to spokojnie i zgodliwie, tylko bezdźwięcznie poruszał ustami, patrzył w sufit i sięgał sobie brodą aż do nosa. Potem podniósł z ziemi aktówkę, rozpiął rzemyk, obnażył niebieską bańkę, odkrył wieczko i mógł iść.

Podszedłem do upatrzonego strażnika, a kiedy zobaczyłem, że już mnie obserwuje, sięgnąłem do kieszeni po portfel i podetknąłem mu go pod twarz. Tak go to rozgniewało, że odepchnął moją rękę i zaczął mi grzebać pod płaszczem.

– Tutaj to masz, koleżko – podtykałem mu portfel pod nos.

– Wsadź se to w dupę – powiedział, przesuwając ręce po mojej koszuli.

– Mam tam pięć stówek, idioto – zgłosiłem uczciwie.

– Kogo nazywasz idiotą, ośle! – krzyknął i walnął mnie w twarz.

– Ciebie, twoją matkę i twojego starego – odkrzyknąłem.

Tak jak się spodziewałem – rozjuszył się. Jedną ręką chwycił mnie z tyłu za kołnierz, drugą za spodnie i odwrócił mnie w stronę wyjścia. Z wielkim hukiem przetoczył się ze mną przez drzwi obrotowe i silnym kopniakiem posłał mnie jak najdalej od siebie. Portfel wyleciał mi z ręki,

ale jakiś uprzejmy przechodzień mi go podał. Podziękowałem i ruszyłem na spacer po rynku. Byłem zadowolony.

Ileż było w domu radości! Świnkę zostawiłem na sam koniec. Najpierw wręczyłem Ewie bukiecik przebiśniegów. Potem pokazałem, że mam nowe buty, za dziewięćdziesiąt koron. Potem obu chłopcom dałem po tabliczce czekolady. Resztę pieniędzy przekazałem Ewie. Przeliczyła je i od razu, szczęśliwa, dała mi z nich dziesięć koron, żebym miał na jutro. Dopiero potem wyciągnąłem pudełko ze świnką. To był szczyt zaskoczenia.

– Marchsewkę! – krzyczał Paweł. – Czy mamy w domu jakąś marchsewkę albo ziemziemaki?

– A co, jak znowu nam umrze? – mówiła Ewa.

– Nie umrze – zapewniłem ją.

Późno w nocy, kiedy jak zwykle liczyłem, podczas gdy wszyscy już spali, uświadomiłem sobie z dziwnym poruszeniem, że mam świnkę. Żywe stworzenie, równe sobie. Poszedłem po nią. W porównaniu z Albinoskiem była ciężka jak kot i spokojna, pewna siebie. Kiedy postawiłem ją na stole obok swoich papierów, chwilę odczekała, a potem zaczęła się obracać i cofać, wymacała pupką skraj stołu, cofnęła się jeszcze kawałeczek i wysikała się tuż za kantem – na podłogę. No nie wiem, czy mam ją wielkomyślnie podziwiać. Wytarłem kałużkę gazetą i wyrzuciłem ją do kosza. Świnka obeszła moje papiery, powąchała je i kilka razy podgryzła. Potem przycisnęła pupkę do obrusu i naprężyła się, ale kałuża się z tego nie zrobiła. Był to nowy, błyszczący, podłużny, czarny bobek. Trzymanym w ręce ołówkiem klepnąłem tego niczym nie zagrożonego gówniarza po tyłku. Skulił się i wybałuszył oczy. Ruszał nozdrzami, na nic więcej się nie odważył. Dopiero po kilku minutach powoli, ale naprawdę powoli, zaledwie o milimetry, zaczął się podnosić. Spojrzałem na zegarek. Kiedy podniósł się o kilka milimetrów, ostrożnie wciągnął pod siebie przednią

nogę i znów zastygł. I znowu, milimetr po milimetrze prostował się, wyginając grzbiet w łuk, wciągał brzuszek, potem nachylił się nieznacznym ruchem w lewo i chwilę odczekał. Kiedy nic się nie działo, ukradkiem wsunął odciążoną prawą nóżkę jeszcze bardziej pod tułów i zaczął się na niej podnosić, milimetr po milimetrze. Spojrzałem na zegarek. Piętnaście minut. Przez piętnaście minut włożył pierwszą przednią nogę pod klatkę piersiową. A teraz rozejrzał się nerwowo, widział mnie, ale ja się nie ruszałem, tylko milimetr po milimetrze podnosiłem ołówek.

Aż tu nagle ten facecik oderwał prawą nóżkę od stołu, przycisnął ją do tułowia i naprężył się. Nieznacznie uniosłem ołówek, a wtem ten mały gówniarz uniósł pupkę, jednocześnie wypychając ją do przodu i hop! Błyskawicznie schylił głowę, przygotowany bobek chwycił w zęby i natychmiast go pożarł.

Ołówek ze zdziwienia opadł mi na obrus. Świnka rozejrzała się swobodnie i wyruszyła na spacer. Mogła być zadowolona.

X

W powietrzu czuć było powiew wiosennych zmian. Pomyślałem więc, że pójdę do pracy pieszo i przy okazji sprawdzę jedną rzecz. Spojrzałem na zegarek, a potem na uliczny zegar na rogu, czy mam wystarczająco dużo czasu. Również dziś zegar na rogu spóźniał się o dwadzieścia minut, po czym poznałem, że również dziś zegarmistrzem naszego miasta jest niewłaściwy człowiek. Będę polegał tylko sam na sobie. Szedłem wzdłuż bloku, a potem skręciłem za róg tam, gdzie ostatnio natrafiłem na wykopy. Dziś były w nich te same grube rury, od ostatniego razu ktoś je zespawał i poszedł coś załatwić – coś, w czym też zapewne nie jest zbyt dobry, bo w innym razie już by go tu nie było. Na jednej z rur znów siedział okrakiem mój starszy syn, ale tym razem nie zamierzałem dać się przechytrzyć.

– Hej, chłopcze – zawołałem – czy my się znamy?

Chłopiec podniósł wzrok i odpowiedział:

– Cześć, tatusiu. No chyba znamy.

– Gdzie dziś zgubiłeś niebieską kurtkę? – zapytałem, kucając nad wykopem.

– Przecież w ogóle nie mam takiej kurtki. Nawet mama ci to potwierdziła.

– Dlaczego nie jesteś, do cholery jasnej, w szkole!

– Już idę – zeskoczył z rury i zamierzał ruszyć wzdłuż niej.

– Idź górą – krzyknąłem.

– Dołem jest bliżej – odpowiedział, ale już wdrapywał się na powierzchnię.

– Chcesz klapsa? – spytałem.

– Dziękuję, mam jeszcze od ostatniego razu – odpowiedział.

– Gdzie zostawiłeś rzeczy? – zdziwiłem się.

– W szkole – powiedział.

– Ty już tam byłeś? – zapytałem.

– Jasne! Po prostu wpadłem tu na chwilkę kanałami, a teraz, ponieważ każesz mi iść górą, zobaczy mnie woźny i będę miał kłopoty.

– Nie powinieneś w ogóle wychodzić! – powiedziałem. – Porozmawiamy sobie o tym w domu.

Dotarłem do rzeki i wszedłem na most. Po drodze zastanawiałem się, jak te wszystkie rury są przeprowadzone na drugi brzeg – mostem czy pod dnem rzeki? Mostem. Genialne. Na ulicach było tłoczno. Może zmienię pracę?

Przy wejściu do Gangu Narodowego strażnicy wystawili mi potwierdzenie, ile pieniędzy wnoszę. No, dziesięć koron. Po prawej stronie kartki w bufecie zapiszą mi, ile wydałem. Kiedy tylko przekroczyłem próg, zauważyłem, że od wczoraj atmosfera się ożywiła.

Tłumek przed kioskiem był większy i bardziej zbity. Co się dzieje, dowiedziałem się od rozbawionego kolegi Karaska.

– Jak panu wczoraj poszło! – spytał gromko, kiedy mnie zobaczył.

– Dobrze. Przeszedłem z pięcioma stówami.

– Pan to ma talent! Pan nie wie, co się działo?

– Widzę to podekscytowanie, ale nie wiem nic.

– Przy kim coś znaleźli, temu zabrali wszystko. Nawet jego własne pieniądze – zaśmiał się.

– Ale przecież… to jest kradzież – powiedziałem. Takiego rozwoju wypadków nikt się nie spodziewał. To wszystko jest dobrze przemyślane. Nie możecie już nawet skarżyć się urzędom: kiedy wynosiłem do domu państwowe pieniądze, ukradziono mi kieszonkowe… Całkowity upadek obyczajów, wszystko jest już możliwe, jest gorzej niż w Chicago.

W czasie pracy staraliśmy się z kolegą Karaskiem znaleźć wyjaśnienie nowego postępowania strażników. Czy to ich pomysł? Czy pochodzi z ważniejszej głowy? Postawmy klasyczne pytanie: *Cui bono*? Komu przynosi to korzyść? I odpowiedzmy sobie, że w obecnych czasach wszystkie sentencje łacińskie, wzory matematyczne i prawa fizyczne to paplanina warta tyle, co – jak rzekł klasyk ekonomii politycznej – moneta wycofana z obiegu. Któż dziś wie, co komu przynosi korzyść?

Z kolegą Karaskiem mieliśmy rozbieżne poglądy nawet na to, czego można się po takich działaniach spodziewać. Jeśli bowiem mają one doprowadzić do powstrzymania naszych kradzieży, stoi za tym jakaś konsolidująca frakcja rządowa, chcąca zatrzymać odpływ środków płatniczych do *obiegu tajemnego*. Lecz z drugiej strony – frakcja rządowa, która chciałaby w ten sposób wykorzystać strażników, musiałaby nad nimi panować, a gdyby to potrafiła, żaden *obieg tajemny* w ogóle by nie powstał. Czy ktoś jednak naprawdę może przypuszczać, że przestaniemy kraść? Oni dobrze wiedzą, że musimy. Kolega Karasek rzekł, że trzeba odczekać jakiś czas i sprawdzić, jak będą wyglądały następne kontrole. Jeśli wciąż będą tak samo ostre, oznaczać to będzie, iż mają na celu stłumienie kradzieży i że jest to akcja rządowa. Nie zgodziłem się twierdząc, że ostrość kontroli sama w sobie nic nam nie mówi, jeśli założymy, że ukradzione przez nas środki płatnicze strażnicy odprowadzają, natomiast kieszonkowe, które

dostaliśmy od żon, zostawiają sobie. Utrzymująca się ostrość kontroli może więc być zarówno działaniem rządu, jak i strażników, a nawet akcją na poły rządową i strażniczą. Albo i odwrotnie, jeśli kontrole osłabną – powiedziałem – będzie prawie pewne, że chodzi o akcję strażników, ponieważ strażnicy złagodzeniem kontroli będą chcieli zachęcić nas do wznowienia kradzieży w pełnym wymiarze, a potem znów rzucą się na nas, by zagrabić nasze mienie. Z tym moim domysłem nie zgodził się kolega Karasek, twierdząc, że właśnie przeplatanie ostrych kontroli z łagodnymi jemu osobiście podpowiadałoby, że chodzi o akcję przede wszystkim rządową: strażnicy przeprowadzają ją z naturalną obojętnością, a ożywiają się, kiedy ktoś pogoni im kota. Tu zauważyłem, że gdyby rząd – mówię to po raz drugi – mógł coś strażnikom narzucić, nigdy nie powstałby żaden *obieg tajemny*!

Na to kolega Karasek odparł:

– A co, jeśli to oznaka zmian w rządzie?

Na to mogłem tylko cicho, z uniesionym palcem gwizdnąć: Fiuuu!

– W takim razie – dodałem do gwizdnięcia – zanim nowy rząd podniesie pensję bankierów, wielu z nich, jak na przykład ja, musi sobie wciąż radzić, jak może.

– W rzeczy samej – powiedział solidarnie kolega Karasek, chociaż nie ma już na utrzymaniu dzieci.

Westchnąłem:

– Ukradnę pięćset, ale skonfiskują mi pięćset dziesięć. Gorzej niż w Chicago.

Na to kolega Karasek zaznaczył, że nie musimy przecież chodzić do banku z dziesięcioma koronami, wystarczy, jeśli będziemy mieć w kieszeni sześćdziesiąt halerzy na tramwaj. Odparłem, że nawet to jest odczuwalną stratą, która dodatkowo oznacza, że trzeba iść do domu na piechotę, chyba

że w ogóle nie wnosilibyśmy tu pieniędzy, zostawiając je na przykład w samochodzie.

Ach, zabawo, zabawo! Ale jak jest naprawdę? Tak czy inaczej nowe działania strażników będą miały podobne działanie psychologiczne, jak podwyższenie wygranej w loterii. Na przykład ja wczoraj: gdybym o tym wiedział, wziąłbym pięć tysięcy, nie zaledwie pięćset koron…

– Tak! Już wiem! – krzyknął kolega Karasek. – To są antyrządowe działania strażników.

Oto, jak do tego doszedł: nowe działania zakładają, że każdy bankier przynosi z domu dziesięć koron, lecz do domu będzie chciał przyjść, jeśli już, to z pięcioma tysiącami koron. W większości przypadków zostaną mu one skonfiskowane, więc odpływ środków płatniczych do *obiegu tajemnego* zwiększy się. W tym byliśmy zgodni: to jest kolosalny podkop służący do okradania naszego Banku Narodowego. Żal nam go.

W głowie błysnęła mi całkiem nowa idea:

– Przestańmy kraść – powiedziałem.

– Jak pan to chce zorganizować, na Boga? – zdziwił się.

– Nic nie organizować – powiedziałem – tylko ogłosić i dotrzymywać. To się rozniesie.

– Jak pan myśli, jak długo pan by to wytrzymał? – uśmiechnął się.

– Ja osobiście – powiedziałem – żeby dać tym świniom nauczkę, jestem gotów nie okradać rządu bardzo długo. Bardzo długo!

– To nie może się udać bez jakiejś organizacji. Będzie pan sam. Będzie pan sam!

– Więc to zorganizujmy – powiedziałem.

– O tym, panie kolego – zastanowił się – nie chciałbym tutaj rozmawiać.

Kiedy spojrzałem na niego zdziwiony, dodał:

– Nie wolałby pan porozmawiać po pracy trochę o świnkach morskich?

Dzień mijał w poruszeniu, które hulało po korytarzach Gangu Narodowego i było prawie przyjemne. Coś się jednak ruszyło, myślimy sobie, kiedy zwierzęcy optymizm karze nam doszukiwać się w tych wydarzeniach czegoś pozytywnego.

W południe zobaczyłem na stołówce inżyniera Maelströma. Pomyślałem, że cała analiza, którą przeprowadziłem z kolegą Karaskiem, oparta była o hipotekę inżyniera Maelströma. Wciąż zakładamy, że istnieje ów *obieg tajemny,* i wszelkie wydarzenia rozpatrujemy w jego kontekście, a wszystkie fakty staramy się zestroić z domysłami inżyniera. Ale czy one są uzasadnione? Czy ktoś je chociaż zna w całości?

Wziąłem tacę i podszedłem do stołu inżyniera.

– Czy tu jest wolne, panie inżynierze? – zapytałem.

Spojrzały na mnie zdumione, wystraszone oczy.

– Oczywiście, jak najbardziej – wydukał starzec trzęsącymi się nerwowo, wyschniętymi wargami.

Usiadłem i postawiłem talerze na stole. Zamieszałem łyżką zupę.

– Proszę wybaczyć, że pozwalam sobie przeszkadzać panu w jedzeniu…

– Ależ w żadnym razie, proszę, proszę – zachęcił mnie szybko. Nikt nigdy się do niego nie przysiadł.

– Interesuję się trochę ekonomią klasyczną – zacząłem.

– Słucham, słucham! – wydukał znów niemal szeptem.

– Odnalazłem na mapach Maelström… – zawiesiłem głos.

– O tym nie, dobrze? – powiedział szybko. – Nie życzę sobie o tym rozmawiać! A już zdecydowanie nie tutaj, panie kolego.

– Proszę wybaczyć – powiedziałem.

– Proszę przyjść do mnie kiedyś – rzucił niepewnie, ale zaraz się wystraszył i dodał: – Tylko proszę, nie do biura. Tam nie! A teraz przepraszam pana najmocniej…

Zrozumiałem, że najmocniej mam przeprosić ja. Z ukłonem, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa, wziąłem tacę i poszedłem na drugą stronę stołówki. Wszyscy mnie obserwowali. Wybrałem stół, przy którym będę sam. Nie zostanie mi tak już?

Później, między popołudniem a wieczorem, kiedy na ulicach jest jeszcze dzień, ale w bankach i w kasach oszczędnościowych już świecą lampy, woskowane parkiety z czasów, kiedy korzystano u nas z lombardu, uginają się z trzaskiem pod nogami ciężkich, zmęczonych bankierów, a w klozetach szczotki w wiadrach przecierają oczy na nową zmianę, wsiadłem do windy i pojechałem na siódme piętro. Wąskim korytarzem, w świetle białych kulistych kloszy, skrzypiałem ku drzwiom, w które wetknięty był klucz. Blaszany krążek z wytłoczonym numerem 706, przywieszony do kluczy, jeszcze się kołysał. Dopiero co wyszedł, czy przyszedł? Zapukałem cicho do drzwi i nie czekając, wszedłem. Wewnątrz nie było nikogo.

Tak jak poprzednio: ciężkie, starodawne biurko z balustradką, kałamarzem i bibułą. W szufladę biurka wetknięty był klucz, jeden z pęku, który również jeszcze się kołysał. Po prawej stronie szafa, po lewej goła ściana. Za stołem, w ukryciu, beczka – jak wiadomo. Zastukałem w nią, była pusta. Nigdzie nie widziałem żadnego otworu, przez który można by coś do niej nasypać, nalać, czy włożyć. Podszedłem do szafy i otworzyłem ją ze skrzypnięciem. Szary płaszcz inżyniera i czarny kapelusz, ale żadnych dokumentów – ani jednej kartki. Oprócz ubrania była tam tylko bańka, którą każdy zna. Zdawało mi się, że coś jest nie w porządku, skoro tu stoi. Powinna, szczególnie po obiedzie, stać za oknem. Czy jednak nie jest dziś

pusta? Podniosłem ją, była ciężka. Odkryłem wieczko. Nieprzyjemny, szczypiący smród skwaśniałej zupy. Potrząsnąłem bańką, czerwona od papryki, tłusta skorupa odsunęła się i odkryła bledszą ciecz, w której pływał makaron. Jednocześnie jednak coś ciężkiego przetoczyło się po dnie. Myślę, że wiecie, dzieci, co to było… Właściwie przeczuwałem to od chwili, gdy zobaczyłem tę bańkę w szafie.

Wyjściu z banku tego dnia znów coś towarzyszyło. Zmierzaliśmy, my – bankierzy, ku kordonowi naszych starych znajomych ze świadomością, że teraz dowiemy się więcej, niż wiedzieliśmy wczoraj. U tych naszych stróżów prawa dobre jest przynajmniej to, że każdego dnia wyglądają zupełnie obojętnie, nie nawiązują do wczorajszych potyczek i z nikim ich nie kontynuują. Mogłem udać się do swojego wczorajszego dobrodzieja z pewnością, że potraktuje mnie zgodnie ze swoją dzisiejszą wolą, bez pozostałości woli wczorajszej. Nic nie będzie wskazywać na to, że wczoraj daliśmy sobie w tzw. mordę. Ruszyłem znów w jego kierunku. Przepuścił mnie bez rewizji, machnął ręką. Jakiż ze mnie dureń! Pięć tysięcy diabli wzięli!

Wyszedłem z Ganku Narodowego i znalazłem się w tłumku bankierów, którzy czekali tam, żeby dowiedzieć się, jak poszło kolejnym kolegom. Ale nikt nie poleciał na bruk, jak ja wczoraj. Na razie obraz wydarzeń wskazywał na to, że strażnicy kontrolują ostro, ale tylko wybiórczo.

Na rogu czekał na mnie kolega Karasek.

– Więc co będziemy o tym myśleć, panie kolego? – zapytałem.

– Nic. Poczekamy – odparł.

Szliśmy w dół placu. Nie dało się rozmawiać, wciąż wpadali na nas ludzie. Przeszliśmy przez skrzyżowanie i przejściem podziemnym dotarliśmy do Ogrodów Franciszkańskich. Tam powiedziałem:

– To jaką podejmiemy decyzję?

– Ale w jakiej sprawie? – zapytał i dalej śpieszył obok mnie.

– W sprawie naszych kolejnych działań – odpowiedziałem zdziwiony, że nie pamięta już, po co chcieliśmy się spotkać.

Doszliśmy do bocznej ścieżki, daleko od lamp. Kolega Karasek zatrzymał się. Nie widziałem jego twarzy, ale czułem, że zastanawia się, czy może być ze mną szczery.

– Na razie podejmijmy następującą decyzję – powiedział. – Wchodzi ona w życie natychmiast: przestaje pan myszkować u starego inżyniera. A jeśli nie, wypłacę panu w gotówce więcej takich! – i walnął mnie pięścią w żołądek.

W domu.

– Tatusiu, mówiłeś, że coś omówimy – zaczął Vaszek przy kolacji.

– Co mamy omawiać. Nie wiem.

– No ja tym bardziej nie wiem. To ty chciałeś.

– Odnośnie do czego?

– Chyba do mnie. Albo do tych rurociągów – zaśmiał się.

– Co ty masz wspólnego z rurociągami? – zapytałem.

– Wyleguje się na nich w kanałach – powiedział Paweł i roześmiał się.

– Kiedy to mówiłem? – zapytałem.

– Chyba rano, nie? – dziwił się Vaszek.

– Dlaczego ci to powiedziałem?

– Bo cię wkurzyłem. Chyba.

– Nie wkurzyłeś. Teraz mnie wkurzasz.

– Przypominacie mi Żwirka i Muchomorka – powiedziała Ewa.

– Mogę ci to naszkicować. Tylko do kiedy mam czas? – zapytał Vaszek.

– Co mi chcesz naszkicować, do diabła?

– Tę sieć kanałów, o której mówiłeś. Ale znam ją tylko po tej stronie rzeki.

– A nie wiesz, czy ta strona jest jakoś połączona z drugą stroną? – spytałem.

– Do tego musiałbym się jeszcze trochę rozejrzeć.

– A kiedy o tym rozmawialiśmy. Dzisiaj?

– Dzisiaj rano. Widzieliśmy się przecież, nie?

– Człowieku, jak to możliwe, że uciekasz z lekcji! Aha!

– A co mam robić, skoro ona znowu powiedziała nam, które strony mamy przeczytać, i sobie poszła – odpowiedział Vaszek.

– Jaka ona, jaka ona! – powiedziała Ewa.

– Ona. Ta głupia nauczycielka, nie? – powiedziałem.

– Dla ciebie każdy jest głupi – powiedziała Ewa – tylko ty jesteś mądry. A wieczorem nie pamiętasz, co było rano.

– Co miałem dzisiaj pamiętać? – podniosłem głos.

Chłopcy się roześmiali, Paweł mocnym śmiechem, Vaszek stłumionym.

– Co mi zleciliście rano do zapamiętania! – krzyknąłem i wstałem od stołu. – I co mi chcecie zlecić na jutro! Sformułujcie to jasno! Wezmę to sobie do serca!

Vaszek już się nie śmiał, twarz mu zastygła. Paweł też już nie chciał się śmiać, ale wyleciał mu z nosa smark, więc musiał.

Trzasnąłem drzwiami i wyszedłem z domu.

XI

Nadeszła niedziela. Nadeszła wraz z czystym niebem, na którym tu i ówdzie pojawiły się drobne, postrzępione chmurki. Powietrze jeszcze wręcz pachniało chłodem, ale tak naprawdę nie robił on już na nikim wrażenia, wróble krzyczały w rynnach, mewy – nad rzeką, a w parku krótkie uwagi o życiu wymieniały kosy. Tegorocznej, łagodnej zimy napadało mało śniegu, a i ten stopniał przez kilka ostatnich ciepłych dni, istniało zatem niebezpieczeństwo, że wkrótce rozkwitnie forsycja. Teraz, w nocy na niedzielę, wrócił lekki przymrozek i wszystko znów trochę przyhamuje, to dobrze. Zbyt wczesna wiosna bywa błotnista, nieprzyjazna, zdradliwa, wszędzie brud, grypy, czekanie na wiosnę, która tak naprawdę jest jeszcze daleko, i w końcu – nieuniknione zmęczenie tym wszystkim. Lepiej jest, kiedy zima odbierze cały należny jej przydział i dopiero wtedy idzie w diabły. Zatem taka niedziela, kiedy po przebudzeniu, samotnie, tylko ze świnką morską w kieszeni płaszcza, wyruszyłem w stronę karuzeli, która jednak jeszcze się nie kręciła, bardzo mi się spodobała. Spojrzałem na niebo przysłonięte przejrzystą maską, za którą słonko szlifowało mroźną stratosferę na białe trociny i postanowiłem: ogłoszę rodzinną wycieczkę.

Szybkie decyzje – oto, jak należy działać! W kwestiach drobnostek i rzeczy błahych dobre decyzje można podjąć tylko szybko. Dziewczęta! Kiedy dorośniecie i będziecie wybierać sobie mężów! Zaobserwujcie

i wypróbujcie! Nie możecie oczekiwać, że zdecyduje dobrze po długim i dokładnym rozważaniu o rzeczy istotnej i poważnej człowiek, który nie jest w stanie w sprawie drugorzędnej i bez znaczenia podjąć decyzji szybko, choćby źle. Chłopcy! Kiedy będziecie wybierać żonę! Odrzućcie kandydatkę, która nie potrafi przyjąć z poczuciem przynajmniej humoru waszej decyzji, istotnej czy nieistotnej, dobrej czy złej, ale szybkiej.

Ewa, na przykład, została wybrana dobrze, chociaż ten, kto ją wybierał, rozważał długo i bez pośpiechu. Moje szybkie decyzje zatem jej nie przeszkadzają, ale wolałaby znać je z kilkudniowym wyprzedzeniem (sic!). Jeżeli zostaną jej przedstawione z wyprzedzeniem zaledwie godzinnym, również nic się nie stanie, pod warunkiem, że wszystko dobrze się skończy. Ale nie skończy się dobrze, jeśli Ewie pomysł nie spodoba się już podczas rozmowy o nim, natomiast jeśli Ewie pomysł się nie podoba, lepiej od razu po krótkiej kłótni z niego zrezygnować.

– Szykujcie się, jedziemy na wycieczkę – powiedziałem w przedpokoju wesoło.

– W takim razie obiad zrobię dopiero wieczorem – powiedziała Ewa zamyślona, spoglądając przez okno – a teraz zjemy coś z chlebem. Salami. Ale w co się ubierzemy?

– Ja wezmę te stare spodnie – z radością rzekł Vaszek.

– I tę niebieską kurtkę – dodałem ja.

W ubikacji zaszumiała woda. Wyszedł Paweł, i idąc do łazienki, pytał zaciekawiony:

– Tatusiu, mówiłeś, że na wycieczkę jedziemy, czy idziemy?

– Mówiłem. Gdybyś urzędował tylko tyle, ile normalni ludzie, byłbyś tu wtedy, kiedy to mówiłem, i słyszałbyś.

– Jedziemy – powiedziała mu Ewa.

– Hura – zauważył Paweł cicho.

– Z dworca na Smichowie o dziesiątej – zaznaczyłem.

– To musimy wyjść z domu koło wpół do jedenastej – rzekł Vaszek.

– Głupi jesteś? – zdenerwował się Paweł.

– Nie chlap mi ciągle na podłogę – powiedziała Ewa rozgniewana.

– Wytrzeć – rozkazałem mu.

Ewa zaczęła szykować chłopców. W pokoju dziecięcym zapytała:

– Gdzie jest druga świnka?

– Jak to? – zdziwił się Paweł. – Vaszku, wynosiłeś ją gdzieś?

– Ja nie – powiedział Vaszek. – A nie zapomniałeś jej wczoraj przełożyć z łóżka do klatki?

– Nie, przełożyłem ją, na pewno – odpowiedział Paweł.

– A! – powiedziałem i dałem mu klapsa. – Nie bierze się świnek do łóżka.

Potem poszedłem do przedpokoju, wyciągnąłem świnkę z kieszeni płaszcza i niepostrzeżenie wsunąłem ją do poduszki Pawła.

– Tu jest, widzisz? Znowu! – powiedziałem.

– No nie! Nie rozumiem tego – dziwił się Paweł.

– Ja też nie rozumiem w życiu wielu rzeczy, przyjacielu – zakończyłem dyskusję.

I tak nadeszła godzina dziesiąta, nasz pociąg zapewne odjeżdżał z dworca, a my siedzieliśmy dopiero w tramwaju.

– Może będzie jakiś następny – płaczliwie mówił Paweł.

– Będzie – dwa razy powiedział lakonicznie Vaszek. – Będzie.

– To może nim pojedziemy – popłakiwał Paweł.

– Nie możemy – powiedziałem. – Buty należy czyścić w sobotę.

– Ale jeśli zapomniałem wyczyścić je wczoraj i wyczyściłem je dopiero dzisiaj, nie jedziemy o dziesiątej, ale możemy pojechać następnym

pociągiem. Mam rację? No przecież.

– Nie możemy – powiedział lakonicznie Vaszek. – Buty należy czyścić w sobotę.

– Ty, Vaszku, bądź lepiej cicho – powiedziała Ewa – i nie drażnij nam taty.

Minęliśmy dworzec. Zasępiony Vaszek odwrócił się w przeciwną stronę, Paweł się cicho złościł i marudził. Wysiedliśmy dopiero na pętli. Rozluźnieni stanęliśmy na wyludnionym placu. Powietrze było przyjemne, bezwietrznie chłodne, mieliśmy swobodę i czas, dzieci w porządku i jedzenie w torbie. Byliśmy panami swojego losu.

– Kto będzie grzeczny, zostanie hojnie nagrodzony – powiedziałem.

– Ciekawe jak – powiedział Paweł.

Vaszek szedł niedbale i powtarzał:

– Hojnie nagrodzony, hojnie nagrodzony…

Ruszyliśmy wzdłuż potoku przez dolinę, którą znaliśmy, ale dawno tu nie byliśmy, a o tej porze roku – nigdy. Oglądaliśmy domy i ogródki ludzi, z których część leżała jeszcze w łóżku. Widzieliśmy owinięte i pobielone pnie drzewek i grządki przykryte iglastymi gałęziami. Mijaliśmy mury i płoty, furtki i dzwonki, czytaliśmy nazwiska mieszkańców. Jak to osiągnął ten napisany, jaką kradzieżą, i co planuje teraz, co gotuje na obiad jego żona, jak się ma ich pies i kot? A jak nasze świnki? Trawy nie ma. Czy świnki zjadłyby gałązkę igliwia? Jest przecież zielona i świeża. Chlorofil przyciąga świnkę morską i ptaka. Witaminy i taniny. Olejek i żywica.

– Ewo!

– Co jest?

– Nic.

– O czym rozmawiacie? – zdziwił się Paweł.

– Nie wtrącaj się im – odpowiedział mu Vaszek.

Tak doszliśmy do miejsca, w którym nad doliną hluboczepską wznoszą się dwa przeplatające się ze sobą wiadukty. Fantastyczny widok dla chłopięcych oczu. Mnie również urzeka ten szary chłód równych kamiennych filarów i łuków.

– Oto wasza nagroda, panowie – krzyknąłem.

– Dobre, dobre – pokiwał głową Vaszek. – To ci się udało.

– To ci się udało, tatusiu – powiedział Paweł. – A gdzie zdobyłeś tyle materiału?

Pod wiaduktem płynie potok. Wzdłuż niego biegnie droga. Przy niej stoją domki, które pozostały tu z naszych minionych, sąsiedzkich czasów, są utrzymywane w pierwotnym kształcie i wyglądają pod tymi starymi, betonowymi wiaduktami, na brzegu potoku ze schodami wprost do wody naprawdę uroczo czy malowniczo. Ewa, kiedy to widzi, chciałaby przeprowadzić się z całej tej światowej Pragi do takiej chatki, posadzić jakieś cebulki i czekać, co z nich wyrośnie. Pokazała palcem biały domek zaraz za wiaduktem. Czerwony dach, przed oknami ogródek, płot z desek. Furtka. Zamknięta. Chodnik wiodący od furtki do drzwi wejściowych z tyłu domu. Tam, na podwórku pod skałą, zbudowałbym sobie pracownię, ale co bym w niej robił? Na pewno nie liczył. Studiował, malował, robił meble, książki oprawiał? Ale z czego bym żył?

– Tam bym trzymała kury. I nie uczyłabym.

– A krowy byś nie chciała?

Przyglądaliśmy się temu domkowi, majątkowi jakiegoś robotnika albo motorniczego, który chodzi do pracy z aktówką, a w niej ma bańkę.

– Jeśli przyjrzysz się uważniej – powiedziała Ewa – wydaje się, że ten domek jest jakoś bardziej zaniedbany.

– Może jest na sprzedaż – powiedziałem.

– Idźcie zapytać tego pana – powiedział Vaszek, kiwając głową w stronę okna, w którym zarysowała się jakaś szara głowa.

– Pożyczysz nam? – zapytała Ewa.

– Weź z banku, tatusiu – doradził mi Paweł.

Znowu bank. Kiedy byłem chłopcem, pod słowem bank wyobrażałem sobie coś pewnego jak B i eleganckiego jak N. Dostojna instytucja ręcząca za siebie i za innych. Działalność emisyjna, weksle, obligacje, czeki, akcje i skrypty dłużne. Ale również giełda i bankrut. Podrabianie banknotów jest karalne. Pożyczki, hipoteki. Lombard. Inżynier Maelström powiedział, żebym się do niego zgłosił, ale w żadnym razie nie w banku. Więc gdzie? Czy ja wiem, gdzie on mieszka? Natomiast kolega Karasek mówił, żebym się do starego inżyniera nie zbliżał. Zatem – próbować czy nie próbować. Ciekawe. Oczywiście, drogi, młody czytelniku, ja również domyśliłem się, że tych dwóch mężczyzn coś ze sobą łączy. Co się tu przed nami ukrywa? Gdybym, drogi czytelniku, zaczął to wszystko porządnie analizować, ty również, na pewno odkryłbym jakąś tajemnicę, sam i bez pomocy. Jakąkolwiek tajemnicę, poprzez intensywne skupienie! Nie muszę nawet wypytywać tego starego pierdoły, co zrobić, by zapobiec grożącemu nam kryzysowi. Jestem przekonany, że niektóre wnioski wyciągnie każdy, kto zagłębi się w całym problemie. W jednej z wygłoszonych przez pana myśli, starszy panie, dostrzegłem błąd.

Twierdził pan, panie inżynierze, że jeśli z naszego banku zniknie za dużo banknotów, które już nie wrócą, bank będzie musiał zwolnić część bankierów. Panie inżynierze! Im mniej środków płatniczych będzie w obiegu, tym szybciej będą musiały krążyć i tym więcej operacji trzeba będzie przeprowadzić w jednostce czasu. Żeby szybko przekazać pieniądze dalej, będziemy przecież musieli sami doręczać je do fabryk, tam poczekać, aż zostaną wypłacone robotnikom, potem gnać przy ich boku do sklepów,

kiosków, barów i kin, tam pokrzykiwać na kierownika, żeby jak najszybciej wypełnił przekaz pieniężny i szybko z nim, a może i zamiast niego odnieść pieniądze na pocztę, a z poczty do naszego banku… Im mniej jest więc środków płatniczych, tym więcej urzędników potrzeba do ich obsługi, aż wreszcie spadającą ilość banknotów i wzrastającą ilość bankierów połączy znak równości. I w końcu, panie inżynierze, wszyscy obywatele staną się w pewnym sensie bankierami, a cały nasz kraj stanie się jednym niespotykanym bankiem.

Opuściliśmy dolinę i weszliśmy na wzgórze. Praga jawiła się stąd jak bezkształtny zbitek mgieł, dymów i blasków, wyszło słońce. Byliśmy tu sami, na polach nie było nikogo. Zaczynało się popołudnie. Towarzyszyły nam tylko zające i myszy, które przeżyły zimę. Świeciło słońce. Zjedliśmy prowiant. Ułamaliśmy dla świnek gałązkę świerku. Czterdzieści lat żyjemy. W Pradze mieszkamy od lat piętnastu, a teraz jest tam, w tle, niewyraźna, obca, niezdobyta, mamy tylko siebie, a gdyby teraz wzniósł się nad Pragą słup ognia, bylibyśmy uratowani wraz ze wszystkim, co najistotniejsze, oprócz świnek.

Ewa patrzyła z zadumą w dal i myślała może o swojej szkole, która nie jest dla niej zabawą. Ewa ma i miewa ciężkie myśli, których nie potrafię odciążyć.

– Musiałabyś – powiedziałem – sama zostać dyrektorką, żeby nie rozkazywała ci głupia dyrektorka.

– I co potem? – zapytała.

– Potem cykl by się powtórzył o szczebel wyżej.

– To na jaką pozycję człowiek musiałby się dostać? Ciągle wyższą i wyższą, aż stałoby się to sensem jego pracy – powiedziała.

– Co u twojej opętanej uczennicy? – zapytałem.

– Jest chora. A mnie się lepiej uczy, kiedy jej nie ma.

– Może to ona umrze. Nie umrze? – zapytałem.

– Nie mów tak! – powiedziała zdenerwowana. – Oby nie spotkała cię kara za te słowa.

– Musiałaby spotkać i ciebie za to, że lepiej ci się uczy bez niej.

Tymczasem chłopcy łazili po skałach i jaskiniach. Siedzieliśmy z Ewą w piaskowym zagłębieniu, suchym i chroniącym przed wiatrem, lecz nie przed słońcem, więc w każdej chwili z ziemi mogły zacząć wyłazić mrówki. Chciałem tego. Nagle rozległ się krzyk. Podskoczyłem, ale nic się nie stało, tylko Pawłowi but uwiązł w szczelinie skalnej i nie mógł go wyciągnąć. Kiedy wystraszony podszedłem do niego, but jakoś sam się uwolnił. Dałem Pawłowi klapsa mówiąc:

– Nigdy w życiu nie wołaj o pomoc w tak obrzydliwy sposób.

– A jak ma wołać o pomoc? – zapytał Vaszek.

– Jakkolwiek – powiedziałem – ale tak, żeby wybawca nie czuł do niego wstrętu. To chyba logiczne, nie sądzicie, głuptasy?

Ewa, zielona, stała obok i kręciła głową.

– No dlaczego jęczy jak zatraceniec w piekle? – przekonywałem ją.

– Po prostu się wystraszył! – powiedziała.

– Nie powinien się bać, jeśli wie czego.

– Ja się nie bałem, zabolało mnie to – przekonywał Paweł.

– I dobrze – powiedziałem – ponieważ nie możesz być taki niezgrabny.

– Szedłem za Vaszkiem.

– No oczywiście – powiedziała Ewa. – Czy Vaszek musi ciągle łazić po skałach?

– Przecież to nie są nawet żadne skały – mamrotał cicho Vaszek. – Tu nie da się spaść, a czy to moja wina, że on…

– To ty kazałeś mi iść po lupę, Vaszku.

– Tak powiedziałem, ale to przecież nie znaczy, że masz wciskać nogę…

Odwróciłem się i szedłem naprzód. Mówili o tym jeszcze przez chwilę, poprosiłem, żeby dali spokój, wciąż to omawiali, powiedziałem, że mają natychmiast przestać. Nie przestali.

– Dobra! – krzyknąłem. – Więc ty pójdziesz dwadzieścia metrów przed nami – powiedziałem do Pawła – a ty dwadzieścia metrów z tyłu – wskazałem Vaszkowi. – I to już!

Paweł z przodu demonstracyjnie kuśtykał, ponieważ Vaszek poprosił go, żeby przyniósł lupę, ale było mi już wszystko jedno, niech sobie kuśtyka, a z tyłu Vaszek powtarzał gorączkowo:

– Już ja mu złoję skórę! Poczekaj no tylko! Co za beksa, pastuch świnek morskich zasmarkany!

Podbiegł do przodu, chwycił Pawła za ramię, dwa razy nim potrząsnął, a kiedy Paweł zaczął wściekle walić go w piersi, potrząsnął nim jeszcze trzy razy i wrócił na przydzielone mu miejsce za nami. Kiedy przechodził obok nas, powiedział ze złością:

– Dzień dobry. Dziękuję.

Ewa kręciła nad nim głową. Ja powiedziałem:

– Nie dziękuj. Podziękujesz, jeśli dotrwasz do wieczora bez lania.

– Nie wiem, czym mógłbym na nie zasłużyć, skoro będę ostrożny – rzucił zza pleców.

– Bądź tam już cicho – odwróciłem się za siebie – wystarczy, że zaczynasz tak szybko po tej sprawie z niebieską kurtką.

Był więc cicho, a Ewa powiedziała:

– Przecież on nie ma żadnej niebieskiej kurtki.

– Ale sprawę z nią miał – powiedziałem.

I tak przeszliśmy przez błonie i zbliżyliśmy się do biegnących przez pole torów. Doszliśmy do stacyjki, i dokładnie ją sobie zwiedziliśmy. Podbiał na nasypie nie kwitł. Rozkład jazdy, przylepiony na ścianie budy, powiedział nam, że za dwadzieścia minut przejedzie tędy pociąg do Pragi. Ewa nie wiedziała, w którą stronę będzie jechać, chociaż idąc tu, mieliśmy Pragę za plecami, a ponadto kierunek wskazywała stojąca na peronie strzałka z napisem Praga. Chłopcy jej to wyjaśnili. Ja w tym czasie miałem chwilę spokoju na myślenie o różnych rzeczach.

Vaszek z Pawłem mieli nadzieję, że przejedzie tędy piękna lokomotywa, porządnie naoliwiona, ze skrzypiących desek. Paweł odważył się powiedzieć:

– Tatusiu, może poczekalibyśmy na ten pociąg i pojechali nim do Pragi?

– Buty należy czyścić w sobotę – bąknął Vaszek.

– Poczekamy na pociąg – powiedziałem i spojrzałem na Vaszka – ale nie pojedziemy nim, ponieważ Vaszek się nie zgadza.

– A to szkoda – mruknął Vaszek, a Paweł powiedział z wyrzutem:

– No widzisz?

Ale pociąg, który po kilkakrotnym sygnale ostrzegawczym zbliżał się po serpentynach, miał tak piękny, przestronny i pusty nowy wagon, że musiałem powiedzieć:

– No to wsiadamy, panowie i damy!

Hop, skok, bum, chłopcy byli na górze, pomogłem Ewie wejść na schodki i silnik ruszył. Zsuwał się z góry, przechylając się miło na zakrętach. Chłopcy zajęli miejsca po lewej stronie przy oknie, żeby między wzgórzami widzieć Pragę, niezwykły widok, dramatyczny, my z Ewą usiedliśmy obok chłopców. Ale kiedy pociąg zbliżał się do wiaduktu, powiedziałem Ewie, żebyśmy przesiedli się na drugą stronę.

– Popatrzymy na nasz domek z góry? – zapytała.

Teren opadał coraz niżej i byliśmy już na wysokim nasypie nad doliną. Zanim wjechaliśmy na wiadukt, na krótką chwilę wyłonił się ten domek przy zboczu. Na podwórko, akurat kiedy je mijaliśmy, wyszedł z domku stary mężczyzna. Zatrzymał się przed progiem i przez kilka sekund patrzył na pociąg. Mogę się mylić, ale raczej się nie mylę.

To był inżynier Maelström.

A świnki morskie, ponieważ to jest książka o tych zwierzątkach, drogie dzieci, świnki morskie igliwia nie jedzą.

XII

Strasznie chce mi się spać, ale nie mogę. Zasnąłbym, ale nie wolno mi. Muszę jeszcze liczyć. Czasem wstaję od stołu, żeby się ocknąć, i spaceruję. Żeby oprzytomnieć, wstaję od stołu i chodzę. Wyglądam przez okno, w domach naprzeciwko od dawna jest ciemno. Dobre się im śpi! I znów siadam do stołu i koncentruję się. Najtrudniejsze miejsca przy zliczaniu dziesiątek to siedem i cztery, najłatwiejsze to dziewięć i dwa. Jeśli wydłubałbym sobie ołówkiem oko – strażnik tylko na to czeka. Drogie dzieci! Drogie dzieci, rozewrzyjcie nóżki, coś wam opowiem. Zabiłyście już kiedyś coś większego?

O czym ja myślę! Przy zasypianiu do naszych rozważań często wplątują się bezsensowne myśli. Znów muszę się przejść! A może poskładać już te papiery? Ale wystąpiły pewne okoliczności. Tego nie da się opowiedzieć, to by trzeba przeliczyć, tyle że ja niezbyt się na tym znam. Na czym ja się znam? Ani na matematyce, ani na chromatyce. Teraz tylko, ja bym teraz tylko, tylko położyłbym głowę na stole i sapał nozdrzami. Wezmę sobie świnkę, to mnie rozbudzi i rozjaśni umysł.

W oknach po drugiej stronie ulicy jest ciemno, jak to zauważyłem powyżej, również moja żona Ewa śpi w swoim łóżku, pokoju, a nasi chłopcy w królikarni. Tylko świnki zawsze trochę nie śpią. Chłopcy śpią, powietrze mają tu jak w królikarni, ale gdybym otworzył szerzej drzwi na

balkon, po ziemi ciągnęłoby na świnki. Świnki śpią w rogu, mocno w siebie wtulone, w swoim ubraniu. Goła skóra – można by powiedzieć – jest czymś niezdrowym. Dlaczego nawet Murzyni mają gołą skórę, skoro nie muszą zbytnio się ubierać? Najwidoczniej kiedyś musieli, pochodzą więc skądinąd. Czy to dowód na monofiletyzm? Ale co to jest monofiletyzm? Kiedy śpi, nawet chleba nie woła – słyszałem w dzieciństwie, kiedy jeszcze rozmawiało się o chlebie. To znaczyło, że za dnia nie jest zbyt grzeczny. Nasi chłopcy – są grzeczni czy nie? Myślę, że są. Ale nie należę do rodziców, którzy mają w zwyczaju ciągłe bezmyślne uskarżanie się na swoje dzieci. Skarżą się, ale nic z nimi nie robią, co sprawdzicie prostym pytaniem przy następnym spotkaniu. Zapytajcie wtedy swych przyjaciół: Udało się wam już wybić z dzieci trochę tej bezczelności, na którą skarżyliście się ostatnio? Ale co tam dzieci! To jest najmniejsze zło. Pewnie dlatego stosunkowo je lubię.

Sympatia do dzieci jest niezbędną cechą człowieka godnego zaufania. Świadczy o jego wrażliwości, dobroci, czy przynajmniej o dobrym wychowaniu. Antypatię do dzieci uważa się za cechę wręcz niebezpieczną. Podejrzewam jednak, że większość ludzi nie wie nawet, czy właściwie lubi dzieci – dzieci ogólnie. Lubi pan równiny? Lubi pani Brahmsa? To są pytania, na które można odpowiedzieć swobodnie. Czy lubią państwo Niemców? To już poważniejsza sprawa. A czy lubią państwo dzieci? Hm, a dlaczego pan pyta? Odpowiedź przecząca nigdy nie przejdzie niezauważona. Miłość do dzieci? Co to właściwie jest?

Jeśli chodzi o mnie, spojrzałbym z uznaniem na człowieka i zaprosiłbym pod swój dach takiego człowieka, który zapytałby mnie, sam z siebie, nie teraz, kiedy to przeczyta – po prostu trafnie zapytał: – *Jakie dzieci pan lubi?* Nie lubię dzieci natrętnych, rozkrzyczanych, głośnych. Nie przepadam za dziećmi rodziców, którzy przypisują swoim dzieciom

wyjątkowe znaczenie, żądają dla nich wyjątkowo dobrego jedzenia i godzą się na to, żeby uniknęły czegoś gorszego, w czym przecież my, pozostali, musimy żyć. Odpychające są dzieci rodziców, których dzieci mają mieć lepsze życie niż rodzice, no bo dlaczego? Pozbawcie nas, wy – dobre dzieci, naszych ciemiężycieli, wtedy będziemy was szanować. Tak było napisane, a jeśli nie, to ja to napiszę. Brzydzę się również dziećmi rodziców tak słabych, że nie potrafią nad potomstwem zapanować. Gdyby wszedł w życie nakaz, że każdy musi pełnić jakąś funkcję publiczną, jest jedna funkcja, którą przyjąłbym nawet w dzisiejszym systemie: mógłbym chodzić po ulicach, wyłapywać wstrętnie wyjące dzieciaki z głupich rodzin, przekładać je przez kolano i lać, lać, żeby przestały płakuniać. Owszem, zdarzają się wyjątkowe przypadki, ale naprawdę wyjątkowe, w których nie można winić dziecka za jego zachowanie. Ale i w takich przypadkach nie wydaje mi się właściwe, żeby dziecko było w porównaniu z nami lepiej traktowane. Jeśli to nie twoja wina, smarkaczu, że tak odrażająco beczysz, to dostaniesz lanie, żeby przynajmniej opłaciło ci się nie wrzeszczeć.

Pomijam dzieci chore i upośledzone, o nich nie powiem nic. Pytaliście jednak, jakie dzieci lubię. Zatem – nie lubię dzieci rodziców, którzy zaniedbali swoje dziecko przez to, że nie rozpoznali jego talentu i zrobili z niego dziecko mdłe, tępe i niepotrzebne, człowieka złego, małego i zawistnego, cwaniaczka i oportunistę, jednym słowem osła, idiotę, łajdaka i kurwę. Do dzieci tego typu rodziców czuję prawdziwą odrazę i widzę w nich zagrożenie. Kiedy spotykam głupie dziecko, dziwię się, że to w ogóle możliwe. Czy w lesie są głupie młode wiewiórki? Nikt z nas nie lubi dorosłych głupków i idiotów, ale mali dureńkowie i głupolki wkradają się swobodnie między nas pod płaszczem dzieciństwa, wykorzystując naszą wiarę w to, że małe jest piękne; przyjmując naszą miłość i dobroć, cierpliwość i uprzejmość, gotowość do poświęceń i zrozumienia. A przecież

to właśnie oni, kiedy dorosną, wybiją nam z głowy nasze dobre cechy. To ich butami zostanie kopana cierpliwość, to od nich gotowość do zrozumienia dostanie po zębach. Mam nadzieję, że zwierzę głupsze poniżej przeciętnej nie może zdobyć w swoim stadzie kierowniczego stanowiska. Ale nie mam nadziei, że najgłupsi wśród ludzi zostaną wykopani z ich wpływowych funkcji. To mnie zadziwia. Najpierw wychowujemy ich humanitarnie, by byli nam równi, a oni, kiedy tylko obrosną w siłę, zrównują wszystko do swego poziomu. Jakaż potworna, wołająca o pomstę do nieba, nasza nieudolność! A niebo działa. Po Bożym Narodzeniu powinniśmy zajrzeć do żłobków.

Świnki morskie, które sobie przyniosłem, biegają mi po tapczanie i pokwękują. Pierwszy biegnie Ruprecht, za nim Albinoska, rwanymi skokami, wciąż wyrażając niezadowolenie z dzielącej ich odległości. Zawsze zatrzymuje się tuż za nim, żeby dotykać go przynajmniej wąsami. Na obczyźnie często włazi mu pod szyję, a on stoi z czujnie podniesioną głową i zadkiem przyciśniętym do podłoża, śmieszny sfinks z nóżkami w kształcie kuchenki. Świnki szukają kryjówki pod poduszką, ponieważ w górze nad nimi krążą myszołowy, kuny i krogulce. Dopiero gdy te drapieżniki się oddalą, świnki zaczynają podskakiwać i ganiać się. Na tapczanie czują się nieskrępowanie: jest to zielone, miękkie pod nogami i ciepłe. Natomiast na stole, wprost pod lampą i na żółtym obrusie, poruszają się niespokojnie i nerwowo. Z kolei na szafie prawie się nie ruszają, tylko podchodzą do siebie, a potem siedzą razem i rozglądają się bojaźliwie. Na szklanym blacie stołu nawet nie próbują się do siebie zbliżyć, każda siedzi sama i trzęsie się. Na podłogę bamorskich już nie daję, nie chce mi się ich ciągle wygrzebywać i wypłaszać ze szpary między meblami a ścianą.

Do dziś nie udało mi się zwabić żadnej z naszych świnek na dłoń. Ruprechta na przykład zamknąłem na mrozie między oknami, spodziewając się, że za pięć minut chętnie stamtąd wybiegnie – choćby na moją rękę. Pomyłka. Kiedy otworzyłem okno, sterczał tam dalej, a ja musiałem go wyciągać, żeby nie dostał kataru i dyzenterii. To smutne – i zaczyna też być nudne. Nawet mysz jest bardziej pomysłowa, szczur – bojowy, a w pułapce wręcz sprytny, jak gdzieś czytałem.

Możemy zanotować: czas, jakiego świnka potrzebuje, by się otrząsnąć, wynosi piętnaście minut. To jest okres, po którym świnka przemieszczona z przyjemnego otoczenia do nieprzyjemnego ruszy się po raz pierwszy. Lecz nie można wtedy śwince przeszkadzać! Jeśli na przykład w dziesiątej minucie niecierpliwie bodniecie świnkę palcem i przesuniecie ją o centymetr, zacznie wam odliczać te piętnaście minut od nowa. Jeśli cierpliwie poczekacie na pierwszy, próbny ruch świnki, a potem ją, powiedzmy, tylko obrócicie tak, żeby tam, gdzie miała pupkę, miała teraz głowę: bach! – następne piętnaście minut! W ten sposób zmarnujecie na doświadczenia wiele godzin nocnych. Długo nie mogłem zamknąć jednego podstawowego i prostego eksperymentu: sprawdzić, jak świnka będzie próbować wyjść z opresji, kiedy spostrzeże, że znajduje się na równej powierzchni sto dwadzieścia na trzydzieści centymetrów, na której nic nie rośnie i na której nie można zagrzebać się w ziemi, ponieważ to biblioteczka. Tę próbę zawsze psułem tym, że się ruszyłem, świnka podskakiwała ze strachu i zaczynała liczyć od nowa, albo zezłościłem się i przejechałem nią po biblioteczce, albo przeszkodziła nam osoba trzecia, albo świnka się zsikała, a ja musiałem to wytrzeć. Aż jednej nocy udało mi się w końcu dokończyć doświadczenie. Ogłaszam wynik: kiedy świnka zrozumie, że znajduje się na ograniczonej i skończonej powierzchni, z której własnymi siłami nie może się wydostać i na której nie może się

schować, tkwi w miejscu i nie robi już nic. Tylko siedzi i patrzy, minut nie piętnaście, ale na przykład sto pięćdziesiąt. Czasem drapnie się po brzuchu, czasem przetrze łapkami twarzyczkę, zdrzemnie się, potem się kokosi i wypuszcza bobek, a potem już tylko czeka na wynik swojego doświadczenia ze mną. Ten również ogłaszam: biorę świnkę i odnoszę ją do klatki, co jest moim obowiązkiem, ponieważ jestem do tego zdolny.

Kocurek, kiedy go mieliśmy, szukał wyjścia z każdej sytuacji! Posadzony wbrew swej woli na górnej krawędzi otwartych drzwi balansował na niej i spadał, ratował się w ostatniej sekundzie i znów wdrapywał na górę, zanim pojął, że lepiej zeskoczyć samemu, niż spaść. Zeskoczył i nic się mu nie stało. Posadzony na żyrandol miauczał na mnie i czyhał, aż podejdę bliżej, potem skakał mi na głowę, ostrożnie, żeby nic nam się nie stało.

– Świnka jest głupia – oznajmiłem dziś rano Pawłowi.

– Nie mów tak! – krzyknął z żalem.

– Dlaczego? Jest głupia, musisz przyjąć to do wiadomości – powiedziałem.

– Świnka nie jest głupia – sprzeciwił się Vaszek – jest dość mądra.

– Możesz mi podać przykład zwierzęcia mądrzejszego od świnki? – powiedział Paweł.

– Mogę. Krowa – powiedziałem.

– A dlaczego myślisz, że krowa jest inteligentniejsza? – zapytał Vaszek.

Ale w tej chwili zorientowałem się, że mój szybki wybór jest przypadkowo zły, że krowa nie jest raczej inteligentniejsza od świnki morskiej. Wyobraziłem sobie ich zachowanie podczas wykonywania różnych zadań. Ale nikomu nie przyjdzie do głowy stawiać przed krową żadnych zadań, krowa jaka jest – każdy widzi.

– Chyba masz rację – powiedziałem Vaszkowi.

Mam plan, zdobyłem plan. Vaszek nakreślił mi plan komunikacji podziemnej, kanałów i rurociągów. Ale mimo to do banku i z banku chodzę górą. Odległość jest taka sama, tyle że górą jest szybciej i czyściej. Bank! Jak zachowacie się przy człowieku, który uderzył was pięścią w żołądek, aż upadliście, a następnego dnia siedzi naprzeciw was, nic nie wyjaśnia i zachowuje się w sposób tak oczywisty, że musicie zacząć się zastanawiać, czy to się w ogóle stało? Robię swoje, a z kolegą Karaskiem po prostu nie rozmawiam.

Kiedy kładę na świnkę poduszkę, nie ucieka, wręcz przeciwnie – stoi w miejscu. Ziemia miłosiernie zamknęła się nad nią, nareszcie. Jest schowana i przykryta, uciekła wszystkim drapieżnikom i została sama dla siebie. Jakie piękne rozwiązanie, jak ja marzę o nim w różnych snach! Jak wtedy, kiedy śniło mi się, że biegnie do mnie mała dziewczynka, obejmuje mnie w pasie i chichocze bezgłośnie, porusza ustami, ale nic nie mówi, wciąż mnie gdzieś ciągnie, ma dużą, bladą buźkę, i zmusza mnie, żebym gdzieś – do beczki, żebym wlazł. Najpierw wchodzi tam sama i kuli się, a ja się mam schylić do jej podejrzanego mięska, bowiem właśnie się okazuje, że dziewczynka jest naga. Albo strzelają do mnie. Na szczęście nie śni mi się to często. Nie śni się nigdy, kiedy śpię w łóżku Ewy.

Przed lustrem świnka nie reaguje na swoje odbicie. Postawiłem ją na radio i puściłem głośno muzykę. Nawet nie drgnęła, choć słuch ma doskonały. Już po krokach poznaje, kto nadchodzi. Kiedy zbliża się Ewa, świnki zaczynają piszczeć i włażą przednimi łapkami na kratkę, ponieważ kto je najczęściej karmi – Ewa. Myślę, że wzrok też mają całkiem dobry, nie wiem jednak na razie, na jaką odległość. Węch mają bardzo delikatny i czuły, nie było miłe z mojej strony, kiedy poperfumowałem Rupechtowi czoło. Chciałem zobaczyć, co zrobi Albinoska. Uciekała przed nim, nie chciała koło niego nawet siedzieć, nie była w stanie gryźć tej samej

marchsewki co on, capnęła ją i odciągnęła, on za nią – i tak kilka razy. Sam też nie mógł uciec przed tym zapachem. Wciskał głowę w papier, którym wyścielona jest klatka, i w trociny. Ale nie było to doświadczenie do końca przemyślane. Trzeba było poperfumować mu nogę, z nią mógłby próbować coś zrobić: odgryźć, wyczyścić lub ciągnąć za sobą po chodniku. Ale co może zrobić z czołem? Następnym razem.

Weźcie papierową torbę, połóżcie ją otwartą na stole i pozwólcie śwince wejść do środka. Potem torbę lekko zawiążcie – tak, żeby do wewnątrz był dopływ powietrza – i idźcie do kina. Kiedy wrócicie, zastaniecie wszystko w takim stanie, w jakim to zostawiliście. Weźcie szklane naczynie, napełnijcie je wodą, potem z tego zrezygnujcie, wylejcie wodę i tak przygotowanym naczyniem przykryjcie świnkę. Przez szklaną ścianę możecie obserwować, jak zdumiona świnka siedzi, ze zdenerwowania drżą jej dziurki w nosie, nerwowo trzęsie się brzuch, ale nawet nie próbuje sprawdzić przepuszczalności ściany, przynajmniej nie w przeciągu pierwszej godziny. O przebiegu kolejnych godzin proszę mnie informować. Wytnijcie tekturową obręcz, która zupełnie luźno zmieści się śwince na szyi, włóżcie, czekajcie. Kiedy świnka ruszy się po raz pierwszy, czyli za piętnaście minut, czuje, że prawdopodobnie ma coś na szyi. Kręci głową, próbuje wycofać się z tego obejmującego uczucia, potem swędzące miejsce drapie nogą, przy czym przypadkiem przerywa tekturę i jest wolna. Wytnijcie obręcz ponownie i przepasajcie nią świnkę w połowie długości ciała, luźno, żeby tektura tylko mierzwiła sierść. Świnka zupełnie znieruchomieje. Jest przekonana, że ma związane ręce i nogi i w ogóle się nie zorientuje, że to nieprawda, ponieważ nawet nie próbuje się poruszyć. Sierść przed obręczą wywinęła się i zjeżyła. Sylwetka znajomej świnki całkowicie się zmienia. Z boku wygląda jak śmieszny konik Przewalskiego, z przodu jak groźny lew, który pożarł misjonarza i przejął jego wyraz

twarzy. Kiedy przykleiłem śwince jeszcze kawałek tektury do uszu, dla żartu, załamałem nad biedaczką ręce.

Bezcelowe jest kładzenie świnki na klawiaturze pianina i zamknięcie wieka. Znowu – świnka morska to nie kot: nie gra.

Świnki, jeszcze przed chwilą biegające po kanapie, znalazły nareszcie kryjówkę pod aksamitną poduszką. Czekam, patrzę na nieruchomą poduszkę, rozmyślam, a potem nagle ją podnoszę. Ohoho! Dwa piękne zwierzątka, błogo w siebie wtulone, główka obok głowy jak w łóżeczku. Oczka i wąsiki. Kto mi zabroni?

Podebrałem je i podniosłem na swoją pierś. Wystraszone łaziły po sobie i deptały jedna drugiej po uszach. Każda próbowała zagrzebać się we mnie i w ogóle by jej nie przeszkadzało, gdyby zrzuciła tę drugą na ziemię. Ale ja hoduję i ochraniam obie. Usiadłem przy stole. Ruprechta zostawiłem na ręce, Albinoskę postawiłem na blat. Zaczęła biegać po obrusie, obwąchiwała teren i popiskiwała. Ruprecht, kiedy nie widział jej, jedynie ją słyszał, mruczał coś w odpowiedzi, ale na ratunek nie ruszył. Albinoska okrążyła stół i znów zatrzymała się przy mnie. Oparłem otwartą dłoń o krawędź stołu. Stała przy mojej ręce i jęczała jak babka.

– No chodź, maleńka! – powiedziałem cicho.

Zaczęła jęczeć jeszcze gorzej, przestępowała z nogi na nogę.

– No chodź, maleńka, chodź, nie bój się!

Podeszła bliżej i jedną przednią łapkę położyła mi na dłoń.

– Chodź, maleńka, chodź, nie bój się!

Wciąż się wahając, weszła cała na moją dłoń jak na kładkę, przeszła nad przepaścią, wbiegła mi po ręce i wtuliła mi się w łokieć. Pogłaskałem ją i odniosłem do klatki. Tymczasem Ruprechta zostawiłem na stole. Wiedziałem już, jak się za niego wezmę.

Podszedłem do radia i wcisnąłem przycisk gramofonu. Wyłączyłem głośnik i odsunąłem igłę. Wróciłem do stołu, na którym już czekał Ruprecht. Zaniosłem go na gramofon i zastanawiałem się, jaką prędkość mu wybrać. Najpierw kręciłem nim z prędkością trzydziestu trzech obrotów. Skulił się na tarczy i nerwowo ruszał głową, ale w żaden inny sposób na wydarzenia nie reagował. W swojej bezsilności z wyboru nie był w stanie nawet przesunąć się bliżej środka tarczy, by nie uderzać nosem o obudowę gramofonu. Zaczynał mnie irytować. Zatrzymałem urządzenie i przełączyłem prędkość na siedemdziesiąt sześć. Lecz to było bez sensu – przy takiej prędkości Ruprechta po prostu zmiotło z gramofonu. Najlepsza okazała się prędkość czterdzieści pięć. Nie była tak duża, żeby Ruprecht wypadł, była jednak wystarczająca, by wzbudzić w nim pragnienie odrobiny spokoju. Spróbował wyczołgać się z pędzącego talerza, ale kiedy tylko dotknął obudowy, przewrócił się i zaczął turlać się po tarczy, aż mnie rozśmieszył. Nic dziwnego, że był zadowolony, kiedy posadziłem go z powrotem na środku tarczy, gdzie mógł się porządnie pokręcić i już się nie wygłupiać. Przekrzywił główkę i z sardonicznym uśmiechem regularnie przepływał koło mojej twarzy.

Zapomniałem jednak wyłączyć głośnik w pokoju Ewy. Uderzenia o obudowę, szmer i szelesty obudziły ją.

– Co ty robisz, do licha? – usłyszałem niespodziewanie za plecami.

– Wożę Ruprechta na gramofonie – powiedziałem.

– Co ty robisz! – krzyknęła.

Zastanowiłem się, czy mogę twierdzić, że to on tego chciał. Tarcza wciąż się kręciła. Ewa wcisnęła wyłącznik, gramofon się zatrzymał. Patrzyła na mnie przerażona i z wściekłością powiedziała:

– W kogo ty się zmieniasz? W zwierzę?

Wyszła.

– W świnkę morską! – odpowiedziałem.

Opierałem rękę o gramofon. Nie mogłem powstrzymać śmiechu. Zastygłe zwierzę nagle się wzdrygnęło, wskoczyło mi na rękę, wczepiło się pazurkami w rękaw mojej bluzy i w gorączkowym pośpiechu, który był godny podziwu, wdrapywało się po mym ramieniu w górę. Usadowiło się na barku, gdzie głośno i wyraźnie odetchnęło. Uniosłem ramię i nachyliłem twarz w stronę świnki. Ocierała się o mnie głową, jednocześnie silnie mnie odpychając. Zaniosłem ją do jej domu.

A zatem – jednak postęp! Ale w pracy nad swoją własną karą nie poczyniłem dziś żadnych postępów.

XIII

Na dworze jest teraz tak ładnie, że często wracam z pracy piechotą. Podobają mi się wystawy sklepów, lubię patrzeć z mostu na rzekę, podobają się mi dziewczęta, ale większe, niż na razie jesteście wy, moje drogie. Wiosna wkrótce nadejdzie, już słychać ją wszędzie, kapele grają, ptaki śpiewają. W parku kwitną forsycje, zieleni się trawnik.

Kawałek tego trawnika urywam zawsze dla świnek. Trawę w domu płuczę, żeby usunąć z niej sadzę. Świnki piszczą i skrobią pazurkami o kratkę, wskakują na nią i ześlizgują się z niej, wołając, że już chcą tej trawy, kiedy tylko przekroczę próg mieszkania. Czasem Paweł bardzo chce im ją podać, nagle niezwykle troskliwy, ale żeby sam o tym pomyślał, kiedy włóczy się po dworze – co to, to nie. Mówię mu więc zawsze: – *Sprytny jesteś, spryciarzu!* Rzucam garstkę trawy do kojca, kładę się na podłodze i cieszę oczy widokiem trzęsących się uszu i falującej, zdrowej, błyszczącej sierści. Myślę, że dostają odpowiednie ilości odpowiedniego pokarmu. Rano płatki owsiane lub ziarno – to wsypuje im Paweł, powiedzmy. Po południu – jakieś warzywa, których jedzą więcej niż ja, poza ziemniakami, a wieczorem serwowaliśmy im siano, póki było, jadły też trociny, które dawaliśmy im jako ściółkę, a kiedy nikomu nie chciało się heblować, pałaszowały nawet tekturę, którą wykładamy klatkę. No ale teraz mają trawę. Dopiero kiedy dostały ją po raz pierwszy, wszyscy zobaczyliśmy,

czym jest świnka morska, czym trawa i jak nierozerwalnie są ze sobą połączone. Rzuciły się na nią jak kuna na świneczkę morską i zajadały, aż podskakiwały. Pomyślałem, że to również są drapieżniki, w pewnym sensie. Bobki, które po papierze są szare, a po wiórach żółte, w ciągu nocy poczerniały jak kozie.

Od kiedy dostają zieloną paszę, trzeba częściej czyścić im domek. O tym zdarza mi się pertraktować z Pawłem.

– Kiedy zamierzasz wyczyścić świnkom klatkę? – pytam.

– Zamierzałem zrobić to dzisiaj – odpowiada z namysłem.

– A dlaczego zrezygnowałeś ze swych zamiarów?

– Na razie z nich nie zrezygnowałem. Przecież.

– To dobrze – oświadczam. – Byłoby dla nas obu ciekawą zagadką, czy zrobiłbyś to, gdybym teraz ci o tym nie przypomniał.

– Chyba bym to zrobił. Nie chyba, ale na pewno.

– Tyle że za chwilę będzie kolacja – kontynuuję – i coś mi się zdaje, że z powodu nawału lektur dziś już nie zdążysz, znowu.

– Dlaczego miałbym nie zdążyć, skoro nawału lektur nie mam?

– Szkoda, że nie milczałem i nie napisałem po prostu na karteczce wiadomości, którą pokazałbym ci dopiero, kiedy byłbyś już w piżamie! – mówię.

– Powinieneś to napisać, bo okazałoby się, że klatka świnek jest wysprzątana.

– Teraz tak mówisz, spryciarzu! – krzyczę. – Ale nie masz tektury. Zaglądałem do spiżarni, nie ma tam żadnej tektury. Czym chciałeś wyłożyć klatkę?

– Jak to? Nie ma tektury? Tego nie wiedziałem.

– Zatem całe twoje przemówienie o tym, jak to na pewno wyczyścisz klatkę, właśnie spokojniuteńko straciło aktualność, tak?

– No, załatwiłbym ją, gdybym planował czyszczenie…

– Gdybym, gdybym! Aha! Przed chwilą mówiłeś, że planujesz!

– Bo planuję. A tekturę bym załatwił.

– Gdzie! Gdzie? Za chwilę zamykają sklepy!

– Już jakoś bym sobie poradził…

– Jakoś, jakoś! Nigdy niczego nie zrobiło się jakoś. Wszystko, co zrobiono na świecie, zrobiono w dokładny i ściśle określony sposób. A nie jakoś, jakoś!

Na to Paweł zamknął w końcu buzię, a otworzył ją Vaszek:

– Tyle że, tatusiu, każdy sposób, który został wykorzystany do zrobienia czegoś, mógł być przed jego odkryciem oznaczany wyłącznie słowem: jakoś.

Odwróciłem się do niego:

– Ty? Nie przypominam sobie, żebym cię o coś pytał. No ale, wybornie, Vaszku! Wybornie. Od dziś ciebie będę pytał, czy Paweł wyczyścił klatkę!

– Wybornie. A ja będę ci odpowiadał zgodnie z prawdą.

– Jakich odpowiedzi będziesz mi z reguły udzielać?

– Z reguły, że jej nie wyczyścił.

– Zatem ja mam już was obu powyżej uszu, nudzi mnie to i wyrzucę te świnki przez okno. Ja nie proszę o to, żebyś zaledwie informował mnie, że klatka jest niewyczyszczona. Od dzisiaj będę od ciebie wymagał, żeby była wyczyszczona. Od dzisiaj!

Skończyłem dyskusję i zamknąłem za sobą drzwi. Jeszcze usłyszałem Vaszka:

– Wybornie.

Ciekawi cię teraz, drogi, młody czytelniku, czy dom świnek morskich został tego dnia wyczyszczony? No zgaduj! Nie zgadłeś, został. Ewa, kiedy usłyszała, o czym debatujemy i jak, powyrzucała z kartonów w szafie świąteczne buty i podała Pawłowi tekturę prościutko do rączek.

– Dlaczego to robisz? – zapytałem. – Żeby mnie zdenerwować?

– Nie – zdziwiła się teatralnie. – Wręcz przeciwnie. Żebyś się nie denerwował.

– Nie wiesz, o co mi chodzi? – zapytałem.

– Wiem. Żeby móc dręczyć Pawła.

– Żeby nauczył się o coś samodzielnie dbać! Mądralo!

– Chyba zrobiłam w tym celu, ile mogłam, prawda?

Ech, szkoda papieru!

Często kładę się na ziemi i obserwuję spokojne życie świnek morskich. Jakby odpadła przednia ściana jakiegoś domu: widzę, jak mieszkańcy wykonują ruchy, kroki i drobne prace, wierząc, że nikt ich tu nie pilnuje i nikt nie ma prawa czegokolwiek im zabronić. Na moim stole Ruprecht podnosi zawsze łapkę do ucha, jakby nią kradł albo jakby ucho zostało mu tylko wypożyczone, więc może być w każdej chwili odebrane. Niechętnie zwraca na nie czyjąś uwagę. W swoim mieszkanku drapie się jednak do woli. Natomiast Albinoska myje swoją piękną twarzyczkę, wylizuje futerko, mało tego – pupkę, a kto chciałby to jakoś skomentować, zdradzi tym swoje prostactwo. Ruprecht zaczyna gruchać, zmierza ku niej zygzakiem, ona jednak z wyprzedzeniem, gdy dzieli ich jeszcze ćwierć metra, odrzuca go poirytowana i woli raczej pójść odgryźć sobie kawałek marchewki. Chodzą z kąta w kąt, kłócą się o źdźbła, zakopują nosy w trocinach. I ja również mogę pójść, do którego kąta zechcę, mogę usiąść przy stole albo położyć się na tapczanie lub na podłodze, wstaję, ściągam ze ściany obrazek, oglądam go sobie i znowu odwieszam – i co innego ktoś mi

może zrobić, niż pocałować, kiedy biorę z biblioteczki tomik intymnych wierszy, w dupę, mogę sobie czytać, na której stronie mi się tylko spodoba, mogę całą półkę książek zrzucić na ziemię i rozkopać ją, kiedy Ewy nie będzie w domu, a jeśli akurat by przyszła i powiedziała choć słowo, zrzucę na ziemię jeszcze jedną półkę, mogę również, co czynię z upodobaniem, wziąć kapelusz i wybiec na ulicę, gdzie jednak nie wolno mi już zbyt wiele. Czyżby to ten rozwój postrzegania świata miał na myśli kolega Karasek, kiedy mówił o znaczeniu świnek?

Chodzą wokół siebie, świnki, z powodów, których nigdy nie będę w stanie pojąć, i popiskują na siebie ze wzburzeniem jak zięby lub gdakają jak kury. Obgryzają pazurki. Drą papier. A ja, patrząc na nie, dłubię w nosie i bez żadnego konkretnego celu rozmyślam o wszystkim, co zahacza o moją duszę. O Pawle i o młodych, potem o Vaszku i o kanale, także o banku, o beczkach, o inżynierze Maelströmie, znowu o świnkach, o marchwi i o zupie, o inżynierze Maelströmie i jego bańce, o bańce i o pieniądzach, o Ewie i niebieskiej kurtce, o kanale i o banku, o banku i o beczkach w banku i tak dalej. I tak w kółko o banku i o gangu, o pieniądzach i o Ewie, o Ewie i o kunie, o kunie i o rudej śwince morskiej, o skrzypcach, o skrzypcach i o celi, o pieniądzach w bańce, o Ewie w szkole, o Vaszku w kanale, o kanale w banku i tak bez przerwy. I ciągle w kółko o Vaszku w kanale, o skrzypcach i o celi, o celi, o banku, gangu i o bańce, o gangu w banku, o śwince w skrzypcach, o sobie w celi, o inżynierze Maelströmie w beczce i tak dalej, dalej i dalej. Tak to roztrząsam i dłubię, a co wydłubię, rzucam zwierzątkom do klatki, gdzie zaraz to znika gdzieś w sianie. A także o opętanej dziewczynce.

Kiedy czasami zrywam trawy większą ilość, nie dajemy jej całej świnkom od razu, ponieważ zaparzyłaby się im pod nogami i mogłaby im

potem zaszkodzić. Rozkładamy ją na gazetach w łazience, żeby wyschła po opłukaniu.

Sięgnąłem do klatki, gdzie zapanował bezładny ruch, póki w mej ręce nie uwięzła mniejsza ze świnek – samiczka Albinoska. Położyłem ją sobie na przedramieniu lewej ręki. Wciskała się we mnie, siedząc w szerokim rozkroku, żeby nie spaść. Główka wąska, mała, smukła. Ale ciało w rozkroku spłaszczyło się, brzuch rozjechał się na boki i nadymał oddechem. Chyba będzie mieć dzieci. Zważyłem ją w ręce, zdawało mi się, że musi w niej być pełno zarodków. Dbając o siebie – dba o nie, boi się o nie, jeśli boi się o siebie. Jej młode nie znaczą dla niej więcej niż żołądek czy płuca – przecież bez płuc też nie da się żyć. Postawiłem ją na podłogę przed klatką. Spojrzała w prawo, w lewo i hop! Pazurki tylko zgrzytnęły o drut – i była w domu. Ruprecht zagruchał.

Sięgnąłem do klatki, gdzie zapanował bezładny ruch, póki w mej ręce nie uwięzła większa ze świnek, prawoskrętny Ruprecht – ten rozkoszny głupol i pechowiec. Udałem się z nim do łazienki, znów była noc, i włożyłem go do wanny, w której nie było wody, ponieważ świnki morskie nie potrafią pływać. Nie potrafią pływać, informuję was o tym tak, jak poinformowano mnie. Na zimnym, obcym podłożu, w strasznie dziwnym, białym otoczeniu, które wznosiło się wszędzie wokół niego, Ruprechtowi bardzo, wręcz niewiarygodnie wyostrzył się wzrok i słuch! O nie, nie czekał piętnastu minut, lecz po piętnastu sekundach, przykurczonymi podskokami wyruszył na obchód, by ocenić swoje położenie, które w ogóle mu się nie podobało. Ale położenie wyraźnie zaokrąglało ku górze, co Ruprecht szybko zauważył, usiadł więc pośrodku i czekał. Rozglądał się nerwowo, jakby widział całą przestrzeń wokół siebie, ale czy tak rzeczywiście było – nie mam pewności. Nie wiem na razie, czy świnka swoimi wypukłymi, sterczącymi oczami widzi całą półkulę swojego

wszechświata tak samo jasno i ostro i czy w ogóle widzi przestrzennie, skoro spojrzenia jej bardzo oddalonych od siebie oczu raczej nie mogą się przeciąć. Oczy świnki są niezbyt ruchliwe. Świnka nie przewraca oczami, nie podnosi wzroku, nie zezuje, nie mruga. Mrugnie tylko czasem, w normalnej sytuacji tak raz na dziesięć minut, i to każdym okiem osobno.

Świnka – nazywała się Ruprecht i znałem ją dobrze – siedziała w wannie z głową trochę uniesioną, z oczami wyjątkowo wytrzeszczonymi, bez jakiegokolwiek pomysłu czy planu. Bez ruchu. Wytężała wzrok i słuch na wszystkie bodźce, które do niej docierały. Nawet lekkie stuknięcie w wannę, skrzypnięcie buta na kafelkach, czy moje ciężkie i głośne przełknięcie śliny – to wszystko potrząsało jej uszami i szarpało nozdrzami. Milczała. Czy ona mnie zna? Przecież mogłaby mnie znać. Nie podniosła się jednak i nie zwróciła do znajomego, nie krzyknęła z tej swojej głębi ku górze: – *Hej, Vaszek, czy to ty? Nie wiesz jak się znalazłam w tej zasranej dziurze?* No dobra, nie potrafi mówić, wystarczyłoby mi, gdyby okazała jakoś, że mnie poznaje, oczywiście bez słów albo swoją mową czy po prostu gestem, siłą woli i gorącego pragnienia. Czy ty mnie w ogóle widzisz, małe zwierzątko? Czy ty mnie znasz? Ty się mnie boisz? Ty mi nie ufasz? Ty nie ufasz nikomu? Czy ty w ogóle pamiętasz jeszcze swój dom, swoje wióry, marchew i samiczkę, czy chcesz mieć to z powrotem? Wiesz, co może się teraz stać? Ty nawet nie spróbujesz podskoczyć na wysokość pięćdziesięciu centymetrów? Dlaczego w skałach nie piszczysz i nie krzyczysz w żelaznej przepaści? Dlaczego nie zaczniesz działać ze wszystkich sił, dopóki je jeszcze masz, choćby w ten najbardziej desperacki sposób, który swoją szaleńczą daremnością zaskarbi sobie uznanie boskie?

Odkręciłem prawy kurek. Zaczęła się lać zimna woda, która czarnym otworem w dnie spływała do kanału. Świnka uciekła na drugi koniec wanny i wyraźniej podniosła wzrok w górę. Nerwowo mrugnęła okiem, właściwie

połową twarzy. Pociągnęła nosem. Kręciła się w miejscu, szybko podskakując. Dolatywały do niej krople wody, która twardo uderzała o dno. Jednak bardziej – tak mi się wydawało – przerażał ją dźwięk katastrofy niż jej charakter. Woda, mimo że miała wolny odpływ, gromadziła się w niewielkiej ilości na dnie wanny. Płytka kałuża szybko dotarła do nóg zwierzęcia. Świnka znów uciekła, wbiegła na najłagodniejsze zbocze, ale oczywiście zsunęła się z powrotem. Obróciła się w drugą stronę i wbiegła do wody. Obeszła wszystkie ściany, otrzepując nogi w powietrzu. Zatrzymała się i spróbowała zlizać wodę z nóg. Zmoczyła sobie mordkę, usiadła na pupkę i próbowała wytrzeć się przednimi łapkami, przy czym pomoczyła się jeszcze bardziej. Zaprzestała więc starań, wszystko stało się jej obojętne, straciła wolę, chęć i odwagę, wyczerpała wszelkie swoje pomysły, zrezygnowała, oklapła i zwiesiła głowę, było jej wszystko jedno, zjeżyła się jej sierść na nosie, rozchyliła się buzia, trząść się zaczęła, zaszczękała zębami. Szybko, żeby nie doskwierało jej zimno, odkręciłem też lewy kurek i dolałem ciepłej wody. Jej poziom zaczął podnosić się szybciej. Mimo to świnka wciąż się nie ruszała, ale myślę, że w duchu musiała podgrzanie wody przyjąć z wdzięcznością. Stopniowo, jak podnosiło się lustro wody, podnosiła się też świnka, która przecież nigdy nie staje na tylnych łapach, tylko siedzi w kucki jak zając czy królik. Teraz stała na tylnych nogach, unosząc ciało nad wodą. To wciąż wystarczało. Jeszcze raz – już na palcach – wyruszyła na obchód, by ocenić swoje, muszę przyznać, beznadziejne położenie i zatrzymała się pode mną, przede mną, przy mnie i ze mną. – *I co, jak ci jest?* – spytałem delikatnie. – *Coraz bardziej bez zmian* – odpowiedziała i rozkołysała się, kiedy uderzyła w nią fala. Ale wciąż trzymała się na dwóch nóżkach. Podniosła głowę do góry, spojrzała na mnie.

Zakręciłem kurki. Nastała cisza i spokój, ulga. Tylko kanał chrumkał. Uświadomiłem sobie ciśnienie w czaszce, swoje upojne podniecenie, jakiego nigdy dotąd nie zaznałem, i drżenie nerwów. Sięgnąłem w przepaść. Cudowną mocą podniosłem Ruprechta w powietrze, wpił się w moją rękę wszystkim pazurkami, przywarł do mnie. Zbliżyłem go do twarzy i usłyszałem, jak oddycha kurczowymi i płytkimi sapnięciami. Ja też szepnąłem: – Jesteśmy uratowani.

XIV

Ale nigdy nie jest aż tak tragicznie, jak wydaje się na początku, świnki morskie pływają całkiem dobrze, co zostało później dowiedzione doświadczalnie, ja również wcale nie zamierzałem się poddawać i wybrałem się na zwiady do Hluboczepów, do domku pod wiaduktem.

Przyroda zakryła już swoją brudną skórę lekkim, zielonym strojem, wspaniałym, jeśli nie poślizgniecie się akurat i nie sturlacie w jasnym garniturze po zboczu. Jednak ja wziąłem starsze, ciemniejsze ubranie. Z początku, po południu, bawiłem się z chłopcami na wzgórzu, potem, przed wieczorem, odprowadziłem Vaszka i Pawła do doliny, wysłałem ich na tramwaj i powiedziałem, żeby pozdrowili mamusię. Byli bardzo zaskoczeni, buntowali się, powiedzieli, że na tramwaj nie pójdą, ciągle do mnie wracali – byli uparci do tego stopnia, że musiałem rzucać w nich przez chwilę kamieniami, zanim wreszcie się odczepili.

Wdrapałem się po zboczu na tory, przeszedłem przez nie na drugą stronę i kroczyłem dalej wzdłuż krzaków w stronę ogrodu za domkiem inżyniera Maelströma. Ogród był mały, zmieściły się w nim tylko dwie zaniedbane, zdziczałe grusze i trzy na wpół spróchniałe, ale witalne śliwy – pod nimi leżało mnóstwo białych okwiatów. Ogród nad domem kończył się uskokiem, z którego sterczały występy kruszących się skał, podwórze było wyrąbane we wzgórzu. Był to typowy stary domek, z zardzewiałą pompą,

płyty chodnikowe porastały trawą wydeptaną tylko na linii między drzwiami do domu i murowanym wychodkiem pod skałą. W skale wyciosano schodki do ogrodu, ale były prawie całkowicie zasypane gliną i pokruszonymi kamieniami, a obok schodków stała ceglana wiatka, długa i niska, chyba drewutnia, kiedyś może mieli tam chlewik.

Umościłem się w rogu ogrodu pod drzewem, którego dolne gałęzie trochę mnie zasłaniały, i obserwowałem domek i podwórze. Nie wiedziałem, na co czekam i czy ma się wydarzyć coś ciekawego. W ogóle się o to nie starając, odkryłem miejsce zamieszkania inżyniera M. akurat w chwili, gdy tak dużo czasu poświęcałem na rozmyślanie o nim. Nie było mnie stać na nic sprytniejszego niż to, żeby wdrapać się nad jego domek i obserwować spod śliwy podwórko. Wciąż nie mogłem zrozumieć, dlaczego człowiek jego pokroju, za pierwszej republiki wysoko postawiony urzędnik bankowy, mieszka jak robotnik albo motorniczy. Pani inżynierowa – jeśli to naprawdę był on – trzyma kury i króliki? A może nawet kozę? Nie wiem o tym człowieku nic. Ma jeszcze żonę, czy mieszka tu z córką, która wyszła za motorniczego? A może żyje tu sam, dziwacznie zadowolony? Z tego wszystkiego rozumiałem tylko tę bańkę. Jej zawartość mogła kończyć w korytku dla prosiąt. I dlaczego zaraz dziwacznie? Normalnie!

Domek był parterowy, mogły w nim być ze cztery pomieszczenia. Wchodziło się do niego od podwórza, przez drewniany ganeczek, który koniecznie należałoby już pomalować, ale inżynier M. najwyraźniej nie przepadał za babraniem się w emalii, którą ludzie niemogący pozwolić sobie na nic więcej zastępują zazwyczaj wszystkie inne niezbędne inwestycje, instalacje, renowacje. No jasne, żyje tu sam. Człowiek młodszy, gdyby tu był, na pewno już by ten domek przebudował, założył klozetyzację i przymocował na dachu antenę telewizyjną, której, jak widzę, nie widzę. Natomiast babka, gdyby była, wygospodarowałaby miejsce

przynajmniej na jakąś grządeczkę pietruszki, a córka posadziłaby kwiaty wzdłuż chodnika prowadzącego od furtki do ganeczku na tyłach domu. Tak tam siedziałem i czekałem. Chyba na to, aż staruszek wyczłapie na dwór w filcowych papuciach. I to będzie wszystko, będę mógł wracać.

Chłopcy wkrótce dojadą do domu. Powiedzą mamie, że tato ją pozdrawia i że nie wrócił z nimi. Ewa zdziwi się i swoje sobotnie gotowanie dokończy w zamyśleniu. Gdyby zajrzała do mojej szuflady i zobaczyła, że wziąłem latarkę i sztylet myśliwski, wystraszyłaby się.

– A co wam powiedział?

– Nic. Tylko że mamy jechać do domu.

– A kiedy wróci?

– Nie powiedział.

– A dokąd poszedł, co miał przy sobie, kiedy wróci? Co wam właściwie powiedział!

– No nic nam nie powiedział!

– Nie powinniście go zostawiać. Co za osioł!

Z oddali usłyszałem sapanie pociągu. Ucieszyłem się, że będę stąd miał piękny widok. Pół dnia na to czekamy, a teraz, kiedy już ich nie ma, pociąg jedzie. Mój chronometr wskazywał właśnie wpół do, ale której, tego nie wiedziałem, ponieważ mała wskazówka wypadła, kiedy staczałem się ze zbocza. Latała po cyferblacie za szkiełkiem, które również pękło, ale pozostało na razie na swoim miejscu. Na podwórku nic się nie poruszyło. Z radością spostrzegłem jednak, że nad kominem drży powietrze. Nie rozczarowałem się, pociąg nadzwyczaj widowiskowo sunął po obniżeniu terenu i wczołgiwał się, towarowy, na wiadukt, który zaczął rezonować. Ciężki dym wił się nad doliną. Wagonów było osiemnaście, ostatni wiózł ładunek świeżych desek, a skład zamykała druga lokomotywa. Tą tylną lokomotywą kierowali, jak się później okazało, złodzieje. Kiedy znowu

spojrzałem w stronę domku, przeszły mnie dreszcze. Na podwórzu stał inżynier M. i witał się ze swoim gościem. Tym gościem był – z odległości trzydziestu metrów nie mogłem się pomylić – znajomy urzędnik bankowy, kolega K. No popatrzmy!

Inżynier nie witał gościa zbyt oficjalnie czy serdecznie, nie podali sobie nawet rąk, chyba że to przeoczyłem. Gospodarz był ubrany w o wiele za luźne czarne spodnie oraz rozpinany sweter włożony na koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Mogło to oznaczać, że kolega K. przyszedł niezapowiedziany, w co zbytnio nie wierzyłem, ale nie pasowało mi również, żeby inżynier M. przyjął zapowiedzianą wizytę w stroju tak niedbałym. Przyszło mi do głowy wyjaśnienie, której potwierdzeniem była uderzająca nieformalność tego spotkania: kolega K. jest u inżyniera M. częstym gościem. Starszy pan prawdopodobnie poszedł otworzyć mu bramkę, kiedy ja sumiennie liczyłem wagony.

Gość przybył w jasnobrązowym płaszczu z impregnowanego jedwabiu, na głowie miał kapelusz, a w lewej ręce niósł paczkę. Wytarł buty i wszedł za starym mężczyzną na schody prowadzące na ganek. Inżynier opowiadał mu o czymś, uzupełniając swoje słowa powolnymi, kościstymi gestami. Jeden gest wskazywał w moim kierunku, obaj na mnie spojrzeli, ale ja nie uciekłem, znam to złudzenie. Gest oczywiście odnosił się do czegoś w drewutni pode mną, do której obaj mężczyźni teraz szli, z przodu młodszy lekkim, pewnym krokiem, za nim starszy, powoli, z trzaskaniem w biodrach. Starzec poruszał dolną szczęką. Zniknęli mi za drewutnią. Zauważyłem, że na schodku przed gankiem została ta rzecz, paczka. Obaj mężczyźni znów wrócili do domku, gość podniósł swój prezent, ale starzec coś mu powiedział i wykonał ruch pasujący do słów: – *To może pan zostawić tutaj*. Gość odłożył paczkę na schodek. Znaczyło to, że paczka to nie żaden prezent, albo że nie stanowi dla starca zaskoczenia, zapewne było

to jednak coś, co ze względu na charakter należało zostawić na zewnątrz. Obaj mężczyźni weszli do domku, a ja mogę tu siedzieć choćby godzinę, podczas gdy na schodach przez cały ten czas będzie leżeć ta rzecz.

Z komina wypłynęła chmurka dymu, inżynier M. właśnie pogrzebał w piecu i dorzucił węgla, gość usiadł przy stole. Jeśli nagle kusi was, by zrobić coś ryzykownego, niebezpiecznego lub złego – wtedy albo po prostu z tego zrezygnujcie, albo po prostu to zróbcie. Poprzez okrutne wahanie stracicie tylko wiarę w siebie i w to, że jesteście panami swojego losu. Wyszedłem z kryjówki, przebiegłem przez ogród i po zasypanych schodkach raczej zjechałem, niż zszedłem na podwórko. Pół roku rozmyślam, liczę, szukam na mapach, rozważam i męczę się, mam przypuszczenia i pytania, o których nie mogę z nikim porozmawiać, żeby nie dostać w żołądek, sam muszę wyruszyć na zwiady, a teraz miałbym nawet nie spojrzeć na coś, co nie może być bez związku z całą sprawą? Miałbym teraz nawet nie zobaczyć, jakiż to prezent przyniósł inżynierowi M. kolega K.?

Było to tekturowe pudło przewiązane sznurkiem, na górze opatrzone kilkoma otworami. Jeśli jeszcze wezmę je do ręki, to tylko po to, by oszacować, ile tych ś. jest w środku. Podniosłem je, rozpadało się od wilgoci. Odgiąłem róg wieka. Siedziało ich tam chyba sześć, pstrokatych, białych, rudych, mniej więcej trzymiesięcznych. Zdezorientowane machały główkami i piszczały rozdrażnione. Był to dla mnie wstrząsający widok. Jedna ruda podniosła się przytomnie jako pierwsza, podparła się dziarsko o plecy swych towarzyszy i wydrapywała się z pudła z myślą, że woli wrócić do Pragi pieszo. Wepchnąłem ją z powrotem i zagiąłem pudło do początkowego położenia.

Obróciłem się, by spojrzeć na wiatę pod skałą. Spodziewałem się tam królikarni, z królikami czy bez nich, koziego chlewa bez kozy, starego

pustego kurnika. Tylna ściana, oparta o skałę, była w porządku. Dwie krótkie boczne ściany, po lewej i po prawej stronie – również. Dach też był w dobrym stanie. Ale drewniane przepierzenia kojców zniknęły. Zdemontowane, rozbite, dawno spalone w piecu. Pod daszkiem była tylko kupka węgla, pień do rąbania drewna, kilka polan i kilka starych desek. W drugim kącie na ceglanym podwyższeniu stała klatka. Klatka, zdawało mi się – podchodziłem bliżej – była obita blachą. Drzwiczki – już przy nich stałem – zostały wypełnione gęstą żelazną kratą. A wewnątrz – widziałem – nie była to klatka dla królika, wewnątrz za mocną kratą latała jak czarny diabełek – kuna. To była klatka mordercy!

Jeszcze ze zdumieniem i przerażeniem spoglądałem na to, co odkryłem, kiedy usłyszałem lekki stukot. Podniosłem wzrok ku trakcji kolejowej. To, co tam zobaczyłem, było podobne: po torach, cichym ruchem karety, bez dymu i bez problemu, wracała lokomotywa, ostrożnie szczęknęła na wiadukcie i zniknęła. Ciągnęła ten jeden ostatni wagon załadowany deskami. W żelaznej lokomotywie ukrywał się maszynista i palacz, zgięci aż do podłogi, by nikt ich nie rozpoznał.

Jeszcze ze zdumieniem spoglądałem na to, co odkryłem, kiedy od strony domku dobiegło mnie skrzypnięcie drzwi i głosy na ganku. Od razu wiedziałem, że nie wdrapię się na ogród wystarczająco szybko. Biec w stronę domku, przelecieć obok niego i uciec na drogę? Zamknięta, być może na klucz, furtka. W panice podskoczyłem dwa razy w miejscu. Wychodek! Rzuciłem się do niego, kiedy nagle zobaczyłem, że obok drewutni są jeszcze jedne drzwi, wpuszczone bezpośrednio do skały. Wyrwałem kołek ze skobla, wskoczyłem do jamy i przyciągnąłem drzwi do siebie. Kołek wisiał na sznurku, nie mogłem już wsunąć go z powrotem do skobla. Piwnica, wykuta w skale, jak to bywa. Wydawało się, że zdążyłem,

głosy na zewnątrz mówiły o czymś ze mną niezwiązanym. Inżynier powiedział:

– Ile ich jest?

– Siedem – odpowiedział gość.

– Ładne są – mruknął starzec.

W osłupienie wprowadziło mnie to, co powiedział teraz gość:

– Może dałby jej pan jedną teraz? Chciałbym to zobaczyć.

– Dobrze. Chodźmy.

Zbliżające się kroki nie tylko słyszałem, ale wręcz czułem na skórze. Zatrzymały się dwa metry ode mnie. Z zewnątrz dochodziło znajome piszczenie. Zgrzytnął metal. Nikt nic nie mówił. Wyobrażałem sobie paniczne rozglądanie się małej głowy, wystraszone oczka, nerwowe potrząsanie noskiem. Nóżki odruchowo rozpostarte w powietrzu, potem bezładnie rozrzucone po podłodze. Rozległ się krzyk przerażenia, krótki skrzek, trzy sekundy ciszy, a potem przeciągłe, przerywane, odrobinę chrapliwe nawoływanie, cichnące i słabnące uiii uiiii…, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Słabość w nogach, chłód w kręgosłupie, nadchodzące omdlenie – po tym poznajecie, w czyją sytuację się wczułem. Ale też słodkawy smak w ustach, szybkie tętno na szyi, trzeszczące ciśnienie w czaszce i skurcz nerwów – to znów w czyją? A gdzieś ponad tym wciąż jeszcze słyszałem głos, który wbił się mi w głowę, to spokojne zdanie: – *Chciałbym to zobaczyć.*

Wtedy gość powiedział:

– Nno.

A potem starzec, ku mojemu przerażeniu, pomacał drzwi, za którymi nasłuchiwałem, i machinalnym ruchem włożył kołek do skobla, po czym obaj mężczyźni poszli w stronę furtki. Usłyszałem pożegnanie, szurające kroki przeszły po betonie i ucichły w domku.

Oparłem się o drzwi, niepotrzebnie, ale przynajmniej mocno. Przez szpary widziałem, że dzień się kończy, mój program rozrywkowy jednak dopiero się zaczynał. Poświeciłem sobie na zegarek. Było bardzo dokładnie piętnaście po. Nie miał już nawet szkiełka, wypadła więc również wskazówka. Nie szukałem jej, ale obie połówki szkła znalazłem w glinie pod nogami. Podniosłem je i schowałem do kieszeni, tak jak powinno się robić. Potem rozejrzałem się przy świetle latarki.

Piwnica była odpowiednio wysoka, ale zaskakująco krótka. Końcową ścianę zasłaniał regał, który był tak starannie zapchany szpargałami, że musiałem przyjrzeć mu się bliżej. I faktycznie, po opróżnieniu środkowej półki, kiedy odsunąłem deskę, zobaczyłem jeszcze jedne drzwi. Wisiała na nich ciężka kłódka. Odłożyłem wszystko na miejsce. To nie była z pewnością droga na zewnątrz, ale było za to o czym rozmyślać. Do tego momentu przypuszczałem, że zacznę walić w drzwi piwnicy, kiedy inżynier wyjdzie na podwórze. Teraz już nie wydawało mi się to dobrym wyjściem z tej sytuacji.

Myślałem o tym, że przytrafiła mi się rzecz właściwie dość śmieszna i wstydliwie banalna, kiedy nagle przeszedł mi po kręgosłupie chłód przerażenia. Bez ostrzeżenia i bez żadnego poprzedzającego to dźwięku z zewnątrz, drzwi tuż przed moją twarzą otworzyły się, a w nich stał – Vaszek, mój syn.

– No wyłaź, ty nasza mała tatusio – powiedział cicho.

Ze strachu dosłownie skamieniałem. Kiedy się opamiętałem, powiedziałem:

– Gdzieś się tak długo podziewał, do pioruna!

Odpowiedział mi dopiero, kiedy byliśmy w ogrodzie, gdzie pod drzewem czekał Paweł.

– Ten pan, co przedtem stąd poszedł, nie odszedł tak od razu – wyjaśniał Vaszek. – Przeszedł pod wiaduktem i z drugiej strony nasypu wdrapał się na tory, skąd obserwował dom. Dopiero przed chwilą w końcu sobie poszedł, dziwny pan.

Przeszliśmy przez trakcję kolejową i zeszliśmy nad potok. Zamiast iść drogą, woleliśmy udać się w stronę miasta po ścieżce wzdłuż wody.

– Wszystko wskazuje na to – powiedziałem – że mnie nie posłuchaliście, panowie.

– Nie – powiedział Vaszek.

– A dlaczego?

– Wydawało nam się dziwne, że rzucasz w nas kamieniami – powiedział Paweł szeptem.

– Już możesz mówić głośno – upomniał go Vaszek.

– Wydawało nam się dziwne… – zaczął znów Paweł głośno.

– To już mówiłeś – zwrócił mu uwagę Vaszek.

– Ale dlaczego nie poszliście do domu, skoro wam kazałem?

– Jeśli interesuje cię coś ważnego, tatusiu – odpowiedział Vaszek – to mnie się zdaje, że ten pan wiedział, że jesteś tam zamknięty.

– Nie musiał tego wiedzieć – powiedział Paweł.

– Ale mógł – powtórzył Vaszek.

Podczas ich kłótni, na którą nie zwracałem nawet uwagi, doszliśmy do baru. Weszliśmy do środka i zamówiłem dla chłopców kofolę, a dla siebie piwo.

– Wiecie, że rozbił mi się zegarek? – powiedziałem. – Czyli zostały poniesione straty – rzekł Vaszek.

– Które zmniejszą się trochę dzięki zdobyczom – odparł Paweł i wyciągnął z kieszeni małą rudą świnkę.

Patrzyłem na świnkę. Chłopcy się śmiali. Świnkabamorska rozejrzała się żywo, po czym zaczęła biegać po stole.

– To nie jest takie proste – powiedziałem w końcu.

– A wiesz, jak zdobyłem tę świnkę? – powiedział Paweł.

– Skąd miałbym to wiedzieć?

– Kiedy poszedłeś zajrzeć do tej królikarni, nagle zobaczyłem tę słodką, piękną świnkębamorską, jak wyłazi z pudła, które tam stało, i chowa się pod garnek. Tam ją potem znalazłem.

– Kiedy? – chciałem wiedzieć.

– Kiedy sobie poszli.

– Ty najpierw ratowałeś świnkę, nie mnie?

– On ratował świnkę – powiedział Vaszek – a ja ciebie.

– Sam też bym się stamtąd wydostał – powiedziałem.

– No jasne – powiedział Vaszek.

– Ile świnek miał ten pan w królikarni? – zapytał Paweł.

– To nie była królikarnia – powiedziałem.

– No w tej klatce.

– Tam nie było świnek – powiedziałem.

– A co tam było?

– Nic. Była pusta.

Pojechaliśmy do domu. W domu chłopcy opowiedzieli Ewie, co się stało. Nie zabraniałem im. Ja nie opowiadałem nic. Byłem bardzo zmęczony. I nie wiem, co zrobimy z taką ilością świnek, a przecież jeszcze Albinoska spodziewa się młodych.

Poszedłem wcześnie spać, nie robiłem nawet żadnych obliczeń.

Chciałbym to zobaczyć.

XV

Nowa świnka jest mała, ale sprytna. Umaszczenie ma rudobrązowe z kilkoma białymi plamami. Chłopcy nazwali ją Rudzielec II, co mnie się nie spodobało, nie jest przecież potomkiem pierwszego. Ludzie często dają się ponieść okazji, żeby coś wymownie nazwać i wcale im nie przeszkadza, że ta nazwa nie posiada żadnej wymowy. Wesoły nowy Rudzielec wszedł do domostwa naszej miłej parki z zadziwiającą oczywistością, bez ogródek i bez kompleksów, a nawet bez wstydu przed Albinoską i Ruprechtem. Rudzielec to samiec, mały, ale bezpośredni i radosny. Jednak czułe gruchanie i chodzenie wokół białej ślicznotki to wszystko, co może zdziałać. Nawet nie dlatego, że jest tu Ruprecht, który szczęka na niego zębami – jego nasz młodzian się nie boi, głównym problemem jest niedostępność ciężarnej samiczki. Nie pozwala przeszkadzać sobie w odpoczynku ani w jedzeniu, prawie nie zwraca na niego uwagi, po prostu odsuwa go brzuszkiem, kiedy ten próbuje splatać się z nią wąsikami, a jeśli zbliża się do niej od tyłu, kopie go nóżką, a on zadowolony, w niezmiennie dobrym humorze odlatuje, ponieważ w porównaniu z nią jest bardzo lekki, i idzie się bawić albo poczytać, albo pooglądać. Mam wrażenie, że w końcu widzę normalne, niczym nienaznaczone zwierzę. Nie poddaję go żadnym testom ani doświadczeniom, żeby nie wpływać na jego naturalne

zachowanie. Ty, przyjacielu, uratowałeś życie przed kuną, zatem należy ono do ciebie. Będzie takie, jakim je uczynisz.

Nowa świnka niczym się zbytnio nie przejmuje, przy misce przeciska się spokojnie wśród większych kolegów, a gdy ją przepędzą, idzie do leżącej obok marchwi. Z tego wnioskuję, że pochodzi z większego stada. Kolega K. musi mieć mnóstwo świnek! Ruda świnka, przyzwyczajona do kolektywu, potrafi zachowywać się w nim zgodnie ze swoim wiekiem i pozycją, mając na uwadze oczywistą perspektywę, że wszystko zmieni się później na lepsze, kiedy podrosną jej ząbki i przyrodzonko.

– To dziwne – zauważył Paweł – ale ten mały wcale nie boi się tego dużego, chociaż nie dałby mu rady. To chyba dlatego – ciągnął – że ten duży nic mu nie robi. Odgania go tylko od swojego jedzenia i samiczki, a poza tym w ogóle się nim nie interesuje.

– No – powiedziałem.

– Tatusiu, jak myślisz – pytał Paweł – czy kiedy podrośnie, Rudzielec II, będzie chciał wywalczyć Albinoskę tylko dla siebie, czy wystarczy mu, że będzie ją miał na spółkę z Ruprechtem?

– No – powiedziałem.

– Ale co no?

– No.

A ponieważ ja nigdy nie mówię *no*, bo bardzo tego słowa nie lubię, Paweł zrozumiał, że nie życzę sobie, by przeszkadzano mi w myśleniu.

Ostatnio często swoje myśli, jeśli nie myślę akurat o świnkach lub banku, poświęcam opętanej uczennicy Ewy. – *Ktoś pani, pani nauczycielko, umrze* – wieszczyła jakiś czas temu ta mała Pytia. Miała rację. Ewie umarła opętana uczennica. Można by powiedzieć: i spokój, ale spokoju nie ma. Nie ma go Ewa i mnie też go nie da.

– Ona była chora! – gryzie się tym wciąż bardziej i bardziej.

– Czy byłaś kiedykolwiek niesprawiedliwa wobec niej? – pytam.

– Nie byłam, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Ale traktowałam ją jak zdrową. I już to było niesprawiedliwe.

– Niesprawiedliwe z czyjej strony? – pytam.

Drogie dziewczynki, które dopiero macie umrzeć! Cóż mogę wam powiedzieć? Składam ręce. Odpuśćcie, odpuśćcie, ale musi tak być.

Poza tym w banku wszystko po staremu. Ci panowie nie mogą mnie już niczym zaskoczyć, nie wiem zresztą nawet – którzy. Myślę, że jest ich więcej. We dwójkę z pewnością nie mogliby zrealizować pomysłu, o który ich podejrzewam. Mówiłem, czy nawet pisałem tutaj, że każdy, kto dobrze się w to zagłębi, może odkryć te same idee, co ktokolwiek inny. Nie zwariowałem jeszcze do reszty, więc wiem – mimo że pracuję w Banku Narodowym – że jeden plus jeden to dwa. Kiedy bawiłem się ze swoimi synami na wzgórzu, upadłem i pękło mi szkiełko do zegarka. Odpadła też wskazówka, którą zgubiłem potem w piwnicy inżyniera M. Jakże dokładnie musiał ktoś szukać, żeby kolega K. mógł dwa dni później położyć mi tę wskazówkę na biurku, mówiąc:

– Kto szuka, nie błądzi, nieprawdaż, panie kolego!

– Jeśli wie czego, to owszem – odparłem.

Po tym wydarzonku ponowna wyprawa do piwnicy nie wchodziła oczywiście w rachubę. – *Błond, prosze ksiondz, błond!* – powiedział Cygan.

Ewa także wbija mi do głowy, żebym już nigdy nie obserwował domku inżyniera i nie rzucał kamieniami w naszych chłopców, dostali od niej rozkaz, by nie zostawiać mnie samego. Jeśli więc będę chciał wybrać się do tego domku, wiem, że muszę tam pójść prosto z pracy. Dlatego Ewa, kiedy tylko może, czeka na mnie pod budynkiem Gangu Narodowego, żebym po pracy wracał do domu. Nieprzyjemne, nieprzyjemne! A co, jeśli będę chciał iść do baru, gdzie nigdy nie chodzę? – *Możesz, pójdę z tobą* – twierdzi Ewa.

– A co, jeśli będę chciał iść do jakiejś kobity? – Odprowadzę cię i poczekam przed drzwiami – mówi. Czyli te dwie sprawy mam załatwione, wciąż jednak nie wiem, jak dostać się do domku inżyniera.

Ach, już strasznie chce mi się spać, nie wiem zatem, czy uda mi się zebrać swoje uwagi, które przecież potrzebowałyby jakiegoś podsumowania. Stary inżynier, od którego chętnie kupiłbym ten domek, głosił, że wielkim zagrożeniem są banknoty, które strażnicy odprowadzają do tzw. *obiegu tajemnego*, bowiem te banknoty, znajdujące się nie wiadomo gdzie, ktoś może potem rzucić do obiegu i spowodować w ten sposób wielkie zmiany w gospodarce. Tu pojawia się dobra okazja dla gangu wybawców, którzy niedobór banknotów po prostu by zastąpili… Wiem, kilka pytań wciąż pozostaje bez odpowiedzi, między innymi – skąd mógłbym nagle wziąć pieniądze na kupno tego domku, skoro nie mam ani grosza. Ale to już inna sprawa, najważniejsze, żeby właściciel chciał sprzedać. Tylko po co miałby sprzedawać, skoro ma teraz tyle banknotów, ile tylko zapragnie? Poza tym: Gang nie pozwoliłby sprzedać domku z taką piwnicą. No i przede wszystkim – jestem w niebezpieczeństwie, skoro o tym wiem, jeśli naprawdę o czymś wiem.

Jestem świadom tego, że mówiąc tak niejasno, utrudniam wam wszystkim zrozumienie, nie mogę jednak pisać jasno, żeby nie zdradzić niepotrzebnie czegoś wcześniej, niż chcę – i zanim nie okaże się definitywnie, że ta ich spółka jest nie dla mnie lub że nie zostanę do niej przyjęty. To, że znają chyba każdy mój ruch, jest przerażające i nie chciałbym, żeby znali również każdą moją myśl przeznaczoną dla młodego czytelnika. Dlatego zawsze w nocy, kiedy kończę pracę, chowam te zapiski i jeszcze inne swoje notatki, a nawet obliczenia, do prostej kryjówki: pod świnki morskie. Unoszę trochę tekturę na dnie klatki i wsuwam pod nią kartki w nieprzemakalnej kopercie. Musiałem powiedzieć o tym Pawłowi,

ponieważ zdziwiłby się przy czyszczeniu klatki. Kiedy powierzyłem mu tajemnicę, zapytał, czy musi tak być.

– Musi – odpowiedziałem.

– A mogę to sobie poczytać? – spytał.

– Nie życzyłbym sobie tego, chłopcze – odpowiedziałem, choćby ze względu na to, co piszę o jego świnkach – ponieważ wtedy nie miałbym na świecie już żadnego miejsca, gdzie mógłbym schować to, czego nie chcę pokazać nikomu. Dlatego proszę cię, żebyś powiedział mi wprost, czy zamierzasz to czytać.

– W takim razie nie zamierzam – powiedział.

– Za to chętnie pozwolę ci na coś innego – zaproponowałem.

– Ale ja nie chcę. Nawet.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Nie chcę – odpowiedział. – Wtedy to nie byłoby nic warte.

– Co? – zapytałem.

– Po prostu nie chcę tego czytać – powiedział.

I nie czyta, bo już bym to zauważył. Zapomina jednak czasem po wymianie ściółki wsunąć zapiski pod spód, więc muszę go kontrolować.

Dla świnek, które wkrótce się rozmnożą, będzie trzeba przygotować nową klatkę, a z pracy musiałbym wynieść tak z pięć tysięcy koron. Kiedy Albinoska wspina się na tylne nogi, a przednie opiera o kratkę, jej brzuch wygląda jak ciężka skórzana kropla. Wyczułem w niej młode, nawet się ruszały, o czym powiedziałem chłopcom i Ewie. Paweł uśmiecha się radośnie, Vaszek jest raczej po prostu ciekawy, Ewa trzęsie się ze strachu, spogląda na mnie i drży, wzruszona tym wydarzeniem. Na dworze jest ciepło, chciałbym pojechać z rodziną za miasto, cztery sportowe rowery oznaczają jednak cztery tysiące koron.

Teraz znów wszyscy u nas śpią. Nie śpię tylko ja i nasze świnki, z których jedną biorę. To Ruprecht, po raz kolejny kładę go na stół, patrzę na niego i rozmyślam o nim. Okno jest otwarte, z ulicy słyszymy głosy ludzi wychodzących z rozśpiewanego baru. Pomimo iż mieszkam w naszym bloku od wielu lat, gdybym zszedł teraz na dół i wszedł do tego baru, nikt by mnie tam nie poznał. Komu cześć, temu cześć, ale ja jestem obcy. Koło Hradca w małym ogródku, tam rosną trzy róże, jedna czerwona, druga biała, trzecia już nie może. Nie możesz, nie możesz, ja przecież nic nie chcę, wystarczy gdy po prostu spokojnie leż…

Widzę, że znów przysnąłem. Jak ja bym teraz spał! Ruprecht nie zdecydował się przez tę chwilkę na żadną większą aktywność, wysikał się mi tylko na budżet krajowy, znowu. Ruprechcie, Ruprechcie! Nie zaczynaj ze mną! Twoje młode są w drodze, mógłbyś spokojnie umrzeć. Twoje powleczone skórą życie łatwo jest zabić, a wtedy twoje przednie nóżki przestaną tak niewinnie stać. Gdy nadciągną nad nas chmury, w gardle cię ściśnie, oczy wyjdą z dziury, nosek zwiśnie smętnie i serduszko pęknie. Nawet nie zdążysz już powiedzieć popiół.

Zaniosłem świnkę do łazienki. Postawiłem ją na brzegu wanny, do której napuściłem letniej wody. Już zaczęło mi szumieć w głowie! Świnka znów rozglądała się rozbieganymi, czerwonymi oczami i nasłuchiwała dźwięków – co też jej tym razem przyniosą? Patrzyłem, jak drży i zastanawiałem się, czy ma jakąś wartość. Czy ktokolwiek może zmusić kogokolwiek do śmierci? Dziwię się. Obserwowałem wysokość około pięćdziesięciu centymetrów, z której świnka mogła zeskoczyć i ukryć się pod wanną. Czeka biernie, niczego się nie nauczyła. Jeżeli nie będę rozważny i litościwy, będzie po śwince. Ufam jednak sobie i wiem, że chcę tylko popatrzeć, jak będzie walczyć, i nie pozwolę jej przegrać. Nie wrzuca się świnki morskiej do wody, ale może tam wpaść sama, a co by się stało,

jeśli w pobliżu nie byłoby nikogo, kto by jej pomógł? Cieszę się, że jestem tu na czas.

A świnka, rzeczywiście, zaczęła się głupio pałętać po brzegu wanny, aż wpadła do wody. Natychmiast ją wyciągnąłem i odstawiłem z powrotem, ciekaw, jaką nauczkę wyciągnie z tego wypadku. Mokra, chciała się otrzepać, i znów tam wpadła. Natychmiast ją wyciągnąłem i jeszcze raz postawiłem na brzegu wanny. Śliskie nogi rozjeżdżały się jej jednak, ruszyła się, żeby poprawić ich ułożenie i ponownie wpadła do wody. W takim razie pływaj sobie! Wyszedłem z łazienki i zgasiłem światło.

Widzę, że źle zrobiłem na początku swojego pisania, kiedy postanowiłem wyrażać się w pierwszej osobie gramatycznej. Teraz dotarłem do kresu możliwości, które ta konstrukcja daje. Żadnemu autorowi nie jest lekko, kiedy ma zgodnie z prawdą napisać: *Kiedy jej głowa wyłoniła się na powierzchnię, wcisnąłem ją znowu pod wodę i trzymałem, dopóki puszczała bąbelki i dopóki desperackie ruchy tam na dole nie zmieniły się w przeciągłe odrętwienie całego ciała, zwieńczone nagłym osłabnięciem i zwiotczeniem oznaczającym, że już po niej*. Dotychczas każdy pisarz, który postąpił z kimś w ten sposób, pisał o tym następnie w trzeciej osobie, tak jakby za jego czyny odpowiadał ktoś inny. Dzięki temu prostemu trikowi odwracał uwagę czytelników i krytyki od swoich postępków i kierował ją na swoją twórczość. Zacząłem pisać tę książkę w swojej osobie, ponieważ myślałem, że będzie to opowieść o tym, jak hodujemy świnki morskie, jak się nimi zajmujemy i jak się z nimi bawimy. Na Boże Narodzenie nikt nie przeczuwał, w co się to przerodzi. Cóż mogę zrobić? Mogę tylko przejść do trzeciej osoby, a jeśli będę miał kiedyś trochę czasu, przepiszę również to, co napisałem dotychczas.

Bankier wyszedł z łazienki i zgasił światło. Usiadł przy stole i zaczął liczyć. Ale praca mu nie szła. Tkwił ciągle w jednym słupku cyfr. Zliczanie

prostych liczb w niezmiennym tempie sprawiało mu coraz więcej trudności. Chwilami nie mógł sobie przypomnieć, ile jest cztery plus trzy, a przejście przez dziesiątkę zajmowało mu kilka sekund. Ze strachem spostrzegł, że musi zebrać wszystkie siły, by wciąż sobie przypominać, że musi kolejną liczbę dodać, choć w wielu przypadkach dużo łatwiej byłoby ją odjąć. W końcu gdzieś w jego mózgu powstała wielka psychiczna tama, za którą gromadziło się coraz większe ciśnienie.

Wyrzucił z ręki ołówek i poszedł zgarbiony do łazienki. Otworzył drzwi, lecz nie zapalił światła. Chciał słyszeć. Usłyszał drobne pluskanie i cichy stukot. Potem włączył lampę. Biała świnka wyciągnięta na całą swoją długość jeździła po wannie z noskiem uniesionym kilka milimetrów nad powierzchnią wody, smukła i wygładzona, cicha jak mała torpeda. Na końcu wanny zgrzytnęła zębem o ścianę i obróciła się w drugą stronę. Czasem próbowała podskoczyć, nie miała się jednak od czego odbić, więc jej wyprostowanie kończyło się ponownym, jeszcze głębszym zanurzeniem, zalewającym jej na chwilkę nos i oczy, które nawet pod powierzchnią pozostawały otwarte i czerwone. Bankier obserwował te wydarzenia zastanawiając się, jaką nadzieję świnka pokłada w swych staraniach i co widzi, co słyszy i co myśli. Nie widział u niej żadnych oznak paniki czy rezygnacji – tylko pracę. Żadną pracą nie mogłaby jednak odmienić swojego losu, gdyby nikt jej nie widział. Zgasił światło, usiadł po ciemku na wannie i nasłuchiwał. Świnka nie przerywała. Teraz jej nie widział, a kiedy zatkał uszy, nawet nie słyszał. Ale nagle wiedział. A skoro wiedział, że świnka jest w wodzie, nie mógł przypuszczać, że jej tam nie ma. Tylko on jeden wiedział, że tam jest. Z tego bankier wywnioskował, że jeśli istnieje Bóg – to jest on winien, choćby nie wierzyła w niego na tym świecie nawet mysz. Rozległo się pluskanie. Zapalił światło. Świnka jak oszalała pływała teraz pod wodą, wykręcona trochę na bok, wygięta w górę

jak łuk. Pływała pod wodą, jakby mogła, jakby miała to załatwione, jakby wyprosiła gdzieś sobie wyjątek. Ale nie, nie wyprosiła, tylko straciła orientację i zjechała niżej. Jednak nawet tam jej czerwone oczy pozostawały otwarte. Już dotknęła od spodu powierzchni, przebiła ją nosem i wynurzyła się, kurczowo rozchylonym pyszczkiem nabrała powietrza i od nowa zabrała się za krążenie po wannie. Razem z nią na powierzchnię wypłynęło kilka bobków. – *Ach, ty!* – pomyślał sobie bankier. A kiedy świnka przejeżdżała obok niego, wcisnął jej głowę pod wodę. Świnka mocniej zamachała nóżkami i odjechała. Kiedy jej głowa znów pojawiła się nad powierzchnią, bankier znów wcisnął ją pod wodę i trzymał tam, dopóki puszczała bąbelki, a kiedy desperackie ruchy zaczęły przechodzić w przeciągłe odrętwienie, szybko wyciągnął zwierzątko z wody. Było naprężone i sztywne, oczy miało wytrzeszczone tak, że wreszcie za czerwonymi kółkami pokazało się bielmo, zsiniałe. Klatka piersiowa zwierzątka napinała się kurczowo, członki drżały.

Położyłem Ruprechta na krześle, owinąłem w ręcznik, wysuszyłem mu sierść na całym ciele, wytarłem uszka, łapki, przetarłem główkę i szyjkę, rozczochrałem go trochę i przewietrzyłem, ogrzałem i zawinąłem, potem rozwinąłem i czekałem, aż sam wytrze sobie łapkami twarz, potem zaniosłem go do siebie, gdzie trzymałem go pół godziny między poduszkami. Dopiero potem, kiedy widziałem, że wszystko będzie dobrze, odniosłem go do domu.

Kiedy wszedłem do zwierzyńca, Paweł podniósł się na łóżku.

– Co, ty nie śpisz? – zapytałem szeptem.

– Chowasz zapiski? – odpowiedział.

– Tak. Dobranoc – powiedziałem.

– Ja tego nie czytam – wymamrotał i położył się.

– Jesteś grzeczny – powiedziałem.

XVI

Paweł jest chory i wygląda to dość dziwnie. Nie chce mi się o tym myśleć, opowiem wam lepiej, co tam w banku.

Już od kilku dni nie widziałem starego inżyniera. Klucz w jego drzwiach, byłem sprawdzić, nie wisi. Nasz system finansowy, któremu przez dłuższy czas nie poświęciłem na tych kartkach ani słowa, jeszcze jakoś kuśtyka. O zagrażającym nam kryzysie przestało się mówić, ponieważ wszyscy do tego zagrożenia już przywykli, jest więc możliwe, że kiedy kryzys naprawdę się zacznie, nawet go nie zauważymy. A może już się zaczął. Wszyscy przywykli również do zaostrzonych rewizji. Właściwie są to napaście, przy których pozbywamy się wszystkiego, co znajdą przy nas strażnicy. Po nich następują jednak dni spokoju – strażnicy przestają zwracać na nas uwagę, stoją w grupce przy wyjściu, a z niektórymi z nas nawet się żegnają:

– Do zobaczenia jutro!

Kolega Karasek nie poszukuje już brakujących banknotów po całym naszym wydziale – spisuje sobie tylko ich numery. Przychodzą do niego bankierzy i również, jak sądziłem, przynoszą mu numery. Ja wiem, do czego są mu potrzebne! Przeprowadziłem takie doświadczenie: dałem mu na karteczce numery pięćdziesięciu banknotów stukoronowych, które zamierzałem pewnego dnia wynieść. Unosząc brwi powiedział:

– Hm, no proszę! Przede wszystkim jutro, kolego, zgłosić!

– Dobrze – powiedziałem.

Następnego dnia oznajmiłem mu, że udało mi się wynieść te banknoty, a on wykreślił ich numery. Już ich nie potrzebował. Nie muszę chyba nic dodawać. Oczywiste jest, że ci ratownicy niczego nie ratują. Swoimi działaniami nie zapobiegają przecież wciąż realnemu zagrożeniu, że odebrane banknoty, które zniknęły, pojawią się pewnego dnia w obiegu, będą więc w nim podwójnie. Nie zrozumiem! A przede wszystkim nie uwierzę, żeby inżynier Maelström dał na to swoje imprimatur.

Nie mówmy jednak o banku, dzieci, mówmy o zwierzątkach, które są ładniejsze. Naszym trzem świneczkom dobrze się razem powodzi. Albinoska z Ruprechtem przywykli już do Rudzielca i nie odganiają go. Często znajduję je wszystkie trzy wtulone w siebie, szczególnie w nocy. Albinoska drzemie, Rudzielec twardo śpi, jedynie Ruprecht, ten Ruprecht, kiedy tylko mnie usłyszy, budzi się tak szybko, jakby w ogóle nie spał, a kiedy mnie potem zobaczy, czujnie się przygotowuje.

– Śpij stary, śpij – mówię mu zazwyczaj i wracam do swoich nocnych obliczeń.

Czasem natrętnie wraca do mnie wizja, że jestem mały, a jakaś świnka jest duża. Jestem tak malutki, że sięgam jej do pazura, jestem wielkości ziarna zboża. I nagle wszystko wydaje mi się inne, choć jest takie samo. Długie wąsy pochylają się nad moim ciałkiem. Kiedy podnoszę wzrok, nie widzę wzruszająco pokornej i niewinnej buźki nieustannie wystraszonej bamorskiej, ale okropnie obojętny, tępy i nieruchomy pysk. Nad nim oczy jak ogromne, wypukłe soczewki, puste i przeraźliwe, a w nich ani cienia myśli. Wysoko w górę wznosi się ciało zwierzęcia, którego mocz będzie mi zaraz sięgał do pasa. I wiem, że nie wystoję w miejscu.

Widzę, że w obecnej sytuacji jednak nie bawią mnie historyjki o zwierzątkach, opowiem więc o Pawle. Pewnego poranka po prostu nie wstał, a kiedy spytaliśmy go, co mu jest, odpowiedział płaczliwym głosem, że już wstaje. Dostał termometr: miał gorączkę. Na pytanie, co go boli, powiedział, że nie wie i że pójdzie do szkoły. Ewa zbladła.

– Nie pójdziesz, przecież jesteś chory – powiedziała.

Paweł się rozpłakał.

– Dlaczego płaczesz? – zapytałem.

– Bo mnie o to pytasz – odpowiedział.

– On jest chory – powiedziała Ewa zatrwożona.

– No to jest chory – powiedziałem. – Nie może być?

– No tak, może, ale… – nie dokończyła.

– Trzeba zadzwonić po weterynarza – powiedziałem dla żartu.

– Już za późno – krzyknął Paweł i rozpłakał się na całego.

Ewa się wystraszyła. Dlaczego za późno? Co ten chłopiec ma na myśli? Nie, nie byłem pewien, ale przyszło mi do głowy coś, co wolałem jednak zachować dla siebie.

Ewa z Vaszkiem siedzieli w kuchni przy śniadaniu, ponieważ za chwilę muszą wyjść z domu, ja usiadłem przy Pawle.

– Paweł, co ci się stało?

– Nic mi się nie stało.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytałem.

– Nie chcę ci nic powiedzieć i nic ci nie powiem! – krzyknął.

Potem Ewa poszła do szkoły załatwić sobie wolne, ja na razie zostałem w domu. Nasypałem świnkom ziarna i poszedłem do parku narwać im trochę trawy. Sięgnąłem na dno klatki i wyciągnąłem swoje zapiski. Paweł odwrócił się i zakopał się pod kołdrę wraz z głową.

– Paweł! Chyba będziesz musiał leżeć w łóżku. Może mógłbym ci przeczytać coś ze swoich zapisków, chcesz? – powiedziałem, ale oczywiście nie przeczytałbym mu nic z tych zapisków, to było pytanie– pułapka.

– Nie chcę, zachowaj to dla siebie – powiedział odwrócony.

– Jesteś chory, ale klapsa dostać możesz – powiedziałem łagodnie. Wyszedłem z pokoju. Wybiegł za mną, uchylił drzwi i zawołał:

– Jak raz się powie, że się czegoś nie czyta, to się tego nie zmienia!

Powinienem wziąć te zapiski do pracy, czy zostawić je w domu? Powinienem wyrwać niektóre kartki? Czy powinienem zagrać Pawłowi na skrzypcach? Jak służyłby mu dwudźwięk G – D?

– Paweł – poszedłem do niego. – Chcesz, żebym pograł ci na skrzypcach?

– Możesz, jeśli chcesz – powiedział.

– Właściwie nie będę ci grał. Mogłaby cię od tego rozboleć głowa.

Potem przyszła Ewa, a ja mogłem iść do pracy.

Lekarz przyszedł do chorego dopiero wieczorem. Mógł co? Przepisać mu calcipirynę i doradzić, żebyśmy pozwolili chorobie trochę się rozwinąć. Na razie nie ma bowiem żadnych objawów prócz gorączki i jej skutków. Paweł był już spokojny, chciał czytać, ale męczyło go to. Dlatego czytał mu Vaszek i ja również czytałem mu przez chwilę, ale nie ze swoich zapisków. Chcieliśmy przynieść mu do łóżka świnki, ale bardzo go to zdenerwowało, ponieważ twierdził, że mogłyby się od niego zarazić. Szczególnie samiczka musi być teraz zdrowa.

Na oczach Pawła leżącego w łóżku przygotowywałem salę porodową dla Albinoski. W tym celu wziąłem małą drewnianą skrzynkę, do której przymocowałem kółka, żeby mogła jeździć. Dla świnek miało to niewielkie znaczenie, a mówiąc między nami, nie miało żadnego, ale dla Pawła to

znaczyło wiele. Znaczyło to bowiem, że mógł wyciągnąć rękę z łóżka na podłogę i jeździć salą porodową tam i z powrotem. Ale nie nacieszył się tym zbyt długo, ponieważ jeszcze tej nocy odwieźliśmy go do szpitala.

Bardzo mnie to wystraszyło, ale opanowałem się, żeby nie potęgować strachu Ewy.

– Będzie mu tam lepiej, skoro już tak to wygląda – powiedziałem.

– Ale wiesz, jak źle będzie się tam czuł, przecież nie ma tam nawet nic swojego – powiedziała Ewa. – Jeszcze nigdy nie był sam wśród obcych ludzi.

– Ale będzie szybko i skutecznie leczony i niebawem wyjdzie – powiedziałem. – Martwi mnie coś innego: że nie zdąży na narodziny młodych.

Źle się u nas spało tej nocy. Nawet przeniesiona na porodówkę samiczka była niespokojna. Słyszałem, jak ciągle chrobocze i popiskuje. Natomiast Vaszek krzyczał przez sen. Aż nadszedł poranek, ładny słoneczny poranek bardzo ciepłego dnia późnej wiosny – tak bardzo byśmy się z niego cieszyli, gdyby wszystko było normalnie, ale nie było. Pawła nie było w domu. Albinoska uciekła w nocy z sali porodowej i weszła z powrotem do klatki. Teraz siedziała tam spokojna i zadowolona razem ze swoją szlachetną pociągłą główką i wcinała ziarno, które świnkom zamiast Pawła nasypał Vaszek. Kiedy urodzą się młode? Po sześćdziesięciu trzech dniach od dnia X, czyli nie wiemy.

Wcześnie rano poszedłem na pocztę, żeby zadzwonić do szpitala. Połączono mnie z pielęgniarką, która jednak odesłała mnie do ordynatora, kiedy ten przyjdzie. Ona nie może udzielać informacji o stanie zdrowia pacjentów.

– Ja nie chcę informacji o stanie zdrowia – powiedziałem. –Siostro, ja chcę tylko wiedzieć, co mu jest. Przywieźliśmy go w nocy.

– Ja nie mogę tego tak rozpowiadać – wykręcała się. – Proszę poczekać na pana ordynatora.

– Chyba jest tam jeszcze jakiś inny lekarz, który mógłby mi powiedzieć, co dzieje się z naszym synem?

– Proszę pana, ja nie mogę teraz za nim biegać, niech pan zadzwoni po wizycie – powtórzyła.

– Dobrze, dziękuję pani. Ale siostro, ja wiem, że siostra nie może udzielać informacji, ale chciałbym zapytać tylko o kwestię zasadniczą…

– Proszę pana, proszę pana, jaką kwestię zasadniczą! Kwestia zasadnicza to jest właśnie najważniejsza informacja i właśnie jej może panu udzielić wyłącznie lekarz.

– Pani tego nie wie, czy co? – spytałem.

– Wiem czy nie wiem, do widzenia! – powiedziała, a ja czułem, jak oddala rękę ze słuchawką od ucha i wyciąga ją w stronę aparatu. Krzyknąłem:

– No żyje czy nie żyje!

W telefonie zapanowała zmieszana cisza. Potem pielęgniarka powiedziała:

– No też, co pan! Dlaczego miałby nie żyć? Tu nikt nie umarł, od wczoraj!

Pobiegłem do domu, gdzie Ewa z Vaszkiem czekali na wiadomość. Potem poszedłem do banku, skąd przed południem zadzwoniłem do Ewy, która tymczasem osobiście sprawdziła w szpitalu, co z Pawłem. Spadła mu już temperatura, ale wszystkie badania wciąż przed nim. Było oczywiste, że nie wiedzą nic, szarlatani.

Ale uspokoiłem się trochę i miałem wrażenie, że zyskałem czas, którego nie chciałem zmarnować. Nie wchodziło oczywiście w grę, żebym jawnie i głośno poszukiwał inżyniera Maelströma. Musiałem sam w jakiś

sposób ustalić albo wydedukować, gdzie mógł się podziać. Kiedy to ustalę, pójdę do niego, przywitam się i zaproponuję mu, żeby sprzedał mi swój domek. Bo o domek mi chodzi, panowie, bynajmniej nie o całą gospodarkę narodową, po co więc ktoś miałby mnie znów przyłapywać na zainteresowaniu starym inżynierem i potraktować, jakby chodziło mi o całą gospodarkę narodową. W domku, kiedy już wprowadzilibyśmy się do niego, dzieci byłyby zdrowsze, ja też, i Ewa.

Już kilka razy w ciągu ostatnich paru lat, siedząc w nocy przy stole z rękami ułożonymi na blacie, z mrożącym krew w żyłach zdumieniem zdałem sobie sprawę, że człowiek może zrobić wszystko, co postanowi. Jeśli naprawdę coś postanowi, zrobi wszystko, o czym jest w stanie pomyśleć i do czego wystarczy mu potem siły fizycznej. Odkryłem więc, że jestem generatorem, którego zasób energii jest nieodgadniony, a ja nigdy go w pełni nie poznam.

Kiedy pierwszego dnia choroby Pawła skończyłem pracę w banku, wyszedłem z biura jednocześnie z kolegą Karaskiem. Zaraz za nim zjechałem windą na dół i widziałem, jak przechodzi przez straż. Potem znów wsiadłem do windy i pojechałem na siódme piętro. Pewnym krokiem, bez dalszych rozważań i strachu, szedłem wąskim korytarzem. W czasie, kiedy wszędzie zamykały się i zamknęły biurka, a bankierzy wychodzili i wyszli, pracę rozpoczynały sprzątaczki, każda na swoim piętrze, uchylały sobie wszystkie drzwi, wynosiły śmieci i odkurzały dywany. W szumie takiego odkurzacza doszedłem do otwartych drzwi biura, w którym szumiał, wyciągnąłem z nich klucz – uniwersalny klucz sprzątaczek, odwróciłem się i zjechałem na dół. Sprzątaczka sięgnie po klucz, nie będzie go tam, klepnie się w kieszeń fartucha, nie będzie go w niej, pójdzie zobaczyć, gdzie go zostawiła. Poszedłem do domu.

Kiedy wszedłem do domu, Pawła tam nie było, był w szpitalu, od wczoraj. Jeszcze nigdy nie brakowało nam żadnego dziecka, to taki dziwny niepokój – mieć kogoś poza swoimi wpływami. Rozmawialiśmy o tym z Ewą, potem ona poszła na zakupy, a ja wziąłem sobie świnkę, włożyłem ją do kieszeni i chodziłem po pokoju, rozmyślając o problemach. Żeby świnka czuła się pewniej i cieplej, trzymałem na niej w kieszeni rękę. Ewa wróciła i przygotowała kolację. Vaszek był w tym czasie w pokoju dziecięcym, czyli w zwierzyńcu, i rozwiązywał zadania. Panował tam niezwykły spokój. Potem w milczeniu siedzieliśmy przy kolacji. A potem było po kolacji i Vaszek wrócił do zwierzyńca. Ewa powiedziała:

– Ciekawe, jak tam nasz Paweł!

– Ciekawe – potwierdziłem.

– Co ja bym dała – powiedziała – żebyśmy mieli go teraz zdrowego w tym naszym zwierzyńcu!

Otworzyły się drzwi i stanął w nich Vaszek, który w ramionach trzymał czarnego kota.

– Nie wiem, jak to powiedzieć i nie umiem tego wyjaśnić – tłumaczył – ale w naszym pokoju pojawił się ten kot.

– I to czarny! – krzyknęła Ewa gniewnie i zarazem niepewnie.

– Nawet nie próbuj! – krzyknąłem ja.

– Ja nie chcę niczego próbować – powiedział Vaszek.

– Ja ci wyjaśnię, jak się tam dostał – odparłem.

– Wyjaśnij. Chętnie posłucham.

– Ty go przyniosłeś – powiedziałem.

– Nie przyniosłem – zaprzeczył. – Ja odrabiam zadanie, podnoszę wzrok, a on siedzi pośrodku pokoju i patrzy z daleka na świnki.

– To się go wyrzuci i już – powiedziałem.

– Bardzo proszę – powiedział Vaszek.

– Czarny – powtórzyła Ewa.

– I co z tego, czarny jest ładny – powiedziałem.

Vaszek wstał i głaskał kota.

– Jeśli to nie ty go przyniosłeś – powiedziałem – skąd wie, że mamy świnki morskie?

– Ja go nie przyniosłem! – powtórzył.

– To skąd się dowiedział? – powiedziałem.

– Ale którędy wszedł, nie wiem – rzekł Vaszek.

– Wyrzucić – powiedziałem.

– Dobra – powiedział Vaszek, poszedł z kotem do przedpokoju, otworzył drzwi na klatkę i postawił kota na ziemi. Ten jednak się nie ruszał, stał w miejscu i spoglądał na drzwi. Vaszek, zanim je zamknął, powiedział:

– Uciekaj, piękny kocie! I wpadnij kiedyś znowu.

XVII

Rano w drzwiach mojego pokoju ukazała się zaspana głowa Vaszka, który mówił:

– Jest tu ten kot, znowu.

Wyskoczyłem z łóżka i poszedłem do zwierzyńca.

– W takim razie wyrzuci się go przez okno! – krzyczałem.

Czarny kot siedział spokojnie pośrodku pokoju z przednimi łapami przyciśniętymi do brzucha, z ogonem owiniętym wokół ciała. Zerknął na mnie, po czym powrócił do obserwacji klatki świnek morskich. Koniuszek jego ogona wciąż zwijał się i rozwijał.

– Od kiedy tu jest? – zapytałem.

– Właśnie otworzyłem oczy – powiedział Vaszek.

– Kto go tu wpuścił – zapytałem.

– Nie wiem – odparł.

– Ale ja wiem – powiedziałem.

– Tak? Kto? – zapytał.

– Ty.

– Ja nie.

– To kto, może ja? – zapytałem.

– Sam przyszedł – powiedział i wzruszył ramionami w piżamie.

– Mam już dość tych twoich tajemnic – powiedziałem.

– Jakich moich tajemnic? – zapytał.

– Z tą twoją niebieską kurtką, a teraz z tym kotem.

– Ja nie mam niebieskiej kurtki.

– Ale masz czarnego kota! – wskazałem ręką na kota.

– Dziękuję. W takim razie go sobie zatrzymam – powiedział i schylił się do kota.

– Zostaw kota, idź się umyć – powiedziałem.

Drzwi na balkon były otwarte. Czy kot może wspiąć się na drugie piętro, sam? Po prostu zrzucę go na dół, niech pokaże, co w nim siedzi. Zbliżyłem się do kota, który wstał i też ruszył w moją stronę. Wziąłem go na ręce. To był spokojny i ufny kot, kocur. Wyrośnięte kocię. Głaskałem go i spoglądałem z balkonu w dół, na ulicę. Oczywiście, nie wyrzucę go tam. Po pierwsze, nie wiem, czy to nie Paweł, a po drugie nie wyrzuciłbym przez balkon nawet kocura. Po ulicy chodzili ludzie.

Zaniosłem kocurka do kuchni, a Ewa dała mu mleka, zanim go wyprosimy. Poszedłem na pocztę, żeby sprawdzić, co z Pawłem. Lekarz powiedział mi, że temperatura wciąż jest podwyższona, ale na razie nic nie znaleźli. Nie wiedziałem, co chcieli znaleźć i gdzie, nigdy nie leżałem w szpitalu. Nie znam żadnych badań oprócz analizy krwi i moczu, no może jeszcze rentgen płuc.

– Na razie nic nie znaleźliśmy – rzekł lekarz.

– Panie doktorze – zapytałem – a czy znaleźliście chociaż coś w jego łóżku? To znaczy, czy on w nim leży?

Zaśmiał się i powiedział, że tak.

– Panie doktorze, bardzo pana proszę o przysługę. Czy mógłby pan sprawdzić, czy na pewno tam teraz jest?

Poszedł, za dwie minuty powiedział mi do słuchawki:

– Może mi pan wierzyć, mamy go tutaj, na łóżku.

Wróciłem z poczty do domu. Kocur siedział przy pustej misce. Zapytałem, czy przez cały ten czas nie oddalał się z kuchni. Ewa i Vaszek powiedzieli, że nie.

Wybornie. Wybornie!

Kiedy Ewa z Vaszkiem poszli, gdzie pójść musieli, zaniosłem kocura do zwierzyńca. Albinoskę przeniosłem na porodówkę i przykryłem ją rajzbretem. Położyłem się na podłodze. Kocur wbijał wzrok w klatkę i kulił się. Potem trochę się podczołgał – i hop do klatki! Ach! Leżąc, przewróciłem się na bok, żeby móc sięgnąć do kieszeni, w której miałem przygotowaną długą gumę od procy. Kocur siedział przy rogu klatki i uważnie czyhał na świnki, które hipnotyzowały go prostodusznym spojrzeniem. Beze mnie, co do tego nie miałem wątpliwości, zostaną synami śmierci. Poczułem mrożące podniecenie. Chciałbym to zobaczyć.

Ruprecht patrzył spokojnie na nieznane stworzenie. Mały Rudzielec II schronił się u boku Ruprechta, ale poza tym również był spokojny. Kocur zrobił kilka kroków i leciutko, jak w zabawie, sięgnął po białą mychę. O dziwo, nie przegryzł jej tego czerwonego oka, a świnka w ogóle się nie wystraszyła, wręcz przeciwnie, zbliżyła się do kocura, ciekawsko i ostrożnie, komicznie zostawiając tylne nogi daleko za sobą. Komicznie znaczy zabawnie. Podeszła mu pod sam nos i przyjacielsko gruchając wąchała go. Kocur wytrzeszczył oczy ze zdumienia, tak zdezorientowany, że aż cofnął się bojaźliwie. Tu świnka popełniła błąd, o który jednak trudno mieć do niej pretensje. Powinna nacierać na kocura, powinna ostro piszczeć i powinna ugryźć go w ten jego nochal. Kocur, aczkolwiek uzbrojony w dużo ostrzejsze pazury, był po pierwsze osobnikiem młodym i głupim, a po drugie pochodził z rodu durnego i ograniczonego, umiał jedynie rzucać

się na wszystko mniejsze i uciekające. Pomyślałem, że mała, ale zdecydowana rzecz idąca przeciw niemu, musiałaby go przerazić. Świnka przestała już jednak zwracać na niego uwagę i zaczęła swobodnie i bez obaw chodzić po swoim domu. Jej szybkie kroki, jej sierść i zapach, czerwone oczy, wszystko to musiało kocura niezmiernie drażnić i nęcić. Poruszał uszami, napinał mięśnie na grzbiecie i machał ogonem. Wyciągnął się i znów sięgnął po świnkę. Zapewne boleśnie, bo Ruprecht zapiszczał. Trzask! – strzeliła guma, a kocur tylko zasyczał. Leżący na ziemi bankier ucieszył się. Kocur przez chwilę obserwował otoczenie, nie do końca potrafił sobie wytłumaczyć tę przygodę. Świnki znowu zaczęły chodzić i grzebać noskami w sianie. Kocur znowu skulił się, przyczołgał i znów zamachnął się na białą świnkę. Ciach! – uderzenie trafiło go w pysk, nawet nie wiedział skąd ani czym. Ja i bankier śmialiśmy się cicho. Tak to ma wyglądać! Twoje zdrowie! Witamy! Widzisz? Mamy świnki morskie!

Wyskoczył z klatki i wcisnął się między graty pod łóżkiem Pawła. Dwie żarówki oczu przyglądały mi się z ciemności. Nie ruszałem się. Po chwili kocur opuścił kryjówkę i, obchodząc mnie wielkim łukiem, ruszył do drzwi balkonowych. Po drodze jednak jego wzrok padł na klatkę i tak go ona zainteresowała, że się zatrzymał. – *Myszy! No proszę!* – pomyślał kocur, czując nieodparte wrażenie, że okazja sama pcha się w ręce. Przypuszczając, że jeśli dostanie się do nich niezauważony, będzie je miał, zaczął czołgać się po gołej podłodze jak Indianin i ukrywać się za pniami drzew. Wprawdzie chciałbym zobaczyć, jak będzie dusił którąś ze świnek, ale nie zamierzałem mu na to pozwolić. Już stał przy klatce, już wskoczył na kratkę, a gdy z niej zeskakiwał i pokazał na sekundę zadek – bum! Już oberwał. Podskoczył jakby nadepnął na minę, przeleciał na oślep po pokoju i wyleciał na balkon, gdzie jednak zatrzymał się. Bankier poszedł za nim. Kocur uciekł z powrotem do pokoju i z błagalnym wzrokiem stanął pod

drzwiami. Bankier otworzył mu kolejno wszystkie drzwi, łącznie z tymi na klatkę schodową. Kocur wybiegł bez pożegnania, bankier jednak był dobrze wychowany i krzyknął jeszcze za nim na schodach:

– Proszę wpaść również jutro!

Wyszedłem do Banku Narodowego, w którym potem w ciągu dnia jeszcze kilka razy przypominałem sobie, jak skończył kocur, który chciał pożreć nasze świnki morskie. Byłem tym zachwycony i już się cieszyłem na jego kolejną wizytę.

Ale chcę opowiedzieć, jak zaraz po przyjściu do banku udałem się do biura inżyniera Maelströma. Znowu bez głębszych rozważań, po prostu ze świadomością, że zrobię, co tylko będę chciał, jeśli naprawdę będę tego chciał. Otworzyłem drzwi zdobytym kluczem i wszedłem do biura. W pomieszczeniu panował martwy, długo niewietrzony zaduch, przesiąknięty masą papierową, papierosami i smrodem pasty do parkietu. Wyczułem również nutę jakiegoś kwaskowatego odoru – z zupy albo z butów inżyniera. Poza tym bez zmian, zatem nie wykorzystują pomieszczenia do innych celów, kiedy inżynier jest na urlopie. Na biurku nic nowego, nie ma na nim nawet papierka, tylko kałamarz, pióro, bibuła, w zamku do szuflady wetknięty klucz z przyczepionym pękiem innych kluczy, jak przy moich poprzednich wizytach. Podszedłem do szafy. Bańki – zgodnie z moimi podejrzeniami – w środku nie było, podobnie jak szarego płaszcza i kapelusza. Zajrzałem do kąta za biurkiem inżyniera: beczka zniknęła!

Nie potrafiłem od razu wymyślić teorii pomocniczej, nie jestem w stanie stworzyć jej również teraz. Inżynier się wyprowadził? Jak można wynieść z banku beczkę? Ale czy naprawdę się wyprowadził? Przyskoczyłem do biurka i chwyciłem za klucz… ale przecież zapomniał zabrać wszystkie swoje klucze. Czyżby naprawdę zapomniał? Otworzyłem

szufladę – pusta. Tylko kłębki kurzu, drobno podarte strzępy papieru i kilka drucianych spinaczy. Sprawdziłem wszystkie szuflady po lewej i po prawej stronie. W jednej znalazłem stary wykaz wewnętrznych numerów telefonicznych i starą teczkę z brązowej tektury. Zawierała jednak tylko czysty papier milimetrowy, kilka arkuszy, papier w linię – kilka arkuszy oraz niebieskawy wyblakły papier w kratkę – również w arkuszach. Wziąłem tę kupkę papierów do ręki i przeciągnąłem kciukiem po jej brzegu. Między arkuszami mignęło pismo. Była to jedna zapomniana kartka. Tekst został napisany ołówkiem kopiowym i brzmiał następująco: *Szanowni panowie!* Lecz autor najwyraźniej przewartościował swój stosunek do adresatów, skreślił pierwotny zwrot i napisał: *Panowie!* Kolejne dwie linijki, tylko dwie: *Z uwagi na to, że na moją gorącą rekomendację w sprawie zamknięcia lombardu międzynarodowego, co uważam za niesłychane, wciąż nie otrzymałem odpowiedzi…* Koniec. Nie wiedziałbym, co właściwie stary inżynier uważa za niesłychane, czy ten lombard międzynarodowy, czy to, że nie dostaje odpowiedzi. Odwróciłem kartkę, a na drugiej stronie było napisane coś, co uznałem za drugą wersję pisma. Autor zrezygnował z pierwszego tekstu, chyba tak, jak rozsądny człowiek rezygnuje z porozumienia się z głupkiem i zamiast argumentów normalnie i wulgarnie klnie. Druga wersja brzmi bowiem: *Panowie! Wasz nikczemny plan oddania naszego kraju do lombardu…* Niedokończone, a żadnego innego tekstu już nie znalazłem. Czy napisał jakiś i wysłał? Do kogo? Niesłychaność, o której wspomina autor, odnosi się zatem widocznie do jakiegoś lombardu. Ale co to jest lombard? Kto to wie? Od kogo się dowiemy? Spakowałem do swojej aktówki tekturową teczkę, zamknąłem biurko, wziąłem sobie też te klucze. Teraz wszystko trzymam w domu, w klatce.

Po południu zadzwoniła Ewa. Była w szpitalu, nie wpuścili jej do Pawła, podobno żeby mu nie przeszkadzać, kiedy w końcu trochę się uspokoił. Zaczęła płakać do słuchawki, że nie jest z nim lepiej, a nawet jest gorzej, bo nie je, a gorączka, która go osłabia, utrzymuje się. Lekarze nie mogą nic znaleźć.

– Boję się… – płakała.

– Nie denerwuj mnie ciągle tymi swoimi obawami – zirytowałem się, by dodać jej otuchy. – Myślisz, że nie wiem, kto cię znowu straszy? Ale spróbuj to powiedzieć wprost i na głos, a sama zobaczysz, jak niewiarygodnie to brzmi.

– Przyjedź szybko, dobrze?

Obiecałem jej to, choć nie przyszło mi łatwo. Najchętniej pojechałbym do domku pod wiaduktem. Kogo zapytać? Jestem z tym wszystkim sam. Beczka z biura inżyniera Maelströma zniknęła. Pół roku temu myślałem, pod wpływem sugestywnego opisu kryzysu w studium Poego *W bezdni Maelströmu*, że stary inżynier handlowy ukrywa w biurze beczkę, żeby się w niej uratować, ponieważ beczka lepiej niż inne kształty stawia opór ssącej sile wiru. I jak prawdziwy dureń, dumny ze swego sprytu, zacząłem poszukiwać Maelströmu, który nawet znalazłem. A teraz beczka zniknęła, inżynier Chlebek, zwany Brudasem, zaginął. Ja, wyszkolony sam przez siebie i przez swoje rozmyślanie w tym okresie, jestem skłonny wydedukować teraz chyba, że inżynier Brudas najprawdopodobniej wreszcie zakwasił w beczce kapustę, żeby mieć zapas na nadchodzące ciężkie czasy. Ponieważ czyny, czyny są w porównaniu z rozważaniami bardzo pożyteczne! A gdzieś, gdzieś obecnie przygotowują straszny lombard, na który będziemy patrzeć z wybałuszonymi oczami.

W domu udało mi się trochę uspokoić przestraszoną Ewę, ale niestety moje zaniepokojenie wzrosło. Ciągła gorączka i podwyższona

sedymentacja, chudnięcie i apatia, to wszystko bez jakiejkolwiek diagnozy – co będzie z Pawłem?

Po kolacji jeszcze piliśmy z Ewą herbatę. Wszystkie nasze świnki przyniosłem na stół, przy którym siedzieliśmy. Zbiegły się w grupę i wspierały na duchu gruchaniem, popiskiwaniem i dotykiem.

– Ten stary inżynier, o którym ci opowiadałem – powiedziałem – odkrył dość istotną rzecz: zbliża się lombardowanie kraju.

– Chyba bombardowanie – powiedziała Ewa.

– Lombardowanie, do cholery. Przecież wiem, co mówię. Tylko nie wiem, co to jest, niestety, niestety.

– Nie opowiadałeś mi o żadnym inżynierze – powiedziała Ewa.

– I już nie będę. Bo te twoje uwagi już mnie nudzą.

– Przepraszam – powiedziała smutno i pogłaskała mnie po ręce.

– Czyż to nie malowniczy widok? – wskazałem na świnki rozproszone po całym stole.

– Bardzo ładne – powiedziała znów smutno. – Ciekawe, co też porabia teraz Paweł?

– Leży i ma gorączkę – powiedziałem.

Świnki biegały po stole, odważnie i kolektywnie.

– Ty się o niego nie boisz? – spytała Ewa rozdrażnionym tonem.

– Uwaga! – krzyknąłem na nią. – Nie możesz ich przypilnować?

Albinoska prawie spadła ze stołu.

– Tobie bardziej zależy na tych świnkach niż na dziecku – powiedziała.

– Na dziecko nie mam teraz wpływu – odrzekłem – ale na świnki mam! Zależenie nie gra tu chwilowo roli! Przecież możesz chyba uważać, żeby Albinoska nie spadła. Pawłowi zależy teraz właśnie na niej.

Świnki ośmieliły się zupełnie i latały swobodnie po całym stole. Ruprecht jako pierwszy, za nim Albinoska, a za nią Rudzielec II. Ustawione tuż za sobą wyglądały trochę jak szereg świnek, trochę jak pociąg. Jeździły po stole, Ewa już uważała.

Patrzyliśmy, jak mały Rudzielec chodzi wokół Albinoski. Było śmieszne, jak cieniutkim głosikiem mruczał, jak łasił się twarzą do jej boku, chwilami kręcił pupką jak elegancik w bryczesach, a potem znów przyciskał ją do ziemi. Ruprecht w ogóle go nie odganiał – czasami tylko lekko szturchał, gdy spotykali się na zakręcie. Ale Rudzielec tańczył dalej. Na naszym stole czuł się jak w domu. Właściwie byłoby nam wszystkim bardzo dobrze, gdyby nie działo się nic złego. Przypomniałem sobie o inżynierze Chlebku. Kapustę kwasić w beczce? Teraz, wiosną?

– Nie mamy w domu liścia sałaty? – zapytałem.

Ewa nie miała sałaty, miała kalarepę. Oderwała od niej liść, opłukała i położyła na stół. Świnki otoczyły liść i rwały go ze wszystkich stron. Kiedy Rudzielec bardziej zbliżył się do Ruprechta, ten dziabnął go w ucho.

– Patrz, jak go gryzie! – krzyknęła Ewa. – A to wstrętny samiec jeden!

Już od dłuższej chwili szykowałem się, żeby zapytać, zapytałem więc:

– Która ci się podoba?

– Mnie najbardziej podoba się samiczka – powiedziała Ewa.

To mnie nie ucieszyło. Wolałbym tego uniknąć.

– Ale ona jest najbardziej Pawła. Dostał ją na Boże Narodzenie – perswadowałem. – Powiedzmy, że każdy z nas miałby jedną świnkę, którą byś sobie wybrała?

– Podoba mi się ta mała.

To nie było wystarczająco stanowcze.

– Mnie się podobają wszystkie – powiedziałem – ale gdybym miał wybrać jedną świnkę, wiem, którą bym wybrał. A ty którą byś sobie

wybrała?

– Tego małego rudzielca – powiedziała.

Wciąż niezbyt jednoznacznie. Dlatego zapytałem jeszcze dokładniej:

– Gdybyś miała powiedzieć, która świnka jest twoja, to co byś powiedziała?

– Że ta jest moja – wskazała na Rudzielca II całkiem wyraźnie. – Popatrz na tego samca paskudnego, jak nim poniewiera. Popatrz!

Pacnęła Ruprechta po grzbiecie.

– Mam inny pomysł – powiedziałem.

Ty, nasz drogi młodzieńcze, myślałem sobie, twoją naturalną drogą byłoby czekanie, aż podrosną ci ząbki i przyrodzonko. Ale nie będzie czasu. Mam inne plany. Na talerzyk nalałem, czy raczej nakapałem trochę słodkiego mleka kondensowanego. Albinoska tylko powąchała, ale nie liznęła, i stanęła opodal, gdzie obrażona czyściła sobie obiema rączkami buźkę i nosek, żeby móc ponownie nastroszyć wąsiki zlepione gęstą cieczą. Ruprecht, nieustannie obserwujący swoją samiczkę, do mleka niedbale wdepnął i odszedł opodal wyczyścić sobie buty. Rudzielec II podszedł do mleka jako ostatni. Polizał – i nie przestawał. Dziwiliśmy się. Kiedy wylizał mleko, nakapałem mu dolewkę, rozrzedzając ją alkoholem. Rudzielec znowu zaczął pić!

– Co ty znów z nim wyprawiasz? – powiedziała Ewa.

– Nic – powiedziałem.

– Nie pij tego! – wołała Ewa do Rudzielca i chciała go odepchnąć.

Ale trzepnąłem ją po ręce.

Kiedy Rudzielec II wylizał talerzyk, wyprostował nogi i ochoczo pobiegł do Albinoski. Ruprecht od razu ugryzł go w ucho. Rudzielec tylko potrząsnął głową, odwrócił się i chapnął Ruprechta, który był tak zaskoczony, że uciekł. Rudzielec znowu podbiegł do Albinoski. Gruchał,

wykręcał się na wszystkie strony, ona jednak sobie poszła, on znowu za nią, ale ona znowu sobie poszła, on znowu poszedł za nią, odwróciła się do niego ze złością, ale on wciąż się do niej łasił – wtedy go ugryzła. Jednak jemu to nie przeszkadzało, nawet go to nie zabolało, tylko pojawiła mu się na uchu kropla krwi. Znów zbliżył się do niej, tym razem udało mu się nawet wdrapać przednimi łapkami na jej grzbiet, ale zrzuciła go. Kiedy się ześlizgiwał, wytarł kroplę krwi o jej wielbiony bok.

Kiedy nastała noc, a Vaszek i Ewa już dawno spali, ja jeszcze prowadziłem obliczenia. Kiedy głowa upadła mi na stół, oprzytomniałem, wytarłem ślinę z budżetu krajowego i poszedłem zajrzeć do świnek, które także spały w swoim mieszkanku. Tylko łóżko Pawła było puste. Drzwi na balkon były zamknięte, otworzyłem je więc, żeby kocur mógł wejść. Wyciągnąłem z klatki swoje zapiski w nieprzemakalnej kopercie i zapisałem wydarzenia i myśli z całego dnia.

Kiedy czytam to teraz po sobie, zauważam rozmytym wzrokiem, że głupi bankier znowu zapomniał pisać w trzeciej osobie gramatycznej. Od jutra się poprawi. Przypilnuję go.

XVIII

Bankier otworzył oczy. Od razu uświadomił sobie, że ma dziś do zrobienia coś istotnego, zapomniał jednak, co to ma być, przypominał sobie więc, na czym skończył wczoraj. Było to związane z pracą czy z dziećmi? I już wiedział: jedno dziecko ma w szpitalu. Dziś trzeci dzień.

Na dworze świeciło słonko. Po ulicy jeździły auta i stukało mnóstwo damskich obcasów. Która godzina? Zląkł się, kiedy zobaczył, że stanął mu zegarek. Wskazywał wpół do siódmej. Nie może stanąć, ma chodzić! Pokręcił trochę, zegarek zaczął działać, miał już dość siły. Bankier podniósł się z łóżka i otworzył drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. W chłodnym pokoju dziecięcym, gdzie na jednym łóżku spał starszy syn, a drugie było zaścielone, na środku podłogi siedział czarny kot, który spojrzał na bankiera i skulił się. Potem rzucił okiem na drzwi balkonowe, przeciąg unosił w nich zasłonę. Bankier wycofał się szybko. A więc jednak – powiedział szeptem.

Poszedł do pokoju swojej żony. Podniosła się milcząco i spojrzała na zegar ścienny. Było wpół do siódmej. Jego zegarek zatrzymał się więc kilka sekund temu, widocznie właśnie to go obudziło.

– Nic się nie dzieje – powiedział bankier. – Dzień dobry.

– Co się dzieje? – zapytała Ewa niepewnie.

– Nic. Tylko tyle, że znów tam jest ten kot – powiedział.

Ewa położyła się zmęczona, blada i wygnieciona. Bankier usiadł na skraju jej łóżka i przez chwilę tak siedział, z rękami na kolanach. Potem wrócił do pokoju dziecięcego. Chłopiec już nie spał, leżał na boku z głową opartą o ramię i patrzył na kota, siedzącego wciąż w tym samym miejscu i obserwującego klatkę, w której ruszały się świnki. Nagle świnki zaczęły dziko piszczeć, ponieważ usłyszały kroki. Bankier pomyślał, jakie to dziwne, że przy pierwszym jego wejściu do zwierzyńca świnki milczały. Teraz kwiczały, jakby bolał je poranny głód. Ale znał wytłumaczenie tego zjawiska: świnki piszczą, kiedy ktoś zbliża się do nich trasą Ewy.

– Dzień dobry – powiedział chłopiec w łóżku. – Chyba znowu przyniosłem sobie kota.

– W porządku – powiedział bankier. – Weź go na ręce, żeby nie uciekł.

Vaszek opuścił bose nogi na ziemię i poszedł po kota. Podniósł go, położył przy głowie jak poduszkę i ocierał się o niego. Bankier zamknął drzwi na balkon. Nasypał świnkom ziarna. Te trzy główki prawie nie mieściły się przy misce. Samiczka z wielkim brzuszkiem krzyczała z głodu, nawet kiedy już śrutowała jęczmień. Była najgłodniejsza i najładniejsza. Duży biały samiec wyglądał jak tłusty wieprzek, mały rudy samczyk był podobny do zajączka. Ona była jak kózka albo dziewczyna. Wszystkie świnki morskie pozwoliły drapać się przy jedzeniu za uszami. Kot dostał w kuchni miskę mleka.

Przy śniadaniu rozmowa zeszła na rodzenie. Vaszek chciał wiedzieć, jak długo się rodził.

– Dziewięć miesięcy – powiedział bankier specjalnie.

– To wiem – powiedział Vaszek. – Mam na myśli już sam poród.

– Kilka godzin – powiedziała Ewa.

– U normalnych ludzi to trwa kilka godzin – rzekł chłopcu bankier – u ciebie dwa dni.

– I ciągle jesteś na mnie za to zły? Przecież to nie moja wina.

– Twoja – powiedział ojciec.

– Nie moja – powiedział syn.

– Twoja – powtórzył ojciec.

– Niech ci będzie – powiedział syn.

– Tego dnia strasznie pędziliśmy na porodówkę i wydawało się, że nie zdążymy. Potem leżałam tam jeden dzień, drugi dzień, aż wysłali mnie do domu. Przyjechał tato i musieliśmy przez pół dnia telepać się w trolejbusie, zanim przyjęli nas z powrotem – powiedziała Ewa.

– Aha! No to nieźle – rzekł Vaszek, jedząc.

– Paweł przyszedł na świat od razu – powiedziała Ewa. – Lekarz wybiegł gdzieś na minutę, siostra tylko odwróciła się w drugą stronę i już musiałam go łapać, żeby nie spadł. Tak szybko wyskoczył.

– Aha! No to nieźle – rzekł znów Vaszek.

– Co też teraz porabia – zastanawiała się Ewa.

– Leży w łóżku i ma gorączkę – powiedział bankier.

– Jestem ciekawy – rzekł Vaszek – jak będzie rodzić nasza mała Albinoska.

– Paweł tak czekał, tak na to czekał, a teraz go przy tym nie będzie – powiedziała Ewa.

Na dworze świeciło słońce. Będzie piękny dzień. Był czas iść do szkoły i do pracy. Vaszek wychodził razem z mamą, chociaż uczęszcza do innej szkoły niż ona. Bankier został w domu, bank otwierają dopiero o dziewiątej.

Kiedy został sam, poszedł do zwierzyńca. Najpierw przeniósł Ruprechta i Albinoskę z klatki na porodówkę. Przykrył ją rajzbretem, a rajzbret przycisnął książkami. Potem wrócił do kuchni po kocura. Kiedy go niósł,

słyszał, jak opuszczony Rudzielec II krzyczy w klatce, że nie chce być sam. – *Nie będziesz* – pomyślał bankier, uchylił drzwi i wpuścił kocura do środka. – *Chciałbym to zobaczyć, ale nie mam czasu* – powiedział cicho.

Zszedł do piwnicy i wystawił na korytarz swój nowy sportowy rower firmy Favorit. Rozważał, czy jadąc da radę prowadzić jeszcze jeden rower obok siebie i zrozumiał, że nie da rady. Odprowadził swój rower i wyciągnął mniejszy, dziecięcy rower Pawła. Wysunął siodełko jak najwyżej, zamknął drzwi do piwnicy i wyjechał na ulicę.

Nigdy wcześniej nie jechał po mieście rowerem. Zastanawiał się, czy obowiązują go przepisy dla samochodów, czy dla tramwajów. Źle mu się jechało po kostce brukowej, bał się wyprzedzających aut, prawdopodobnie jednak nie mógł jechać po chodniku. Ale pogoda była piękna, z parku wiał wilgotny chłód, a na moście bankier zeskoczył z roweru i patrzył na iskrzącą się rzekę. Znowu zastanawiał się, czy to, na co się zdecydował, naprawdę uda się wykonać. Oczywiście, że się uda, powtarzał sobie. Możecie wykonać wszystko, co wydaje się wam wystarczająco dobre w fazie trzeźwych rozważań teoretycznych, a zwątpienie, które zaczynacie czuć przy realizacji, podejrzewajcie o tchórzostwo. Zatem albo szybko zrezygnujcie z doskonałego pomysłu, albo po prostu nie zwracajcie uwagi na wątpliwości. Dlatego wsiadł i kontynuował jazdę, musiał uratować syna, ponieważ tylko on wiedział jak.

Na skrzyżowaniu miał czerwone światło. Na wszelki wypadek zatrzymał się. Patrzył na rubinową lampę i przypomniał sobie o zwierzętach schowanych pod książkami. Zastanawiał się, jakie postępy poczynił czarny kocurek w tej z takim uporem organizowanej akcji. Kiedy wrócimy, pomyślał, świnki Ewy nie będzie już wśród żywych. – *Będzie synem śmierci* – powiedział głośno. – *Chętnie bym to zobaczył* – szeptał do siebie.

Znajdzie się w świecie, w którym będzie mogła się z nią bawić ta utalentowana dziewczynka.

Dojechał do szpitala, była dziewiąta. Przypuszczał, że lekarz właśnie zaczyna wizytę. Przejechał się kilka razy wokół muru z cegieł. Koło przyjemnie szumiało, szprychy dźwięczały. Zatrzymał się i z powrotem obniżył siodełko. Przeszedł przez bramę i oparł rower o ścianę portierni. Wziął tylko siatkę z paczuszką, w której miał ubranie chłopca, i ruszył w stronę budynku. Wszedł razem z jakimiś konserwatorami, którzy przewozili na wózku butle z gazem. Z gabinetu wyszła siostra, zaczęła się z nimi sprzeczać i zaprowadziła ich gdzieś na zaplecze, gdzie trzymają tego typu rzeczy. Bankier zajrzał do gabinetu przez otwarte drzwi. Z wieszaka zaraz przy drzwiach zdjął biały fartuch i włożył go. Kiedy wchodził po schodach, czekał ze zdrętwiałym kręgosłupem, aż ktoś go zatrzyma. W kieszeni fartucha znalazł stetoskop, powiesił go sobie na szyję, co trochę go uspokoiło. Na pierwszym piętrze zdecydowanym krokiem przeszedł całą długość korytarza, spoglądając na numery drzwi. Niektóre drzwi były otwarte. Słyszał płacz, krzyki, łagodny głos pielęgniarki. W pokoju narożnym było pięć łóżek. Na pierwszym, przy drzwiach, zobaczył ciche, blade dziecko, które leżało, a ręce miało uniesione nad twarzą i bawiło się palcami. Na przeciwległym końcu korytarza otworzyły się drzwi, z których wylały się głosy i wysypała się grupka ludzi, którzy weszli do sąsiedniej sali. Bankier przeszedł przez próg i powiedział:

– Witaj, Pawle. Idziemy do domu!

Chłopiec podniósł wzrok spokojnie i cicho, bez słowa. Ale nie ruszył się.

– No co? – usiadł koło niego. – Nie chcesz iść do domu?

– Chcę – powiedział chłopiec. – Jestem chory.

– Już nie jesteś. Wstań i idź.

Wziął go za rękę i prawie ściągnął z łóżka. Razem szli przez korytarz, po schodach na dół, na parter. Zaprowadził chłopca do poczekalni, gdzie przebrał go w ubranie przyniesione z domu. Szpitalną piżamę i fartuch lekarski zostawili na krześle. Było to dokładnie tak proste, jak spodziewał się bankier. Chłopiec szedł spokojnie, trochę się wlókł. Mrużył oczy i wykrzywiał twarz od słońca. Powiedział:

– Nie oddałem książki, muszę tam wrócić, nie oddałem siostrze książki.

– Sama ją sobie weźmie.

– Tatusiu, przecież ja jestem chory.

– Jesteś, ale za kilka godzin wyzdrowiejesz.

Doszli do bramy.

– Tutaj masz rower, kupiłem ci.

Chłopiec patrzył na rower ze zdziwieniem. Dotknął go.

– Ładny jest. A czy Albinoska będzie miała te młode, w końcu?

– Chciała je mieć już dziś w nocy, ale przełożyła to, żebyś mógł przy tym być.

Do domu jechali tak, że chłopiec pedałował powoli obok idącego ojca, kawałek ojciec go wiózł. Jednak chwilami bankier bardzo upadał na duchu, chłopiec jakby nie do końca wiedział, co się dzieje. Przy tym był prawie zimny, jakby przemarznięty, ale czoło miał spocone. Lecz co można było zrobić? Wstąpili do szkoły, w której uczyła Ewa. Chłopiec czekał na dole, bankier poszedł na górę i zostawił jej wiadomość, żeby przyszła do domu, jak tylko będzie mogła, bo Paweł wrócił ze szpitala. Razem odstawili rower do piwnicy. Bankier ciągle czekał, jak bardzo chłopiec się zdziwi, kiedy zobaczy jeszcze trzy nowe rowery, ale on tylko powiedział sucho:

– To ci się udało, tatusiu.

Pomyślał, że chłopiec już go nie kocha. Coś się stało. Oczywiście wiedział, co się stało, ale poza tym coś stało się również w tym dziecku.

Weszli do mieszkania, dopiero tu Paweł uśmiechnął się po raz pierwszy, smutno i z niedowierzaniem. Ściągał w przedpokoju buty i rozglądał się, jakby ostatnio był tu dawno temu. Bankier pomyślał, że interweniował naprawdę w ostatniej chwili. Cieszył się. Ale co będzie dalej? Gdzie jest kocur i co ze świnkami? Drzwi do zwierzyńca otwierał ze strachem. Czy jeśli ruda świnka nie została jeszcze synem śmierci, sam będzie musiał ją do tego zmusić? Już od drzwi widział, że świnki nie ma w klatce.

Nigdzie jej nie znaleźli. Zniknął także czarny kot. Już więcej nie przyszedł.

XIX

O, stare ciepłe mury, które rozpadniecie się na cegły i kamienie! Czy z waszych szczelin ulotni się w przestrzeń resztka myśli i nastrojów murarzy? O, wielkie koło lokomotywy, odstawione na zardzewiały tor! Czy kiedy stygniesz i ulegasz zanikowi, czy tchnie z ciebie myśl konstrukcyjna twego inżyniera? I, o, drewno z brudnego dworcowego płotu, twoja mchem porośnięta powierzchnia jest świadectwem pracy gajowego w lesie. Czy gdzie skryły zamiary podróżnych, którzy dołożyli wszelkich starań, by zmienić miejsce, byleby tylko mogli – co, i gdzie to jest? Skoro z zanikiem wszystkiego myśl i wola ulatnia się jak nikły dym, ku komu wznosi się ta ofiara. I czego on od nas oczekuje?!

Drogą wzdłuż potoku kroczył powoli mężczyzna patrzący na wszystko z melancholią człowieka, który pragnie uszlachetnić się żalem nad wszystkim, co przemija. Cóż po tych moich papierach, na co komu moje nocne wyliczenia, myślał, kiedy zdawało mu się, że kończący się dzień jest piękny, a jutro będzie nowe słońce, a jutro, a jutro…

Późne słoneczne światło kładło się ukosem na dolinę, której jedno zbocze już znajdowało się w cieniu, dlatego ludzie podlewali grządki. Nazwiska widniały na furtkach. Za płotami rosły narcyzy, serduszki, bratki i kwitnący bez. Mężczyzna czasem oglądał się za siebie, jakby nie chciał stracić drugiego punktu widzenia na to, co mijał. Doszedł do wiaduktu

stojącego nad doliną w nierealnym rozkroku. Stanął i przyglądał mu się, jaki jest kamienny i żelazny. W przejściu pod wiaduktem, jak w ramce, widniały domki, roztaczając przed okiem obserwatora malowniczy widok. Mężczyzna zatrzymał się pod wiaduktem i uniósł głowę. Tak plastycznie wyobraził sobie, że środkowa część mostu zawala się, że poczuł chęć, by odskoczyć. Martwi. Marchwi, ucieszył się z czegoś i pomyślał o drodze powrotnej. Nagle poczuł niechęć do swojego planu, i powinien był zawrócić. Nie zawrócił jednak, poszedł dalej.

Furtka była zamknięta na klucz, więc mężczyzna zadzwonił. Ale nikt nie mu otworzył, dlatego przeszedł przez furtkę, rozejrzawszy się uprzednio w obie strony. Nigdzie nikogo nie widział i nikt nie szedł drogą, żeby powiedzieć mu: – *Nie, w tym domu teraz nikogo nie ma! Nie, pan inżynier wyjechał! On przecież umarł! Pojechał do córki, nikogo tam pan nie zastanie.* Jakby za wiaduktem i za wysokim nasypem pozostało nie tylko miasto, ale wszyscy. Gdyby nad miastem wzniósł się teraz słup ognia, nikt by się nie uratował. A tutaj również nikt go nie przywitał, nie miał komu powiedzieć dzień dobry, nie było nawet tej miłej kuny.

Drzwi do piwnicy były zamknięte na kołek, tak jak ostatnio. Wyciągnął rękę, żeby je otworzyć, ale rozmyślił się. – *Wtedy tutaj byliście, teraz jestem tu sam* – zaszeptał do siebie. Kamienie.

A Ewa! Ewo!

Kiedy otwierał ganek, pomyślał, że niezbyt przyjemnie jest stać tyłem do skały, w której są drzwi. Jeden z kluczy, które przyniósł ze sobą, musi pasować. Jesteś romantyczny, karcił się. Rób, co chcesz i nie zwracaj wciąż uwagi na przeczucia. Przecież podwórko za nim było puste, zamknięte. Nie chcesz być romantyczny, wyśmiewał sam siebie, ale sztylet ze sobą wziąłeś, jak mały chłopiec. Wtem drzwi ustąpiły, otworzyły się. Spodziewał się

jakiegoś normalnego wnętrza. Ujrzał wiklinowy fotel zarzucony stertą pokwitowań pocztowych.

Następne drzwi również były zamknięte. Otworzył je pierwszym kluczem, po który sięgnął, to był szczęśliwy przypadek. Od razu zauważył, że w podłodze jest klapa. Pokonał strach oraz chęć ominięcia jej – i przeszedł po niej cicho. Do otwarcia kolejnych drzwi klucza już nie potrzebował. Kiedy nacisnął klamkę i wszedł, znalazł się w pokoju tak idealnie pustym, że rozchodził się w nim pogłos. Na ziemi walały się pokwitowania, poza tym nie było tu nic. Przeszedł przez następne, również puste pomieszczenie i zamykając koło, znów znalazł się na korytarzu. Zostało mu już tylko dwoje drzwi. Wywnioskował, że jedne prowadzą do kuchni, a drugie – zaraz wreszcie się wyjaśni.

W kuchni stała tylko kuchenka. Mężczyzna wrócił na korytarz. Zostały ostatnie drzwi. Były węższe i gorsze, nie miały klamki, otwierało się je tylko kluczem, znalazł go w swoim pęku. Kiedy wsuwał klucz, wiedział, że to są właśnie te drzwi, dla których tutaj przyszedł. Otworzył.

Na samym końcu, przy ścianie, w szarym kącie wąskiej i długiej izby z betonową podłogą, stała osamotniona beczka. Trzeba było zrobić do niej pięć kroków. Nie był w stanie ich zrobić. Już wiedział, do czego jest beczka, nie musiał się upewniać. Nie musiał ani nie chciał. Chciał szybko się odwrócić, wybiec z tego domu, przeskoczyć przez płot i pędzić między ludzi, między ludzi! Ale tak jak nie wierzymy człowiekowi opowiadającemu nam o zdarzeniu w stu procentach prawdziwym, lecz zbyt niewiarygodnym, i upewniamy się kolejnymi pytaniami, czy mówi prawdę, tak i on wiedział, że jeżeli uciekłby stąd, tak jak chcą nogi, w domu głowa nie wierzyłaby i nie dałaby mu spokoju: – *No widzisz, a jednak się nie przekonałeś!* Zrobił więc tych pięć kroków.

Stał teraz nad beczką, ale nagle jej nie widział, ponieważ swoim ciałem zasłonił światło. Właśnie zbierał w sobie odwagę, by jej dotknąć, kiedy w nozdrza uderzył go jej zapach, który go zdumiał. W tej samej chwili poczuł chłodny powiew na biodrach. Moje biodro! W wąskich drzwiach betonowego pomieszczenia z pewnością ktoś stoi.

Odwrócił się i zobaczył go: był to najniebezpieczniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek umiał sobie wyobrazić, chociaż nigdy nie spotkał nikogo takiego. Ten człowiek uśmiechnął się miękkimi, grubymi wargami, przesunął nogę, by móc sięgnąć do kieszeni, i wyciągnął pistolet. Mężczyzna uświadomił sobie, że się cofa, dopiero kiedy natrafił łydkami na zaokrągloną i twardą ścianę beczki. Pistolet był wymierzony w jego brzuch. I to wszystko, dokąd zmierzałem, pomyślał, i taki koszmar na koniec? Boże, podwórko byłoby lepsze! Tutaj? Wiedział jednak, że sobie na to zasłużył, że wręcz sam się o to prosił i wprawdzie czuł się osądzony strasznie surowo, jednak bynajmniej nie bez podstaw i nie bez winy. Przerażający człowiek stojący w drzwiach przestał się uśmiechać, a cała jego wola wyraźnie skupiła się w pistolecie wymierzonym bez skrupułów w brzuch mężczyzny. – *Dlaczego akurat brzuch! Nie!* – krzyknął mężczyzna w sobie i ruszył naprzód.

Żeby gdzieś dojść, zaczął z wielkim wysiłkiem mówić. Powiedział: – Tak! Potem kontynuował chrapliwym głosem: – *Tak, proszę pana, proszę, proszę pana! Tak!* Podchodził krok po kroku i wciąż mówił: – *Tak, tutaj, tutaj! Proszę pana!* – i błagalnie wskazywał palcem na swoje czoło, i szedł, i zbliżał się do człowieka, którego pistolet rzeczywiście zadrżał i zaczął się unosić. Mężczyzna to zauważył i ucieszył się. – *Haaa! Huuuu!* – krzyczał sugestywnie do strzelca, zbliżał się do jego białej głowy i szukał w jego czerwonych oczodołach jakichś oczu, by pochwycić je wzrokiem i trzymać. – *Hooo!* – mówił i obserwował, jak ta głowa napina skórę na swej czaszce.

– *Szszszszszsz!* – syczał usilnie na swego mordercę, który posłusznie uniósł pistolet aż do jego czoła. Już widział wnętrze lufy, już dostrzegł na dnie oczodołów chłodne oczy nieznajomego kolegi, pochwycił je i sekundę trzymał, i wskazując wciąż lewą ręką na swoje czoło *szszszsz!*, prawą wbił mu sztylet w brzuch.

Ohydne zimne oczy zdziwiły się, wstrętne usta rozwarły się cicho i ukazały ciemność w czaszce głupca. Pistolet wypadł mu z przeklętej mokrej ręki i uderzył o beton. Tyle że zamiast się cofać, ten człowiek wciąż napierał na sztylet! Wtedy, z wielkiej bezradności, mężczyzna rozciął mu brzuch długim pociągnięciem z dołu do góry. Ciężkie ciało przechyliło się, dzięki Bogu bezwładnie, do przodu. – *Marzyłem o tym od dziecka* – pomyślał mężczyzna i odsunął się, żeby morderca mógł upaść. Kiedy ten przewrócił się i padł przed drzwiami, stanął w nich następny, dokładnie taki sam. – *To jest właśnie najgorsze, zawsze* – pomyślał mężczyzna gorzko i chciał zapłakać.

W domu chłopcy Paweł i Vaszek z radością obserwowali nowe świnki. Urodziły się w południe i nikt tego nie widział. Paweł czytał i w ogóle nie zwrócił uwagi na niespokojne popiskiwanie samiczki. Kiedy na nią spojrzał, już trzy młode biegały koło Albinoski i szturchały ją główkami w brzuszek, żeby zdobyć trochę mleka. Jedna świnka była biała z czarną głową, druga ruda z białymi liczkami, a trzecia szara jak zając. Żadna nie była biała po tatusiu, przynajmniej, skoro już nie po mamie.

Świnki morskie, mając zaledwie sześć godzin, umiały biegać, drapać się za uchem, myć sobie buźkę i ładnie piszczeć.

Drogie dzieci! Ewa powiedziała:

– Pawle, naprawdę nic cię nie boli?

– Nie – odpowiedział.

– No ale gdzie on jest tak długo? – dziwiła się Ewa.

– Wróci – powiedział Vaszek.

– Będzie zaskoczony, że nie urodziła się żadna biała – rzekł Paweł.

– Ale dlaczego nie wraca – powtarzała Ewa.

– Wróci – powtarzał Vaszek.

Ale już nie wrócił i nigdy nie usłyszeli o nim żadnych wieści.

(1970)

Fragment opowiadania Edgara Allana Poego *W bezdni Maelströmu*
w przekładzie Stanisława Wyrzykowskiego.

Tytuł oryginału: *Morčata* Copyright © Ludvík Vaculík, 1977

Copyright © for the Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o.

All rights reserved

Książka została przełożona dzięki wsparciu finansowemu Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej

Redakcja i korekta: Ewa Żak, Dagmara Ślęk-Paw
Projekt okładki: Jakub Šolín
Skład i łamanie: Dagmara Ślęk-Paw

Wydawca:
Stara Szkoła Sp. z o.o.
Rudno 16, 56-100 Wołów
biuro@stara-szkola.com
www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-944783-3-9

Plik opracował i przygotował Woblink

www.woblink.com